

JACK HIGGINS uchodzi za najpopularniejszego brytyjskiego twórcę literatury sensacyjno-przygodowej. Jego powieści ukazują się w prawie 30 językach świata, a ich łączny nakład przekroczył 150 milionów egzemplarzy. Naprawdę nazywa się Harry Patterson. Wychowywał się w Irlandii Północnej, ukończył socjologię i psychologię społeczną na London University. Przez kilka lat pracował jako nauczyciel. Sławę i majątek przyniosła mu powieść "Orzeł wylądował" (1975) wydana pod pseudonimem Jack Higgins - jednym z kilku, których używał w trakcie kariery pisarskiej. Napisał ponad 60 książek. Najbardziej znane to: "Konfesjonał" (1985), "Orzeł odleciał" (1991), "Córka prezydenta" (1997), "Lot orłów" (1998), "Odwet" (2000), "Niebezpieczna gra" (2001) i "Śmierć jest zwiastunem nocy" (2002). Wkrótce ukaze się In a Darker Place ("W mrocznym miejscu"). Książki Higginsa doczekały się licznych ekranizacji. Należą do nich filmy pełnometrażowe "Modlitwa za konających" i "Orzeł wylądował" oraz kilkugodzinne seriale telewizyjne zrealizowane na podstawie "Konfesjonału", "Nocy Lisa", "Cold Harbour" i innych powieści.

Powieści Jacka Higginsa w wydawnictwach Albatros A.Kuryłowicz/A.A.Kuryłowicz

W sprzedaży

ZDRAJCA W BIAŁYM DOMU

ODWET

NIEBEZPIECZNA GRA GRA DLA BOHATERÓW

**ODPŁAĆ DIABŁU
ORZEŁ WYLĄDOWAŁ
ORZEŁ ODLECIAŁ
AKCJA O PÓŁNOCY**

**W przygotowaniu
ŚMIERĆ JEST ZWIASTUNEM NOCY
COLD HARBOUR**

**KRYPTONIM "WALHALLA"
W MROCNYM MIEJSCU
JACK HIGGINS**

**AKCJA O PÓŁNOCY
Z angielskiego przełożyła EWA PENKSYK-
KLUCZKOWSKA
WARSZAWA 2002**

**Tytuł oryginału: IN THE HOUR BEFORE
MIDNIGHT**

Copyright (c) Jack Higgins 1969

**Copyright (c) for the Polish edition by Wydawnictwo
Albatros A. Kuryłowicz 2002**

**Copyright (c) for the Polish translation by Ewa
Penksyk-Kluczkowska 2002**

Redakcja: Teresa Kowalewska

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 83-88087-98-3

Dystrybucja:

**Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Kolejowa 15/17,
01-217 Warszawa tel./fax (22)-631-4832, (22)-632-
9155 e-mail: hurt@olesiejuk.pl**

**www.olesiejuk.pl Wydawnictwo L & L/Dział
Handlowy**

**Kościuszki 38/3, 80-445 Gdańsk tel. (58)-520-3557,
fax (58)-344-1338**

**Sprzedaż wysyłkowa: merlin.com.pl/Dział Obsługi
Klienta**

**Garazowa 7, 02-651 Warszawa
tel. (22)-607-7993, (22)-607-7996, fax (22)-607-7992
e-mail: sklep@merlin.pl**

www.merlin.pl

**WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ
KURYŁOWICZ**

fax: (22)-842-9867

adres dla korespondencji:

skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

Warszawa 2002. Wydanie I

Skład: Laguna Druk: OpolGraf S.A., Opole

Dla Kena i Janet Swinhoe -oraz dla Amy

**Musiał umrzeć w nocy, ale ja zdałem sobie z tego
sprawę dopiero w gorączce dnia.**

**Nawet nie śmierdział zgnilizną, co i tak nie miało
znaczenia. W tym miejscu umierało wszystko - tylko
nie ja, Stacey Wyatt, mistrz sztuki przetrwania.**

**Kiedyś powitałbym śmierć jak przyjaciela i byłbym
skłonny do współpracy, ale to było dawno temu -
zbyt dawno. Teraz czekałem w otchłani własnej
wyobraźni, uodporniony na wszystko, co mogli mi
zrobić.**

**Od trzech dni byłem w Dziurze, nazywanej tak
zarówno przez więźniów, jak i strażników: w miejscu**

ciemności i piekielnej gorączki, gdzie zapuszczasz korzenie we własnych odchodach i umierasz z braku powietrza.

Odkąd znalazłem się w obozie pracy w Fuad, po raz czwarty posłano mnie na dół i za każdym razem zbiegało się to w czasie z inspekcją majora Husseiniego. W wojnie czerwcowej był jednym z tysięcy pokonanych na Synaju i wypuszczonych do domu, do którego powlekli się przez jedną z najgorszych pustyń na Ziemi. Widział, jak ginie jego oddział, jak wokół niego ludzie setkami umierają z pragnienia, jak słońce wypala im mózgi, w gorączce nie do zniesienia. Po tych wydarzeniach pozostała mu nienawiść do Izraela, która rozwinęła się w jakąś paranoję.

Zdawało mu się, że wszędzie widzi Żydów, nieustanne zagrożenie bezpieczeństwa Egiptu. A skoro ja byłem wrogiem jego kraju, osądzonym i skazanym za działalność wywrotową, to także musiałem być Żydem, tylko jakoś zdołałem ukryć ten fakt przed sądem.

W lipcu poprzedniego roku niedużą łodzią motorową przywiozłem z Krety ładunek złota dla dżentelmena z Kairu, który miał spotkać się ze mną na plaży w Ras el Kanayis. Była to część złożonego procesu wymiany, który gdzieś komuś miał przynieść fortunę. Nigdy właściwie się nie dowiedziałem, co zawiodło, ale nagle na wodzie pojawiło się kilka ścigaczy straży przybrzeżnej, a na plaży pół kompanii piechoty. Była to dla nas duża

niedogodność. Gospodarka państwa wzbogaciła się o pół tony złota, a John Smith, nieznany amerykański obywatel, poszedł siedzieć na siedem lat.

Po sześciu miesiącach spędzonych w więzieniu miejskim zostałem przeniesiony do Fuad, wioski rybackiej położonej dziewięćdziesiąt mil od Aleksandrii. Było nas tam około trzydziestu, większość politycznych skazanych na roboty drogowe w kajdanach, chociaż my akurat budowaliśmy nową przystań. Pilnowało nas kilku rekrutów i cywilny nadzorca, niejaki Tufik, wielki, tłusty facet, który mocno się pocił i wciąż się uśmiechał. Miał dwie żony i ośmioro dzieci i traktował nas z nadzwyczajną -zważywszy na okoliczności - delikatnością, chociaż myślę, że po prostu obiecano mu premię, jeśli skończymy w lipcu. To zaś znaczyło, że potrzebował wszystkich robotników i nie chciał, żeby mu ktokolwiek umarł. Mężczyzna, który tej nocy odszedł do lepszego świata, był przypadkiem szczególnym, Beduinem z południa kraju. Wciąż próbował uciekać; dzikie, dumne zwierzę, które wszystkie noce swego życia spędziło pod gołym niebem. Dla niego każde więzienie oznaczało wyrok śmierci i wszyscy - nawet Tufik - zdawali sobie z tego sprawę. Liczyła się jednak ogólna dyscyplina i Beduin trafił dla przykładu do Dziury. Był już tam tydzień, kiedy do niego dołączyłem.

Wokół szyi miałem coś w rodzaju zamkniętej na kłódkę drewnianej uździenicy, do której na

wysokości ramion łańcuchem przykuto moje nadgarstki. W wąskim pomieszczeniu nie można było się w tym ani położyć, ani nawet stać, bo uźdźienica klinowała się między chropowatymi ścianami, boleśnie szarpiąc moją szyję. Siedziałem więc w gorączce, unosząc się w swojej otchłani. Czytałem ulubioną książkę strona po stronie, a kiedy to przestawało wystarczać, powracałem do kursu samoanalizy. Zaczynałem od dzieciństwa, od najwcześniejszych wspomnień -Przystani Wyatta dziesięć mil od Cape Cod i rodziny mojego ojca, która nigdy mnie nie lubiła, chociaż nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki on sam nie zginął w Korei w 1953, kiedy miałem dziesięć lat. Dopiero wtedy stało się dla mnie jasne, że płynąca we mnie krew Wyattów została splamiona, ponieważ moja matka jest Sycylijką. Przenieśliśmy się więc na Sycylię, do wielkiej, zimnej willi na klifie ponad morzem, na przedmieściach Palermo, do mojego dziadka, Vita Barbaccii, przed którym mężczyźni uchylali kapeluszy i który rozstawiał policję jak figury szachowe, rzucał gniewne spojrzenia i przyprawiał polityków o drżenie. Vito Barbaccia, capo mafia, Pan Życia i Śmierci... Właśnie analizowałem studenckie lata na Harvardzie, kiedy nad moją głową rozległ się huk, szczęknął łańcuch i ze zgrzytem rozsunięto kamienie. Gdy podniesiono drewnianą klapę, do środka wpłynęło słoneczne światło, oślepiając mnie na chwilę.

Zamknąłem oczy, a potem uchyliłem lekko powieki i patrzyłem przez delikatną, złotą mgiełkę, która powiedziała mi, że jest już późne popołudnie.

Na skraju Dziury kuczał major Husseini o oliwkowej dziobatej twarzy, mały i pomarszczony, wysuszony przez słońce Synaju, które doprowadziło go do obłądu. Za nim stało kilku żołnierzy, a wśród nich Tufik, sprawiający wrażenie bardzo nieszczęśliwego.

- No, Żydzie - powiedział major po angielsku, bo chociaż mój arabski w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy stał się nawet zrozumiały, Husseini uważał za dyshonor używanie języka swoich ojców w rozmowie z kimś takim jak ja. Wstał i roześmiał się pogardliwie. - Patrzcie na niego - machnął ręką na pozostałych. - Siedzi w swoich własnych odchodach, jak zwierzę. - Znowu spojrzał w dół. - Lubisz to, Żydzie? Lubisz siedzieć umazany własnym gównem?

- Nie jest tak źle, majorze - odparłem po arabsku. - Gdy małpa spytała kiedyś Bodidharmę, czym jest Budda, mistrz odpowiedział, że wysuszonym łajnem. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Był tak oszołomiony, że również zaczął mówić po arabsku.

- O czym ty gadasz? - wykrztusił.

- Żeby to pojąć, musiałbyś mieć mózg.

Problem w tym, że mówiłem po arabsku i wszyscy mnie zrozumieli. Skóra na jego policzkach napięła się, a oczy zwężyły. Odwrócił się do Tufika.

- Wyciągnij go. Powieś go na jakiś czas na słońcu. Zajmę się nim, jak wrócę.

- Jest na co czekać - oświadczyłem i nie wiedzieć czemu zaśmiałem się słabo.

Fuad było niewielkie; przy szerokim placu stało czterdzieści czy pięćdziesiąt małych domów o płaskich dachach i rozsypujący się meczet, a w tym wszystkim niespełna setka mieszkańców. Było bardzo biedne, podobnie jak większość takich egipskich miasteczek, chociaż nowa przystań mogła to zmienić. Morze było odległe o jakieś czterysta jardów, niebieskie Morze Śródziemne. Fajnie je podziwiać, leżąc na plaży w Antibes. Zanim usunęli moje dyby i przywiązali mnie za nadgarstki do drewnianej szubienicy ustawionej na środku placu, rzuciłem na nie okiem.

To pewnie miało boleć i bolałoby w normalnych okolicznościach, ale przez ostatnie miesiące tyle przeszedłem, że ból sam w sobie niewiele już dla mnie znaczył. W największym żarze dnia byłby dokuczliwy, ale nie teraz, późnym popołudniem. Odkryłem kiedyś, że koncentrując się na jakimś niezbyt odległym przedmiocie, można wprowadzić się w coś w rodzaju hipnozy, która sprawia, że czas znacznie się skraca.

Za posterunkiem strażników z pomalowanego na biało masztu spłynęła flaga Zjednoczonej Republiki Arabskiej, nieco dalej trzej mężczyźni i chłopiec spędzali z pustyni stado owiec liczące kilkaset sztuk. Gęsta chmura pyłu wzbита spod ich racic niosła się w stronę miasta jak kłęb dymu i flaga na maszcie załopotała.

**Wszystko to było bardzo biblijne, bardzo starotestamen-towe - poza tym, że pastuszkowie nieśli broń automatyczną, co zapewne o czymś świadczyło, chociaż nie byłem pewien o czym. Boże, ależ ja byłem wyczerpany. Zamkną-
11**

łem oczy i przez chwilę oddychałem głęboko. Kiedy znowu je otworzyłem, nic się nie zmieniło. Ten sam plac, te same brudne małe domki, ten sam niesamowity brak ludzi. Woleli siedzieć w domach, kiedy Hussein był w pobliżu.

Ze swojego biura wyłonił się Tufik z manierką wody i skierował się w moją stronę. Z każdego pora jego skóry wypływał pot. Wdrapanie się na starą skrzynkę, na której wcześniej stali dwaj strażnicy, którzy mnie wieszali, wymagało od niego ogromnego wysiłku, ale zrobił to i wcisnął szyjkę manierki między moje zęby. Pozwolił mi wypić mały łyk, a resztę wylał na moją głowę.

- Niech pan będzie rozsądny, panie Smith, kiedy on wróci. Proszę mi to obiecać. Jeśli dalej będzie go pan denerwował, źle się to dla pana skończy.

Patrzył na mnie niespokojnie, ocierając twarz wilgotną chusteczką. Ciekawe. Zwracał się do mnie per pan, co zdarzyło mu się po raz pierwszy, i martwił się o mnie -za bardzo się martwił. To nie miało za grosz sensu, ale zanim zdołałem się nad tym zastanowić, wrócił Hussein.

Jego land-rover rozpedził owce, odległe teraz o sto jardów, i zatrzymał się gwałtownie przed

posterunkiem. Major wysiadł i skierował się w moją stronę. Stał jakieś dziesięć jardów ode mnie, podniósł na mnie pełen nienawiści wzrok, a potem odwrócił się i wszedł na posterunek.

Owce wpłynęły między domy i przeszły przez plac, kierując się do sadzawki z drugiej strony miasteczka. Chłopiec, którego zauważyłem wcześniej, dziesięcio- lub jedenastoletni, mały, ciemny i pełen energii, biegał tam i z powrotem, gwizdząc i klaszcząc w dłonie, by pogonić stado. Jego trzech towarzysze byli typowymi Beduinami w wyświechtanych szatach i burnusach, chroniących przed ciężkim kurzem wzbijanym przez owce.

12

Przeszli obok ze zwieszonymi głowami, poganiając energicznie stado, skupieni na swoich sprawach.

Owce dzwonki pobrzękiwały w stojącym nieruchomo powietrzu. Było bardzo cicho, a słońce chyliło się nad horyzontem. Za pół godziny cała ta zgraja zakończy swój dzień pracy i wróci z przystani.

Owce walczyły o najlepsze miejsca przy wodopoju, a pastuchowie przykucnęli pod ścianą, przyglądając się im. Po chwili otworzyły się drzwi posterunku i pojawił się w nich Hussein. Ruszył ku mnie z dwoma żołnierzami depczącymi mu po piętach. Kiedy mnie odcięli, spadłem na ziemię, zwinięty w kłębek.

Hussein coś powiedział, ale nie zrozumiałem co.

Żołnierze podnieśli mnie i poprowadzili między sobą przez plac do domu Tufika.

Tłuścioch mieszkał sam, jeśli nie liczyć starej kobiety, która przychodziła mu gotować i prać. Mieszkanie służyło jednocześnie za biuro. Stało tu biurko z żaluzjowym zamknięciem, dwa drewniane krzesła i stół. Major rzucił jakiś rozkaz i żołnierze posadzili mnie na jednym z krzeseł, mocno związując moje ramiona.

Wtedy zobaczyłem jego bicz - sądząc z wyglądu, był to prawdziwy bicz ze skóry nosorożca, gwarantujący zdarcie skóry do kości. Husseinini zdjął kurtkę munduru i zaczął powoli zakasywać rękawy. Tufik patrzył na to przerażony i pocił się jeszcze mocniej niż zwykle. Dwaj żołnierze stanęli pod ścianą, a major podniósł bicz.

**- No, Żydzie - wycedził, oburącz zginając go w kabłąk. - Na początek tuzinek, a potem zobaczymy.
- Majorze Husseinini - powiedział jakiś głos po angielsku.**

Husseinini odwrócił się gwałtownie, a ja podniosłem głowę. W drzwiach stał jeden z pastuchów. Prawą ręką

13

sięgnął do burnusa i ściągnął go, odsłaniając ogorzałą twarz i usta, które zawsze wyglądały, jakby za chwilę miały rozjaśnić się w uśmiechu, ale rzadko to czyniły, i szare oczy, zimne jak woda w górskim strumieniu.

- Sean? - wykrztusiłem zaskoczony. - Sean Burke?

Czy to naprawdę ty?

- A któż by inny, Stacey?

Spod szaty wynurzyła się jego lewa ręka, uzbrojona w browning. Pierwsza kula trafiła Husseiniego w ramię, obracając go. Mogłem spojrzeć mu w twarz, kiedy umierał. Druga odstrzeliła tył jego głowy i rzuciła go o ścianę.

Dwaj żołnierze gapili się na Burke'a głupkowato, coraz szerzej otwierając oczy, automaty wciąż zwisały im z ramion. I tak umarli, kiedy karabin maszynowy ściał ich dwiema długimi seriami. Zapadła cisza, którą przerwał Tufik, z trudem wypowiadając słowa:

- Martwiłem się, okropnie się martwiłem. Myślałem, że nie przyjdziecie, że może coś się nie udało.

Burke go zignorował. Podszedł powoli do mnie i pochylił się.

- Stacey? - powiedział cicho i lewą ręką delikatnie dotknął mojego policzka. - Stacey?

Na jego twarzy odmalował się ból - coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem, a potem ten straszliwy, zabójczy gniew, z którego tak sływał.

- Co mu zrobiłeś? - zapytał Tufika. Nadzorca szeroko otworzył oczy.

- Co ja mu zrobiłem, effendi? Ależ to dzięki mnie jego uwolnienie było możliwe.

- Właśnie doszedłem do wniosku, że nie podobają mi się twoje warunki finansowe.

Browning wysunął się do przodu. Tufik krzyknął
14

z przerażenia i schował się w kącie. Pokręciłem głową i powiedziałem słabym głosem:

- Zostaw go w spokoju, Sean, mogłem wyglądać gorzej. Zabierz mnie tylko stąd.

Browning ponownie zniknął w fałdach szaty. Tufik opadł na kolana i rozplakał się.

Domyśliłem się, kim byli pozostali dwaj pastuchowie.

Pięt Jaeger, Południowoafrykańczyk, jeden z niewielu ocalałych z naszej kampanii w Katandze, i Legrande, były człowiek O AS, którego Burke zrekrutował w Stan-leyville, gdzie odtwarzaliśmy naszą formację. Jaeger usiadł za kierownicą land-rovera Husseiniego, a Legrande pomógł Burke'owi wsadzić mnie na tylne siedzenie. Nikt nie mówił zbyt wiele - najwyraźniej operacja trzymała się jakiegoś grafiku czasowego.

Fuad nadal było ciche jak grób. Wyjechaliśmy na drogę, mijając kolumnę więźniów wracających do obozu.

- Szybko wam poszło - wymamrotałem. Burke skinął głową.

- Czas nas ponagla. Ale o nic się nie martw.

Milę dalej Jaeger zjechał z drogi i przez piaszczyste wydmy dojechał na skraj szerokiej, płaskiej plaży.

Gdy zatrzymał samochód, dobiegł nas dźwięk jakiegoś innego silnika i znad morza wyłonił się samolot, lecący jakieś dwieście-trzysta stóp nad wodą. Legrande wyciągnął raketnicę i wystrzelił flarę, a samolot skręcił ostro i wykonał precyzyjne lądowanie.

Kiedy maszyna podkołowała ku nam, stwierdziłem, że to cessna. Nie było czasu, żeby stać po próżnicy.

Gdy otworzyły się drzwi kabiny, natychmiast pociągnęli mnie do przodu i wepchnęli do środka. Za mną wsiadła reszta

15

i kiedy Legrande zabezpieczał drzwi, cessa skrecała już na wiatr.

Burke przystawił mi flaszkę do ust, a ja zakrztusiłem się, kiedy brandy rozlała się po moim przetyku. Po chwili przestałem kasłać i uśmiechnąłem się słabo.

- Gdzie teraz, pułkowniku? - zapytałem.

- Pierwszy przystanek to Kreta - odparł. - Będziemy tam za godzinę.

Wziąłem od niego butelkę i znowu łyknąłem, po czym odchyliłem się w siedzeniu, a ciepła i cudowna jasność zalała moje ciało. Życie znowu się zaczęło, tylko o tym byłem w stanie myśleć. Kiedy cessa podniosła się w powietrze i skrecała nad morze, słońce zgasło za horyzontem i zapadła noc.

Po raz pierwszy spotkałem Seana Burke'a w Lourenco Marques w portugalskim Mozambiku na początku 1962 roku, w knajpie nad wodą o nazwie "Światła Lizbony". W tym czasie grałem na fortepianie - ta umiejętność była jednym z bardziej praktycznych produktów ubocznych mojej kosztownej edukacji, i teraz go wykorzystywałem. Z powodów, które w tej chwili nie są istotne, w bardzo zaawansowanym wieku dziewiętnastu lat zostałem wędrowcem. Zmierzałem z Kairu do Kapsztadu w niespiesznie pokonywanych etapach.

Znalazłem się w Lourenco Marques, ponieważ tylko dotąd wystarczyło mi pieniędzy na przejazd przybrzeżnym parowcem w Mombasie. Nie zmartwiło mnie to za bardzo. Byłem młody i zdolny i tak zapamiętałem uciekałem od przeszłości, że zastanawiałem się jedynie nad tym, co następnego dnia odkryję za horyzontem.

Tak czy owak, Lourenco Marques dosyć mi się podobało. Miało pewien barokowy urok i - przynajmniej w tamtych czasach - zupełnie nie było tu rasowych napięć, które zauważyłem wszędzie indziej w Afryce.

Człowiek, który prowadził "Światła Lizbony", nazywał

17

się Coimbra. Był chudym, truposzowatym Portugalczykiem, który interesował się tylko jednym - pieniędzmi. O ile zdołałem się zorientować, maczał palce niemal we wszystkim i nie miał absolutnie żadnych skrupułów. Czegokolwiek chciałeś, Coimbra mógł to dla ciebie zdobyć za odpowiednią cenę. Miał także najlepszą kolekcję dziewcząt na wybrzeżu.

Zauważyłem Burke'a, kiedy tylko wszedł, zresztą dzięki imponującej budowie ciała zawsze chyba musiał przyciągać uwagę. Zapewne to właśnie najbardziej w nim uderzało - emanował fizyczną sprawnością i kontrolowaną siłą, która powodowała, że ludzie usuwali mu się z drogi nawet w takim miejscu jak to.

Ubrany był w filcowy kapelusz, kurtkę myśliwską, spodnie khaki i sandały. Jedna z dziewcząt, kwarteronka

0 skórze koloru miodu i ciele, które biskupa rzuciłoby na kolana, przeszła obok niego, kołysząc kuszaco biodrami. Ale Burke spojrział przez nią, jakby po prostu nie istniała,

1 poprosił o drinka.

Dziewczyna miała na imię Lola i gdybyśmy byli dobrymi przyjaciółmi, powiedziałbym mu, że przepuścił cholernie dobrą okazję. Ale byłoby to tylko takie pijackie gadanie - wtedy nie byłem do tego zbyt skory i wydawało mi się to niebezpiecznie niestosowne. Kiedy podniosłem wzrok, Burke stał ze szklanką piwa w ręku i patrzył na mnie.

- Powinieneś to sobie odpuścić - powiedział, kiedy nalałem następnego. - To ci nie przyniesie nic dobrego, przynajmniej nie w tym klimacie.

- Mój pogrzeb.

To chyba dobra odpowiedź, pomyślałem - na miarę twardego poszukiwacza przygód, którym w naiwności serca byłem we własnym wyobrażeniu.

Przypilem do

18

niego, jednak on odmówił mi spokojnie, z twarzą bez wyrazu. Kiedy podniosłem szklankę do ust, musiałem podjąć prawdziwy wysiłek: whisky smakowała obrzydliwie. Zacisnąłem wargi,

pospiesznie odstawiłem szklanę i przycisnąłem dłoń do ust.

Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

- Barman powiedział mi, że jesteś Anglikiem - oświadczył.

Ja pomyślałem o nim dokładnie to samo, być może z racji jego irlandzkiego pochodzenia, na które bardziej wskazywał styl wypowiedzi niż akcent.

Pokręciłem głową.

- Jestem Amerykaninem.

- Nie słysząc tego.

- Tak zwany okres słowotwórczy spędziłem w Europie. Pokiwał głową.

- Pewnie nie umiesz grać The Lark in the Clear Airl

- Owszem, umiem - odparłem i wyprostowałem się, oddając w ten sposób hołd tej pięknej, starej irlandzkiej pieśni ludowej.

Daleko mi było do Johna McCormacka, ale nie było tak źle, przynajmniej moim zdaniem. Kiedy skończyłem śpiewać, Burke pokiwał głową.

- Jesteś dobry, za dobry na to miejsce - oświadczył.

- Dzięki - mruknąłem. - Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zapalę?

- Powiem barmanowi, żeby przysłał ci piwo - powiedział.

Wrócił do baru i chwilę później jeden z pachołków Coimbry klepnął go w ramię. Po krótkiej wymianie zdań poszli razem na górę.

Lola podeszła do mnie, ziewając rozdzierająco. ::-

Straciłaś łup - stwierdziłem.

- Tego Anglika? - Wzruszyła ramionami. -
Widziałam już takich. Półmężczyzna. Wielki we
wszystkim poza tym, co trzeba.

Odeszła, a ja zamyśliłem się nad jej słowami, grając
powolnego bluesa. Wtedy byłem skłonny uznać, że
powiedziała to ot tak sobie albo z zawodowej urazy,
uważając, że zrobiono jej afront. Mężczyzna nie
musiał być homoseksualistą tylko dlatego, że nie był
szczególnie zainteresowany kobietami, chociaż ja
nigdy nie uważałem za cnotę niewykorzystywania
każdej okazji do tego, co -przynajmniej moim
zdaniem - było największą przyjemnością w życiu.
Moja sycylijska połowa bardzo wcześnie odkryła
kobiety.

Dotarłem do końca utworu i zapaliłem papierosa. Z
jakichś powodów zapadła chwila ciszy - ciszy, której
czasami doświadcza się w tłumie. Zdawało się, że
wszyscy przestali rozmawiać i wszystko stało się
zadziwiająco zjawiskowe. Czułem się tak, jakbym
nagle znalazł się na zewnątrz i patrzył na zatłoczone
pomieszczenie, w którym wszystko porusza się w
zwolnionym tempie.

Co ja tu robiłem, na skraju czarnej Afryki? Dookoła
mnie wylaniały się z dymu twarze - hebanowe, białe i
w różnych odcieniach brązu. Zwyczajny motłoch, z
którym nic mnie nie łączyło oprócz jednego -
wszyscy od czegoś uciekaliśmy.

Nagle stwierdziłem, że mam dość. Jakbym w pewnej
chwili zobaczył nie tyle samego siebie, którym byłem

w tamtej chwili, ale tego, którym stałbym się wkrótce -i nie spodobało mi się to, co zobaczyłem. Byłem zgrzany i lepki, pot lał się spod moich pach, więc postanowiłem zmienić koszulę. Teraz oczywiście wiem, że szukałem tylko jakiegoś pretekstu, żeby pójść na górę.

Mój pokój znajdował się na trzecim piętrze, apartamen-

20

ty Coimbry na drugim, a pod nimi były pokoje dziewcząt. Wokół panowała cisza i gdy przystanąłem na początku korytarza, poczułem, że znowu ogarnia mnie ten sam dziwny spokój, którego doświadczyłem już wcześniej.

Kiedy usłyszałem głosy, wydawały się dość odległe.

Ruszyłem w ich kierunku. Pierwsze drzwi

prowadziły do jakiegoś przedpokoju. Wszedłem

ostrożnie i przysunąłem się do ażurowego parawanu, przez który przebijały się tysiące promieni światła.

Coimbra siedział przy swoim biurku, a jeden z jego goryli, Gilberto, stał za nim z pistoletem. Herrera,

człowiek, który przyprowadził tu Burke'a z knajpy, opierał się o drzwi ze skrzyżowanymi ramionami.

Burke stał kilka jardów od biurka, na lekko

rozstawionych nogach, z dłońmi w kieszeniach

myśliwskiej kurtki. Widziałem jego twarz z profilu.

Była kamienna.

- Chyba pan nie rozumie - mówił Coimbra. - Nikt nie jest zainteresowany pańską propozycją, i tyle.

- A moje pięć tysięcy dolarów?

Coimbra wyglądał, jakby za chwilę miał stracić cierpliwość.

- Miałem poważne wydatki w tej sprawie... poważne wydatki - wycedził.

- Nie wątpię.

- Chyba pan wie, majorze, że w interesach zdarzają się takie rzeczy. Zawsze, trzeba być przygotowanym do szybkiego odwrotu. A teraz musi mi pan wybaczyć. Moi ludzie odprowadzą pana. To niespokojna okolica i byłbym niepoczyszony, gdyby przydarzyło się panu coś niedobrego.

- Nie wątpię - powtórzył Burke.

Gilberto uśmiechnął się i pokołysał lugerem trzymanym w dłoni, a Burke zdjął kapelusz i otarł twarz wierzchem prawej dłoni. Wyglądał na zmęczonego.

21

Ale ja zobaczyłem to, czego oni nie mogli widzieć. Wewnątrz kapelusza tkwił banker o krótkiej lufie, przytrzymywany sprężynką. Niemal w tym samym momencie Burke strzelił do Gilberta, rzucając go o ścianę, a potem odwrócił się i wymierzył w wycofującego się Herrarę.

- Nie radzę - powiedział ostrzegawczo.

Odwrócił Herrarę przodem do ściany i przeszukał go szybko. Coimbra, do końca pełen niespodzianek, otworzył srebrne pudełko na cygara i wyczarował stamtąd mały automacik.

Miałem kiedyś przyjaciela, który nigdy nie grał w golfa, ale kiedy zaczął, w ciągu trzech miesięcy został

wspaniałym zawodnikiem. Miał po prostu smykałkę do tej gry, tak jak niektórzy mają dar do języków, a inni mogą rywalizować z komputerem w liczeniu w pamięci.

Pewnego pamiętnego niedzielного popołudnia w pierwszym miesiącu mojego pobytu na Harvardzie jakiś kolega zabrał mnie do miejscowego klubu strzeleckiego. Nigdy w życiu nie strzelałem z pistoletu, ale kiedy ten chłopak włożył mi do ręki colta Woodsmana i powiedział mi, co mam robić, doświadczyłem szczególnego uczucia. Rewolwer stał się nagle częścią mnie, a to, co wyczyniałem z nim w ciągu godziny, wprowadziło wszystkich w zdumienie. Tak więc byłem urodzonym strzelcem z jakąś niesamowitą smykałką do rewolwerów, ale nigdy nie mierzyłem do człowieka. To, co wtedy się wydarzyło, wydawało się tak naturalne, że aż przerażające. Otworzyłem nagle drzwi, padłem na kolana, chwyciłem leżące na podłodze lugera Gilberta i niemal w tym samym momencie strzeliłem Coimbrze w rękę.

Burke odwrócił się, na ugiętych kolanach, jak tygrys gotowy do skoku, ze swoim rewolwerem w jednej dłoni

22

i pistoletem Herrary w drugiej. Chociaż wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, to, że nie zastrzelił mnie odruchowo, dobrze świadczyło o jego samokontroli.

Rzucił mi krótkie spojrzenie i pomyślałem, że zaraz się uśmiechnie. Zamiast tego jednak otworzył drzwi, przez chwilę nasłuchiwał, a potem je zamknął.

- W tym miejscu ludzi obchodzą tylko ich własne sprawy - mruknąłem.

Burke podszedł powoli do biurka. Gilberto leżał skulony pod ścianą, przeciskając ręce do klatki piersiowej, z kącika ust sączyła mu się krew. Oczy miał otwarte, ale najwyraźniej był w głębokim szoku. Coimbra był bardzo blady i trzymał prawą dłoń pod lewym ramieniem, jakby chciał powstrzymać krwawienie. Burke przyłożył lufę swojego rewolweru do jego czoła.

- Pięć tysięcy dolarów.

Coimbra się zawahał, a ja powiedziałem szybko:

- W orzechowym sekretarzyku za tymi drzwiami jest sejf.

Burke głośno odciągnął kurek rewolweru. Coimbra wystękał z ociąganiem:

- Klucz jest w pudełku na cygara pod szufladą.

- Weź go - polecił mi Burke. - Przyniesź wszystko, co znajdziesz.

W kasetce, którą postawiłem na biurku, było znacznie więcej niż pięć tysięcy dolarów, ale nigdy nie dowiedziałem się, ile dokładnie. Burke wziął wszystko, równe paczki banknotów zniknęły w przestronnych kieszeniach jego myśliwskiej marynarki.

- Zawsze trzeba być przygotowanym do szybkiego odwrotu, czy nie tak powiedziałeś, Coimbra?

Ale Coimbra nie odpowiedział; leżał zemdlony na biurku. Herrera nadal stał pod ścianą z rozłożonymi
23

rękoma. Burke odwrócił się i uderzył go jakby mimochodem, trafiając zaciśniętą pięścią w podstawę czaszki. Herrera z jękiem padł na ziemię. Banker wrócił pod swoją sprężynkę wewnątrz kapelusza. Burke umieścił kapelusz na głowie, poprawiając jego rondo przed lustrem, a potem odwrócił się twarzą do mnie.

- Pierwsza zasada w buszu - poinstruował mnie. - Idź, nie biegnij. Zapamiętaj drogę do wyjścia. Wyszliśmy bocznym wyjściem, które zazwyczaj było otwarte - dla klientów, którzy chcieli mieć bezpośredni dostęp do dziewcząt, a nie życzyli sobie rozgłosu. Ford truck stał zaparkowany tuż za rogiem, za jego kierownicą drzemał Murzyn. Burke kazał mi sięść z tyłu, powiedział coś do kierowcy i dołączył do mnie.

Kiedy truck ruszył, zapytałem:

- Dokąd teraz?**
- Stare wojskowe lotnisko w Carubie. Wiesz, gdzie to jest?**
- Jestem w mieście dopiero od dwóch tygodni. Tej pracy w "Światłach Lizbony" nie traktowałem jako celu swojej drogi życiowej. Próbowałem tylko zebrać pieniądze na bilet do Kapsztadu.**
- Z jakiegoś szczególnego powodu?**
- Człowiek musi mieć cel w życiu.**

Przyjął to chyba całkiem poważnie, bo skinął głową.

- To był niezły strzał - zauważył po chwili. - Gdzie się tego nauczyłeś?

Kiedy mu to wyjaśniłem, był wyraźnie zdziwiony. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, jak dobrze musiałem wypaść, ponieważ nie wiedziałem, że instynktownie zachowałem się jak profesjonalista, który pierwszy

24

pocisk zawsze kieruje w rękę przeciwnika, wiedząc, że nawet umierający człowiek wciąż może do niego strzelić.

Przejechaliśmy przez roгатki miasta. Nie było tam już lamp ulicznych i spowiły nas ciemności. Po chwili Burke zapytał, czy mam paszport.

Odruchowo sięgnąłem po portfel.

- Tak, ale to chyba wszystko, co mam.

I wtedy, jakby dopiero teraz przyszło mu to do głowy, powiedział:

- Nazywam się Burke. Sean Burke.

- Stacey Wyatt. - Zawahałem się, a potem zapytałem: - Czy mi się zdawało, czy Coimbra nazywał pana majorem?

- Zgadza się. Dwadzieścia lat spędziłem w armii brytyjskiej, w komandosach. Odszedłem w zeszłym roku. Teraz działam z pełnomocnictwa rządu w Katandze.

- Kongo?

- Formuję specjalną jednostkę, która ma pomóc w utrzymaniu porządku. Coimbra miał mi znaleźć kilku ludzi, ale drań nawet nie próbował. Mam

starego DC-3, który czeka na lotnisku, i nie mam nikogo, kto mógłby nim polecieć.

- Oprócz mnie.

Powiedziałem to bez zastanowienia i nie mogłem już tych słów cofnąć, nawet gdybym chciał. Z jednej strony powodowała mną duma, ale także coś jeszcze.

Z jakiegoś powodu potrzebowałem aprobaty Burke'a. Przypuszczam, że psychologowi analiza tej sytuacji nie sprawiłaby wiele trudu. Zbyt wcześnie straciłem ojca i całą resztę rodziny z jego strony.

Teraz ciężko pracowałem nad tym, by wymazać z pamięci wypadki kilku ostatnich miesięcy. Straciłem wtedy matkę i zostałem z jedną tylko osobą na

25

świecie, która naprawdę się o mnie troszczyła - moim dziadkiem. Jedyną osobą, którą bałem się kochać. W moje myśli wdarł się głos Burke'a.

- Mówisz poważnie? - zapytał.

- Coimbra był pierwszym człowiekiem, do którego strzeliłem - oświadczyłem. - Myślę, że powinieneś to wiedzieć.

- Cztery tysiące franków miesięcznie - rzucił. -

Łącznie ze wszystkim.

- Łącznie z ochroną? Słyszałem, że tam jest dość ciężko.

Zmienił się teraz całkowicie, był niemal zupełnie inną osobą. Roześmiał się w ciemnościach i objął mnie ramieniem.

- Nauczę cię, Stacey, wszystkiego, co powinieneś wiedzieć. Przejdziemy Kongo od końca do końca i wyjdziemy, śmiejąc się, z kieszeniami pełnymi złota. Za horyzontem jak odległy werbel zagrział grom i zaczął padać ciężki, ciepły deszcz, grzechocząc o płócienny dach. Powietrze było naelektryzowane. Rozpierało mnie podniecenie. Myślę, że po prostu chciałem być taki jak on. Twardy, nieulekły, niezależny, zdolny zmierzyć się z całym światem i wygrać.

Boże, ależ byłem wtedy szczęśliwy - po raz pierwszy od lat - kiedy truck telepał się przez noc, a moje nozdrza wypełniał pył Afryki.

"Łajdaki Burke'a" - z takim określeniem wyskoczył pewien pismak po naszym pierwszym rajdzie na Katangę. Straciliśmy wtedy wielu ludzi, ale przeciwnicy stracili ich więcej, a gazetowe opowieści tylko wspomogły rekrutację. Na chwilę wykreowały Burke'a na bohatera, a potem o nim zapomniały, ale do tego czasu utrwaliła się nasza reputacja

elitarnego korpusu. Teraz już ludzie sami się zgłaszali i Burke mógł przebierać w kandydatach. To były wspaniałe dni - najlepsze, jakie kiedykolwiek przeżyłem. Ostre życie, ostry trening. Wtedy po raz pierwszy poczułem swoją siłę, wypróbowałem swoją odwagę i stwierdziłem - podobnie jak zapewne większość ludzi - że nawet kiedy się boję, mogę mimo wszystko iść dalej, a to w końcu jest najważniejsze. Burke'owi wciąż było mało. W chwili przerwy pomiędzy kolejnymi naborami zmusił nas nawet do

treningu spadochronowego, zrzucając nas nad lotniskiem Lumba ze starego de havillanda rapide'a. Miesiąc później wykorzystaliśmy nasze nowe umiejętności w praktyce i skoczyliśmy na misję w Kasai, tuż pod nosem simbów, miejscowych partyzantów. Przedarliśmy się przez kilkaset mil nieprzyjaznego buszu i wyprowadziliśmy z misji osiem zakonnic.

Dzięki tej małej wycieczce Burke awansował na pułkownika, a ja na kapitana. W tym samym czasie na Haryardzie byłbym mniej więcej na trzecim roku. Wiodłem niezłe życie, pełne akcji i pasji, a pieniądze, zgodnie z obietnicą Burke'a, spływały regularnie. Dwa lata później ci z nas, którzy zostali, musieli z trudem wygrzebywać się z tego, w co się wpakowaliśmy.

Wbrew obiegu opinii większość najemników trafiła do Konga z tych samych powodów, dla których inni zaciągali się do Legii Cudzoziemskiej. Tak to już w życiu jest. Widziałem, co zostało z osadników poćwiartowanych piłą w tartaku. Znałem też najemników, którzy mieli zwyczaj pozbywać się więźniów, wsadzając ich do skrzynek po amunicji i wrzucając do jeziora Kivu - i to tylko wtedy, gdy byli zbyt zmęczeni, by posłużyć się nimi jako tarczami strzeleckimi.

Bardzo się potem zmieniłem, ale Pięt Jaeger nie zmienił się ani trochę. Pochodził z miasta położonego w środku dżungli północnego Transwalu, gdzie wciąż wierzono, że kafirowie nie mają dusz, i był

jednym z nielicznych z pierwszego składu komanda, którzy przeżyli.

Nie był rasistą - co wydawało się dziwne, jeśli zważyć na jego przeszłość. Dołączył do nas, ponieważ szansa na przeżycie przygody i trochę pieniędzy w kieszeni korzystnie kontrastowała z rodzinną farmą i ojcem, w jednej ręce noszącym Biblię, a w drugiej pejcz, który równie chętnie wypróbował na grzbiecie Pięta, jak i na plecach pracujących dla niego kafirów. Pięt Jaeger został z nami,

28

ponieważ uwielbiał Burke'a, poszedł więc za nim do tego piekła i bez wahania zrobiłby to raz jeszcze.

Teraz obserwowałem go w lustrze, kiedy starannie golił moją brodę. Młody bóg o brązowej skórze, z krótko ostrzyżonymi jasnymi włosami. Spełnienie marzeń szefów castingu, szukających aktorów do roli młodego oficera SS, ogarniętego rozterkami sumienia i w ostatniej scenie poświęcającego się dla dziewczyny.

W drzwiach pojawił się Legrande ze swoją pozbawioną wyrazu twarzą wieśniaka i gauloise'em zwisającym spod ciężkich wąsów. Jak już mówiłem, większość z tych, którzy przybyli do Konga, trafiła tam w poszukiwaniu przygody, ale były też i wyjątki - i takim wyjątkiem był Legrande. Strzelec OAS i bezlitosny zabójca, przyjechał do Konga, szukając azylu, i pomimo mojego młodego wieku okazywał mi coś na kształt niechętnego szacunku. Podejrzewam,

że zawdzięczałem to moim umiejętnościom strzeleckim, a może też jakimś innym powodom. Pięt delikatnie zdjął gorący ręcznik i odsunął się, a z lustra spojrzął na mnie jakiś obcy, z wyraźnie wybijającymi się kośćmi posępnej, pociemniałej od słońca twarzy i z ciemnymi oczami, patrzącymi gdzieś w niebyt. Ktoś cichy i spokojny, pokornie czekający na rozwój wydarzeń.

- Trochę ciała, to wszystko, czego ci brak - stwierdził Pięt. - Potrzebne ci dobre jedzenie i mnóstwo czerwonego wina.

- I baba - dodał Legrande ze śmiertelną powagą. - Dobra baba, która zna się na rzeczy. Równowaga we wszystkim.

- Słyszałem, że na Sycylii takich pełno - mruknął Pięt. Spojrzałem na niego ostro, ale zanim zdążyłem zapytać,

co ma na myśli, z tarasu weszła jakaś kobieta i zawahała się na nasz widok. Najwyraźniej była Greczynką i miała

29

może trzydzieści-trzydzieści pięć lat. Trudno ocenić dokładny wiek chłopki. Miała mnóstwo smoliście czarnych włosów, które spływały jej na plecy, oliwkową skórę, ledwie widoczne zmarszczki wokół oczu i miłe spojrzenie.

Legrande i Pięt wybuchnęli śmiechem. Pięt popchnął Francuza ku drzwiom.

- Zostawiamy cię z tym, Stacey.

Ich śmiech przez chwilę odbijał się słabym echem w pokoju. Kobieta położyła na łóżku dwa czyste ręczniki i białą koszulę, uśmiechnęła się i powiedziała coś po grecku. Nie znam tego języka, więc spróbowałem po włosku, pamiętając, że Włosi byli tu w czasie wojny. Ale włoski nie wywołał reakcji, podobnie jak niemiecki.

Wzruszyłem bezradnie ramionami, a ona znowu się uśmiechnęła i z jakiegoś powodu potargała mi włosy, jakbym był uczniakiem. Wciąż siedziałem przed toaletką, przy której golił mnie Pięt. Greczynka stała bardzo blisko, z piersiami na wysokości mojej twarzy. Nie używała perfum, ale tania, bawełniana sukienka, którą miała na sobie, była dopiero co wyprana i pachniała bardzo świeżo, czysto i kobieco, napełniając mnie bólem, o którego istnieniu już zapominałem.

Przyglądałem się jej, jak przechodzi przez pokój i wychodzi na taras, po czym odetchnąłem głęboko kilka razy. Minęło dużo czasu, cholernie dużo czasu, od kiedy miałem do czynienia z kobietą, a Legrande jak zwykle wsadził palec prosto w ranę. Podniosłem się z krzesła i zacząłem się ubierać.

Willa była położona na zboczu wzgórza, kilkaset stóp ponad białym piaskiem plaży. Ktoś musiał wydać niezłą fortunę, by przerobić w ten sposób wiejski dom.

30

Siedziałem przy stole na skraju tarasu w gorącym słońcu. Po chwili pojawiła się kobieta, niosąca tacę z

grejpfrutem i jajecznicą na bekonie oraz bardzo angielskim dzbankiem herbaty. Moje ulubione śniadanie. Burke pomyślał o wszystkim. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek jakikolwiek posiłek smakował mi tak jak ten - na tarasie z widokiem na Morze Egejskie, z wynurzającymi się z mgły Cykladami gdzieś na północy.

To wszystko miało jakiś dziwny posmak nierealności i nagle przyszło mi do głowy koszmarne podejrzenie. Gdzie ja właściwie jestem? Tu czy w Dziurze?

Zamknąłem na chwilę oczy, a kiedy je otworzyłem, zobaczyłem, że Burke patrzy na mnie uważnie.

Miał na sobie wyblakłą kurtkę myśliwską i spodnie khaki, stary filcowy kapelusz rzucał cień na jego twarz. W rękę trzymał karabin Martini kalibru .22.

- Nie wychodzisz z wprawy, co? - powiedziałem. Skinął głową.

- Strzelałem do wszystkiego, co się rusza. Wspaniały poranek. Jak się czujesz?

- Znacznie lepiej. Doktor, którego przysłałeś, zaaplikował mi kilka doskonałych leków. I dzięki za śniadanie. Pamiętałeś.

- Na tyle cię już znam - odparł i uśmiechnął się tym swoim rzadko pojawiającym się uśmiechem, który zdawał się niemal roztopiać to coś mroźnego, tkwiącego w środku.

Widząc go tu w filcowym kapeluszu i myśliwskiej koszuli, znowu przypomniałem sobie nasze pierwsze spotkanie w Mozambiku. Wyglądał niemal tak samo -budowa zapaśnika wagi ciężkiej i energia człowieka

**o połowę młodszego -jednak coś się zmieniło:
odrobinę, ale widocznie.**

**Po pierwsze, pod oczyma miał worki i zaostrzyły się
31**

**rysy jego twarzy. Gdyby to był ktokolwiek inny,
powiedziałbym, że pije za dużo, ale wódka nigdy go
nie pociągała, podobnie zresztą jak kobiety, skoro
już jesteśmy przy tym temacie. Ledwie tolerował
moje potrzeby dotyczące obu tych zagadnień.**

**Największy szok przeżyłem, kiedy usiadł i zdjął
okulary przeciwsłoneczne. Jego oczy, te piękne szare
oczy, były teraz puste, jakby przysłonięte
nieprzejrzystą błoną obojętności. Kiedy w obozie
pracy w Fuadzie zabłysnął w nich gniew, przez
krótką chwilę widziałem dawnego Seana Burke'a.**

**Teraz jednak miałem wrażenie, że patrzę na
człowieka, który stał się obcy dla siebie samego.**

**Nalał filiżankę kawy, wyjął paczkę papierosów i
zapalił jednego. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby
palił. Ręka trzymająca papierosa drżała leciutko.**

**- Od czasu, kiedy mnie ostatnio widziałeś, Stacey,
dorobiłem się kilku wad - mruknął.**

- Na to wygląda.

- Bardzo źle tam było?

**- Z początku nie. Więzienie w Kairze było nie gorsze
od innych na świecie. Ale ten obóz pracy był fatalny.
Od czasu Synaju Husseini miał chyba coś z dekletem.
Myślał, że pod każdym łóżkiem siedzi Żyd.**

**Wyglądał na zaintrygowanego, więc wyjaśniłem, o
czym mówię. Kiedy skończyłem, skinął głową.**

- Widziałem już, jak ludziom tak odpalało.
Nastąpiła chwila ciszy, jakby zastanawiał się, co powiedzieć. Nalałem sobie kolejną filiżankę herbaty i poczęstowałem się jego papierosem. Dym uderzył mi w gardło jak kwas i zakrztusiłem się.

Sean zerwał się natychmiast.

- Co jest? Co się stało? - zapytał z niepokojem.
Zdołałem złapać oddech i uniosłem papierosa.

32

- Tam musiałem obejść się bez tego, więc ten smakuje jak najpierwszy w życiu. Nie martw się, nic mi nie będzie.

- Ale po co znowu zaczynać!

Zaciągnąłem się po raz drugi i wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

- Staruszek Wolter miał rację. Są takie przyjemności, dla których warto skrócić życie. Zmarszczył brwi i wyrzucił swojego papierosa za balustradę, jakby przyznanie mi słuszności było całkowicie sprzeczne z jego własnymi poglądami. Dla niego mężczyzna - prawdziwy mężczyzna - był całkowicie samowystarczalnym, zdyscyplinowanym stworzeniem, kontrolującym swoje otoczenie i odpornym na wszelkie pokusy, na wszelkie obsesyjne potrzeby.

Siedział tu teraz, wciąż z lekkim wyrazem dezaprobaty na twarzy, wpatrzony w przestrzeń, a ja obserwowałem go. Sean Burke, najlepszy, najdoskonalszy wojownik, jakiego w życiu znałem. Wspaniały żołnierz, Achilles bez pięty, a jednak i on

gdzieś tam w środku miał jakieś otchłanie. Jak już mówiłem, rzadko się uśmiechał, jakby jakieś mroczne wydarzenie, które dotknęło go w przeszłości, nadal w nim tkwiło. Jego duchowym domem wciąż była armia, prawdziwa armia, tego byłem pewien -i wedle wszelkich reguł powinien w niej zrobić oszałamiającą karierę.

W czasie krótkiej chwili sławy w Kongu gazety przekopały gruntownie jego przeszłość. Urodził się w Eire, jako syn anglo-irlandzkiego protestanckiego ministra, który swego czasu walczył z zapałem za Republikę. Podczas drugiej wojny światowej jako siedemnastolatek dołączył do Straży Irlandzkiej i szybko został przeniesiony do Regimentu Komandosów. Szybko też dostał M.C. jako młody porucznik pod Arnhem, a w Malai jako kapitan

33

I

dostał D.S.O. i awans na majora. Dlaczego wtedy zrezygnował? Brakowało oficjalnego wyjaśnienia, które miałyby jakikolwiek sens. Sam Burke powiedział wtedy, że armia po prostu stała się zbyt nudna. Ale w pewnej gazecie pojawił się pełen niedomówień i insynuacji artykuł, który podsuwał inne wyjaśnienie - że groził mu sąd wojenny, że nie zrezygnował, ale został wydalony z armii i całkowicie pohańbiony. Znowu przypomniałem sobie nasze pierwsze spotkanie w "Światłach Lizbony". Co o nim wtedy powiedziała Lola? Półmężczyzna. Wielki we wszystkim oprócz tego, co trzeba. Całkiem

możliwe. Wszystko było możliwe na tym najgorszym ze wszystkich możliwych światów.

Moje prawdziwe ja nie mogło jednak zaakceptować tej myśli w poranek taki jak ten. Świat był piękny, ten świat poza Dziurą, był pełen ciepła, powietrza i światła, słodkich dźwięków, słońca i kolorów oślepiających mózg.

Sean wstał i przechylił się przez balustradę, wyglądając na morze.

- Niezłe miejsce, co? Skinąłem głową.**
- Do kogo należy? - zapytałem.**
- Do faceta nazwiskiem Hoffer. Karl Hoffer.**
- A kim on jest?**
- Austriackim finansistą.**
- Nie mogę powiedzieć, żebym o nim słyszał.**
- Nie możesz. Nie jest entuzjastą gazetowych publikacji.**
- Jest bogaty?**
- Jest milionerem, ale to wedle moich standardów, a nie twoich, jankeskich. To właśnie jego złoto przewoziłeś tej nocy, kiedy Egipcjanie cię dorwali. Była to interesująca wiadomość. Milioner i finansista, który oddaje się drobnemu szmuglowi złota na boku, jest raczej rzadkim zjawiskiem. Herr Hoffer wyglądał na człowieka o nieograniczonych możliwościach.**
- Gdzie on teraz jest?**

- W Palermo - odparł Burke, a w jego głosie pojawiło się jakieś ożywienie, jakbym pytając o to, ułatwił mu zadanie.

Może to tłumaczyło uwagę Pięta o dziewczynach z Sycylii.

- Kiedy zabraliście mnie do samolotu, zapytałem, dokąd lecimy - powiedziałem - a ty oświadczyłeś, że pierwszym przystankiem jest Kreta. Pewnie drugim jest Sycylia?

- Sto tysięcy dolarów w czterech ratach plus wydatki, Stacey - oświadczył, po czym usiadł z powrotem i przechylił się przez stół. Tak ciasno splótł dłonie, że pobiełały mu kłykcie. - Co ty na to?

- Za kontrakt? - zapytałem. - Kontrakt na Sycylii? Skinął głową.

- Robota najwyżej na tydzień. Z tobą bez trudu sobie / nią poradzimy.

Wszystko zaczęło mi się układać w głowie.

- Mówiąc o mnie, masz na myśli mnie jako Sycylijczyka, prawda?

- Oczywiście. - Kiedy był podekscytowany, jego irlandzkie pochodzenie wyłaziło z niego jak śmietanka wypływająca na powierzchnię mleka. - Z twoim sycylijskim pochodzeniem musi nam się udać. Bez ciebie, uczciwie przyznam, pewnie nie mielibyśmy szansy.

- Bardzo interesujące - mruknąłem. - Ale powiedz mi coś, Sean... Czy siedziałbym tu w tej chwili, gdyby nie trafił ci się ten sycylijski biznes? Gdybyś mnie nie potrzebował?

34

35

Popatrzył na mnie Wyglądał jak motyl przyszpilony do tablicy kolekcjonera. Próbował coś powiedzieć, ale nie udało mu się.

- Ty draniu - syknąłem. - Możesz wsadzić sobie w dupę te sto tysięcy dolarów.

Jego dłonie rozłączyły się, a skóra na twarzy powlekła się mleczną bielą. Coś drgnęło w tych szarych oczach.

- Przeszliśmy długą drogę od "Świąteł Lizbony", prawda, pułkowniku? - powiedziałem, a potem wstałem, nie czekając na jego odpowiedź, i zostawiłem go tam.

W zimnym cieniu mojej sypialni zalała mnie złość. Ręce zaczęły mi się trząść i poczułem, że całą twarz mam zlaną potem, więc otworzyłem górną szufladę toaletki w poszukiwaniu chusteczki. Zamiast niej znalazłem pistolet - taki sam, jaki zwykle nosiłem, replikę tego, którego tamtej nocy tysiące lat temu pozbawili mnie Egipcjanie - smith & wesson kalibru .38 special z dwucalową lufą i kaburą.

Przymocowałem go do pasa z przodu po prawej stronie, wciągnąłem znaną za drzwiami lnianą kremową marynarkę i wsunąłem do kieszeni paczkę naboí.

W living roomie znalazłem talię kart, co oznaczało, że Legrande i Pięt są gdzieś w pobliżu. Wyszedłem, kierując się ścieżką w dół zbocza, do białej plaży

poniżej. Napięcie powoli ustępowało. Nadszedł czas, żeby sprawdzić, czy niczego nie zapomniałem.

W normalnej walce każdy żołnierz zawsze woli mieć przy sobie dobry karabin niż rewolwer. Wbrew temu, co pokazują w westernach, broń krótka nie jest zbyt użyteczna na odległość powyżej pięćdziesięciu jardów i większość ludzi z dziesięciu kroków nie trafiłaby z niej nawet w drzwi stodoły. Nie ma jednak najmniejszych wątpliwości, że dla kogoś, kto naprawdę zna się na rzeczy, w bezpośrednim starciu najlepszy jest dobry rewolwer lub pistolet.

Swego czasu moją ulubioną splaną był automatyczny browning P35, obecnie standardowe wyposażenie British Army - przede wszystkim z tego powodu, że mogłem oddać z niego trzynaście strzałów bez przeładowania. W automatach jest jednak mnóstwo drobiazgów, które mogą zawieść. Nie widziałem nigdy żadnego profesjonalnego strzelca, który wybrałby automat.

W zasadzce w Kimpali zaatakował mnie rozpędzony jak pociąg ekspresowy simba z trzystopową maczetą w prawej ręce. Strzeliłem do niego, jednak iglica uderzyła w niewypał. W rewolwerze bębenek po prostu

37

obróciłby się dalej, ale to był pistolet. Zaciął się i mój czarnoskóry przyjaciel dalej na mnie leciał z obłędem w oczach.

Spędziliśmy parę minut, walcząc na ziemi, i wspomnienie tych chwil wracało do mnie później przez jakiś czas. Od tego czasu byłem zdeklarowanym rewolwerowcem. Jeśli zostawisz jedną komorę pustą dla bezpieczeństwa, masz tylko pięć nabojów, ale w zamian zyskujesz całkowitą niezawodność.

Kiedy zszedłem na plażę, było cicho i spokojnie, morze wyglądało jak niebieskozielone lustro, a słońce przypiekało tak silnie, że skał nie sposób było dotknąć, tak były rozgrzane. Światło odbijało się od białego piasku, zamazując kształty i oślepiając. Zdjąłem marynarkę i załadowałem smith & wessona pięcioma nabojami. Potem zważyłem go w lewej i prawej dłoni. Ten rytuał był początkiem pracy. Żar przepalał cienkie podeszwy moich butów, prażył moje plecy, stawał się częścią mnie, tak jak był nią ten rewolwer z uchwytem idealnie pasującym do mojej dłoni. Nie było w nim nic specjalnego, żadnej rzeźbionej na zamówienie rękojeści czy podpiłowanego spustu. Zwyczajna fabryczna, pierwszorzędna śmiertelna broń, zupełnie jak Stacey Wyatt.

Wyjąłem talię kart i ustawiłem pięć w jednym rzędzie na krawędzi bazaltowej skały, po czym odmierzyłem piętnaście kroków. Kiedyś potrafiłem strzelić w pół sekundy pięć razy z tej odległości, ale od tamtych czasów wiele się wydarzyło.

Przykucnąłem, odwiodłem kurek i strzeliłem, trzymając rewolwer w wyciągniętej ręce na

wysokości klatki piersiowej. Echa wystrzałów zamarły na oleistym morzu. Przeładowałem broń i podszedłem do skały.

38

Dwa trafienia na pięć. Co prawda pozostałe trzy kule nie padły zbyt daleko od celu, ale i tak nie był to dobry wynik. Wróciłem na poprzednie miejsce, przybrałem pozycję strzelecką, z rewolwerem przy lewym oku, i wypaliłem kolejno do pięciu kart. Zgodnie ze swoimi oczekiwaniami trafiłem wszystkie. Ustawiłem nowe karty i znowu spróbowałem. Tym razem opróżniłem magazynek znacznie szybciej.

Jeszcze po jednym trafieniu do każdej, postanowiłem. Ustawiłem równo karty, załadowałem, po czym odwróciłem się i na szczycie ścieżki zobaczyłem Burke'a. Stał tam i patrzył, anonimowy w swoich ciemnych szklach. Wróciłem do linii strzału, odciągnąłem kurek i wypaliłem pięć razy w tak krótkich odstępach, że strzały zabrzmiały jak jeden ciągły grzmot. Kiedy przeładowywałem broń, Burke podszedł i obejrzał karty. Cztery trafienia - trzy blisko siebie, jedno na samym skraju. O włos wyżej chybiłbym.

- Trochę czasu, Stacey - powiedział Burke. - To wszystko, czego ci trzeba.

Wyciągnął rękę, a ja podałem mu smith & wesson. Ważył go przez chwilę w dłoni, a potem odwrócił się i wystrzelił, wysuwając prawą stopę tak daleko do

przodu, że lewe kolano niemal dotykało ziemi, i trzymając rewolwer w wyprostowanej ręce. Oddał pięć strzałów - trzy padły blisko siebie, pozostałe dwa zniosło na prawo. Pokazałem mu karty. Skinął głową, na jego twarzy nie było widać żadnej satysfakcji.

- Nieźle. Zupełnie nieźle - oznajmiłem. - Z lekką tendencją do znoszenia na prawo. Może powinieneś odciążyć spust?

- Dzięki za opinię - mruknął. Znów zacząłem przeładowywać.

39

- Dlaczego nie zabrałeś ze sobą ciężkiej brygady? - zapytałem.

- Pięta i Legrande'a? - Potrząsnął głową. - To sprawa między tobą a mną, Stacey. Nie dotyczy nikogo innego.

- Nasz związek ma wyjątkowy charakter, czy to właśnie próbujesz mi powiedzieć? Zupełnie jak Ameryka i Anglia.

Nie był specjalnie wkurzony, ale gdzieś tam pod powierzchnią pulsował gniew.

- W porządku, a więc wyostałem cię trochę później, niż zamierzałem. Masz pojęcie, ile czasu zajmuje zorganizowanie takiej misji? I ile to kosztuje?

Przez chwilę stał w milczeniu, czekając, jak sądzę, na jakąś reakcję z mojej strony, a kiedy się nie doczekał, odwrócił się nagle i ruszył nad wodę.

Podniósł kamień, cisnął nim w skałę i usiadł, wpatrując się w dal. Sprawiał wrażenie strapionego.

Po raz pierwszy, odkąd go poznałem, wyglądał na swoje lata.

Schowałem smith & wessona do kabury i przykucnąłem przy Burke'u. Gestem zaproponowałem mu papierosa, ale odmówił lekkim ruchem dłoni, jakby strącał coś z siebie.

- Co się stało, Sean? - spytałem. - Jesteś jakiś dziwny. Zdjął okulary przeciwsłoneczne, przetarł twarz dłonią

i uśmiechnął się blado, patrząc w morze.

- Kiedy byłem w twoim wieku, Stacey, przyszłość oznaczała nieograniczone możliwości. Teraz mam czterdzieści osiem lat i wszystko jest już za mną.

Zabrzmiało to jak spostrzeżenie, nad którym wcześniej solidnie popracował, co jest bardzo charakterystyczne dla Irlandczyków i wcale nie zaczęło się od Oscara Wilde'a.

- Kumam - powiedziałem. - To poranek pod hasłem "z prochu powstałeś..." i tak dalej.

Ale on jakby mnie nie słyszał.

40

- Życie wcześniej czy później dopada każdego z nas. Budzisz się pewnego ranka i nagle, po raz pierwszy w życiu, chcesz wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Ale kiedy znajdziesz się na marginesie, tak jak ja, prawdopodobnie jest już za późno na to pytanie.

- Zawsze jest za późno na zadawanie takich pytań - mruknąłem. - Począwszy od dnia narodzin.

Czułem, że jestem lekko zdenerwowany. Nie chciałem takiej rozmowy, a jednak tkwiłem w samym jej środku, mimo że przez moją głowę przemknęło niejasne podejrzenie, że Burke mną steruje, że wpadłem w pajęczą sieć irlandzkiego matactwa, zainscenizowanego z talentem godnym Abbey Theatre.

Spojrzał na mnie, a kiedy się odezwał, w jego głosie słysząc było zniecierpliwienie:

- A jak to jest z tobą, Stacey? W co ty wierzysz? W co naprawdę wierzysz?

Od czasu Dziury nie musiałem się już nad tym nawet zastanawiać.

- W Kairze siedziałem w jednej celi ze staruchem o imieniu Malik - powiedziałem.

- Za co on siedział?

- Za jakieś sprawy polityczne. Nigdy nie dowiedziałem się dokładnie. Na koniec go zabrali. Był buddystą... buddystą zeń. Znał na pamięć każde słowo, jakie kiedykolwiek wypowiedział Bodhidharma. To nas zajęło przez trzy miesiące.

- Chcesz powiedzieć, że też zostałeś buddystą? - Na twarzy Burke'a odmalowała się dezaprobata. Pewnie pomyślał, że zamierzam mu powiedzieć, iż nie mogę już stosować przemocy.

Pokręciłem głową.

- Powiedzmy, że pomógł mi ukształtować filozofię życiową. Ja należę do tych wątpiących. Nie wierzę w nic ani w nikogo. Jeśli w coś wierzysz, natychmiast

masz kogoś w opozycji. A wtedy zaczynasz mieć kłopoty.

Chyba mnie nie słuchał, a może po prostu nie zrozumiał.

- To tylko punkt widzenia - mruknął.

- Który prowadzi nas donikąd. - Wrzuciłem do wody to, co pozostało z mojego papierosa. - A więc jak się sprawy mają?

- Powiedzmy, że gorzej być nie może.

Nie tylko willa należała do Herr Hoffera. Wyglądało na to, że również cessa była jego i że to on dał pieniądze, które poszły na operację wydostania mnie z Fuad.

- Czy oprócz twoich ciuchów coś tu należy do ciebie?

- zapytałem.

- Mam tylko to, z czym wyjechaliśmy z Konga - odparł Burke. - Czy muszę ci o tym przypominać?

- Od tamtego czasu zdarzyło nam się parę skoków.

Westchnął i spojrzał na mnie.

- Właściwie mogę ci to powiedzieć. Mieliśmy udział w tym złocie, z którym złapali cię w Ras el Kanayis.

- Jak wysoki był ten udział?

- Postawiliśmy wszystko, co mieliśmy. Mogliśmy zarobić w jedną noc pięciokrotnie więcej. Wyglądało to na dobrą propozycję.

- Miło, że mi to mówisz.

Nie byłem zły. To wszystko nie wydawało mi się już ważne, ale ciekawiło mnie, jaki będzie jego następny ruch.

- Nie ma już żadnych wojen, Sean? - zapytałem. - A co z Biafrańczykami? Nie chcieliby mieć dobrego komanda?

- Im nie wystarczyłoby nawet na pensje dla pomywaczek. Tak czy owak, mam dość takiej gry, wszyscy mamy dość.

42

- A więc Sycylia to jedyna szansa?

Było oczywiste, że właśnie na ten moment czekał -i w końcu umożliwiłem mu to.

- Ostatnia, Stacey... ostatnia i jedyna. Sto tysięcy dolarów plus wydatki...

Podniosłem rękę.

- Żadnych akwizytorskich gadek. Po prostu mi o tym opowiedz.

Boże, ale długą drogę przeszedłem przez te sześć lat od Mozambiku. Mały Stacey Wyatt mówi Seanowi Burke, co ma robić, a ten - o dziwo - słucha go.

- Niewiele tu do opowiadania - odparł. - Hoffer jest wdowcem i ma pasierbicę Joannę. Joannę Truscott.

- To Amerykanka?

- Nie, Angielka, i z tego, co słyszałem, bardzo w stylu "bułka przez bibułkę". Jej ojciec był baronem czy coś w tym stylu. Tak czy owak, jest arystokratką, jeśli to coś znaczy w dzisiejszych czasach. Hoffer od lat ma z nią problemy. Jedna skrobanka za drugą. Dziewczyna sypia, z kim popadnie.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia.

Arystokratką Joanna Truscott... Brzmiało to obiecująco.

- Musi być niezłą laską.**
- Tego nie wiem, nigdy się nie spotkaliśmy. Hoffer ma na Sycylii jakiś biznes z polami naftowymi w miejscu o nazwie Gela. Mówi ci to coś?**
- To dawna grecka kolonia. Tam umarł Ajschylos. Podobno rozwaliła mu głowę skorupa żółwia rzucona przez przelatującego orła. - Burke spojrział na mnie tępo. - Otrzymałem staranne wykształcenie, Sean, nie pamiętasz? Ale mniejsza z tym. Co z tą Truscottówną?**
- Zniknęła jakiś miesiąc temu. Hoffer nie zgłosił tego**

43
na policję, bo pomyślał, że przepadła na jakiejś popijawie. A potem dostał żądanie okupu od bandyty o nazwisku Lentini. Serafino Lentini.

- Stary sycylijski zwyczaj. Ile?**
- Och, całkiem skromnie. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.**
- Poszedł na policję? Burke pokręcił głową.**
- Widocznie był na Sycylii wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie byłby to najmądrzejszy krok.**
- Myślący gość. A więc zapłacił?**
- Właśnie. Ale ten Serafino wziął pieniądze, po czym stwierdził, że zatrzyma dziewczynę na jakiś czas. Ostrzegł również, że gdyby pojawiły się jakieś kłopoty, gdyby Hoffer zaangażował w tę sprawę wymiar sprawiedliwości, odeśle dziewczynę w kawałkach.**

- Sycyliczyk do szpiku kości - mruknąłem. - Czy ten facet ma pojęcie, gdzie Serafino może teraz przebywać?

- Jego główny rejon to góra o nazwie Cammarata. Mówi ci to coś?

Roześmiałem się.

- To dziewicze miejsce. Dzikie, jałowe doliny i szczyty górskie. W tamtejszych jaskiniach dwa tysiące lat temu ukrywali się rzymscy niewolnicy. Jeśli ten wasz Serafino jest góralem, policja może go ścigać ponad rok i nawet go nie zobaczyć. W takim rejonie nawet helikopter nie na wiele się zda. Upał w ciągu dnia robi zabawne rzeczy z powietrzem. Zbyt dużo prądów wznoszących.

- Naprawdę jest tak źle?

- Gorzej. Największy sycylijski bandyta, Giuliano, działał na podobnym terenie i policja nie mogła go złapać, mimo że ściągnęła na pomoc kilka dywizji wojska.

Bruce pokiwał głową.

44

- Moglibyśmy to zrobić, Stacey? - zapytał. - Ty, ja i ciężka brygada?

Zastanawiałem się chwilę. Pomyślałem o Cammaracie, o upale i wulkanicznych skałach i o Serafinie, który mógł już oddać dziewczynę swoim ludziom. Kiedy odpowiedziałem Burke'owi, zrobiłem to wcale nie dlatego, że te wszystkie myśli doprowadziły mnie do mdłości, gniewu czy czegoś w tym rodzaju. Z tego, czego dowiedziałem się o

arystokratycznej Joannie, wynikało, że mogła mieć doskonały ubaw. Nie mogę nawet powiedzieć, że myślałem o pieniądzach. To było coś więcej - coś głębszego - coś osobistego pomiędzy Burkiem i mną, coś, czego nie potrafiłem wtedy wyjaśnić nawet sobie samemu.

- Owszem, myślę, że możemy to zrobić - odparłem w końcu. - Z moim udziałem jest to możliwe.

- A więc pojedziesz?

Położył rękę na moim ramieniu, ale ja nie zamierzałem dać się tak łatwo złapać.

- Pomyślę o tym - odparłem.

Nie uśmiechnął się, nie pokazał po sobie żadnych emocji, ale widać było, że napięcie uszło z niego jak powietrze z balonu i w jednej chwili przemienił się w człowieka, którego zawsze znałem.

- Zuch chłopak. Zobaczą się z tobą później. W willi. Przyglądałem mu się, jak wspina się po ścieżce i znika.

Miałem już dość strzelania, a morze wyglądało kusząco. Przeszedłem kawałek po plaży, rozebrałem się i wszedłem do wody.

W pewnym miejscu skały łączyły się w zbocze rzadko porośnięte trawą, wśród której obficie rosły dzikie kwiaty. Wspiąłem się do połowy jego wysokości i położyłem na plecach. Słońce ogrzewało moje nagie ciało, przez zmrużone powieki wpatrywałem się w białe obłoki, nie większe

od mojej ręki. Odprężyłem się powoli, umysł uwalniał się od wszelkich myśli - była to kolejna sztuczka, której nauczyłem się podczas tych miesięcy spędzonych w więzieniu.

Świat był niebieską kulą, a ja pływałem w niej, drzemiąc wśród wonnych traw.

Kiedy się obudziłem, powietrze było ciężkie i spokojne. Zobaczyłem kwiaty i trawę, która z poziomu wzroku wyglądała jak dżungla, a potem ujrzałem kobietę, obserwującą mnie z odległości kilku jardów. Czy była przypadkowym przybyszem, czy też przysłał ją Burke? Patrzyłem na nią spod przymkniętych powiek, udając, że wciąż śpię, i nie wykonując żadnego ruchu. Stała dwie, może trzy ' ; minuty, z twarzą całkowicie bez wyrazu, a potem ostrożnie odeszła.

Kiedy zniknęła, usiadłem, ubrałem się i zszedłem na plażę. Wszystko zamieniło się w jakąś grę. Burke musiał teraz wykonać nowy ruch, skoro pokrzyżowałem mu poprzedni.

Karty były tam, gdzie je zostawiłem, razem z moim pudełkiem na amunicję. Podszedłem do linii strzału i poczułem w sobie niebywałą moc i pewność.

Odciągnąłem kurek, strzeliłem, przeładowałem w ciągu sekundy, znowu czując, że jestem w swojej skórze. Stacey sprzed Dziury... a jednak nie ten sam. Ponownie strzeliłem, tym razem z lewej ręki, wyciągając rewolwer z kabury na prawym biodrze, i jeszcze zanim sprawdziłem wyniki, wiedziałem, co zobaczę.

Pięć trafień... pięć trafień w każdej karcie, tuż obok siebie. Podarłem karty na małe kawałeczki, wrzuciłem do morza i wróciłem do willi.

Po południu zasnąłem i obudziłem się tuż przed zmierz-

chem, ale wciąż leżałem bez ruchu, gdy Burke ostrożnie zajrzał do mojego pokoju.

Kiedy było już całkiem ciemno, wstałem, wciągnąłem spodnie i wyszedłem na taras. Usłyszałem w pobliżu jakieś głosy. Poszedłem w ich kierunku i

zatrzymałem się przy oknie pokoju, który najwyraźniej był sypialnią Burke'a. Siedział przy biurku w rogu pomieszczenia, a przy nim stał Pięt.

Jego piękne blond włosy lśniły w świetle lampy.

Burke spojrział na niego i uśmiechnął się - uśmiechem, jakiego nigdy nie znałem - a potem pogłaskał go po ramieniu i coś do niego powiedział.

Pięt wyszedł, jak wierny pies.

Burke otworzył szufladę, wyjął z niej butelkę whisky, odkręcił ją i upił łyk, który jak na niepijącego był całkiem niezły. Schował butelkę z powrotem do szuflady. W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła kobieta.

Chciałem odejść, ponieważ niezależnie od wszystkiego nie jestem podglądaczem, ale nie było takiej potrzeby. Burke po prostu siedział, wyglądając jak rasowy pułkownik, i zaczął coś do niej mówić, prawdopodobnie po grecku. Wiedziałem, że dobrze posługuje się tym językiem po kilku latach spędzonych na Cyprze w czasie wojny.

Po chwili kobieta wyszła, a ja wróciłem do siebie. Wszędzie dookoła roilo się od ludzkich dramatów. Zapaliłem papierosa i położyłem się na łóżku, żeby to wszystko przemyśleć.

Ta historia Burke'a... ta historia nie trzymała się kupy. Opowieść o arystokratce Joannie i dzikusie Serafinie. Oczywiście było to możliwe, ale dziwnie niekompletne -jak fuga Bacha ze zgubioną stroną. Gdzieś w pobliżu uderzył piorun. Może to rozzłościł się bogowie? "Och, wybacznam, wszechmogący Zeusie".

Ten stary grecki frazes wynurzył się z jakiejś zakurzonej sali lekcyjnej, by doścignąć mnie wraz z morzem krwi, Achillesem z jego piętą i sprytnym Odyseuszem.

Nie słyszałem, jak kobieta weszła do mojego pokoju. Gdy błyskawica wbiła się w morze, oświetliła jej postać, stojącą na tle francuskiego okna. Nie wydałem żadnego dźwięku. Kiedy znowu się rozjaśniło, podeszła bliżej. Sukienka zsunęła się z niej po drodze i zostało tylko nagie ciało ze światła i tajemnicy, i ciemne włosy spływające na pełne piersi. W ciemnościach, które zapadły, zaczęła dotykać mnie dłońmi, ustami, całym ciałem. Gwałtownym ruchem chwyciłem ją za włosy i szarpnąłem mocno. - Co on kazał ci zrobić? - zapytałem. - Wszystko, czego zapragnę, wszystko, by mnie uszczęśliwić? Musiało ją zabołec, ale nie walczyła ze mną. Kolejna błyskawica oświetliła jej jędrne piersi i oczy, w których; nie było strachu.

Rozluźniłem palce i kobieta osunęła się na podłogę. Delikatnie pogładziłem jej twarz, jej usta musnęły wnętrze mojej dłoni. Więc tak to miało być? Stacey to satyr -wypełnij połowę jego łóżka, a będzie szczęśliwy. Reszta była łatwa. Tak jak moje angielskie śniadanie. Burke pomyślał o wszystkim. Brakowało tylko fortepianu, ale pewnie bardzo się starał, by jakiś zdobyć.

Podszedłem do francuskiego okna i stałem, patrząc na błyskające niebo. Nagle wszystko to wydało mi się śmieszne -jak gra dla dzieci z rozwiązaniem widocznym jak na dłoni.

Burke chciał mnie, bo bardzo mnie potrzebował. W zamian dostawałem dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i zaspokojenie wszystkich potrzeb cielesnych. Na cóż więc mogłem narzekać?

W porządku, niech tak będzie, pomyślałem. Będę grać w jego grze, tak jak robiłem to wcześniej, ale tym razem muszą obowiązywać moje zasady.

Za mną coś się poruszyło. Sięgnąłem w ciemności i przyciągnąłem ją bliżej. Wciąż była naga i lekko drżała. W wilgotnym powietrzu czułem ciężki, lepki zapach mimozy. Cały świat w napięciu czekał na rozładowanie. Ale w końcu niebiosa się otwarły i na ziemię spadł deszcz.

Moje nozdrza wypełniła świeżość, wypierając z nich zapach kobiecości. Zostawiłem dziewczynę, wyszedłem na taras i stanąłem z twarzą uniesioną w górę, skierowaną prosto na deszcz, z półotwartymi ustami, śmiejąc się tak, jak już dawno się nie

śmiałem. Byłem gotów znowu stanąć oko w oko ze światem i pobić go w jego własnej ciemnej grze.

48

Przybyłem do Palermo w Wielki Tydzień, o którym na śmierć zapomniałem. Jechaliśmy trzydzieści pięć kilometrów z lotniska do Punta Raisi i czarny mercedes limuzyna, który po nas wyjechał, ugrzązł na zatłoczonych ulicach. A kiedy udało mu się wyjechać z tłumu, zatrzymał się, by przepuścić procesję, która przeciskała się przez tłum z bogato udekorowaną figurą Madonny, unoszącą się wysoko nad naszymi głowami.

W czasie podróży z Krety Burke był bardzo zdenerwowany. Teraz otworzył okno, wyjrzał przez nie i spytał ze źle skrywaną irytacją:

- Co to ma być?

- Procesja tajemnic - odpowiedziałem. - Takie rzeczy dzieją się w Wielkim Tygodniu na całej Sycylii. Wszystko inne staje się wtedy nieważne. To bardzo religijny naród.

- Na ciebie to za bardzo chyba nie przeszło - stwierdził cierpko.

Pięt Jaeger spojrział na mnie niespokojnie. Nie byłem pewien, ile wie z tego, co powiedzieliśmy sobie z Burkiem na temat tej operacji, ale zmiana relacji pomiędzy nami w ostatnich trzech dniach była znacząca.

- Sam nie wiem... - mruknąłem. - Nie zauważyłeś, że Święta Dziewica ma nóż w sercu? Taka właśnie jest

Sycylia, wszechobecny kult śmierci. Myślę, że doskonale do tego pasuję.

Uśmiechnął się niechętnie.

- Chyba masz rację. Odwróciłem się do Pięta.

- Spodoba się wam tutaj. To piekielne miejsce. Na Wszystkich Świętych tutejsze dzieci dostają prezenty od umarłych. A groby są tu chyba utrzymane najlepiej na świecie.

Pięt wyszczerzył się w uśmiechu, ale Legrande, który siedział przy kierowcy, był zgrzany i zmęczony, a białka jego oczu nabrały żółtego odcienia, co nie wyglądało zbyt dobrze. Może dręczyła go właśnie jedna z wielu chorób, które podłapał w wietnamskim obozie jenieckim po Dien Bien Phu?

- Co to ma być? Wycieczka z przewodnikiem? - warknął.

Zignorowałem go i wychyliłem się przez okno, kiedy mercedes przedzierał się przez tłum. Dziewczęta były ubrane trochę modniej niż wtedy, gdy byłem tu ostatnio, podobnie jak młodzi mężczyźni. Czuję zapach kadzidła i wosku, słyszałem głosy śpiewające hymny daleko poza placem. W pewnej chwili tłum rozdzielił się i pojawili się pokutnicy w spiczastych kapturach i długich białych szatach, wyglądający jak miejscowy odłam Ku-Klux-Klanu.

Nie, nic się nie zmieniło - to najważniejsze, skryte pod powierzchnią, pozostało takie samo.

Jakieś siedem mil za Palermo, przy nadmorskiej drodze do Messyny, znajdują się plaże Romagnolo, ulubione

miejsce weekendowe mieszczuchów. Willa Hoffera był; kilka mil dalej. Wyglądała na najwyżej roczną, może dwuletnią, i architektonicznie była wyraźnie przystosowana do terenu górskiego. Wznosiła się nad nami na trzech poziomach, a na dachu ostatniego było coś w rodzaju mauretańskiego ogrodu.

Całość była otoczona wysokim murem i musieliśmy czekać przy bramie, póki strażnik z karabinem automatycznym przewieszonym przez ramię nie ustali naszej tożsamości.

**- Po co ta prywatna armia? - spytałem Burke'a.
- Hoffer jest bogaty. Od czasu tej sprawy z dziewczyną zaczął się martwić, że może teraz ruszą na niego.**

To brzmiało rozsądnie. Kidnapping był w końcu jednym z najstarszych przemysłów narodowych Sycylii. Bywałem na przyjęciach w Bel Air, gdzie też był uzbrojony odźwierny. Nie tylko na Sycylii bogaci mieli obsesję, że ktoś ich zaatakuję.

Ale wyglądało na to, że Hoffer jest zabezpieczony pod każdym względem. Nawet nasz kierowca, krzepki Nor-mano-Sycylijczyk o ryżych włosach, pod ciasnym garniturem nosił kaburę z bronią.

W powietrzu unosił się zapach wistarii, a po drugiej stronie podjazdu dostrzegłem mnóstwo purpurowych kwiatów. Wszystko tu było bardzo soczyste, bardzo śródziemnomorskie, każde miejsce widokowe zdobiły starannie rozmieszczone palmy,

ale była to wątpliwa harmonia. Przedmioty i widoki były zbyt doskonałe, jak model na papierze. Mercedes zahamował na żwirowym rondzie przed wejściem i kilku służących zbiegło pospiesznie po bagaże. Kiedy wchodzili z powrotem po schodach, na ganku pojawiła się kobieta i spojrzała na nas sennym wzrokiem.

52

Była drobna, ciemnowłosa i miała dojrzałe ciało, choć według mnie mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia dwa lub dwadzieścia trzy lata. Sycylijka do szpiku kości. Włoskie kobiety często sprawiają wrażenie starszych. Miała na sobie czarne spodnie do konnej jazdy, białą jedwabną koszulę zawiązaną w talii i kordobański kapelusz na głowie.

- Kto to może być? - zapytał Pięt.
- Dziewczyna Hofferera - odparł Burke. - Zorientuję się w sytuacji.

Wspiął się na schody i odbył z Włoszką cichą rozmowę, która zamarła, gdy do nich dołączyłem.

- Hofferera nie ma w tej chwili w domu - powiedział do mnie. - Wczoraj wieczorem musiał pojechać do Geli w interesach, ale powinien wrócić późnym popołudniem. Chciałbym ci przedstawić signorinę Rosę Solazzo. Rosa, to mój dobry przyjaciel Stacey Wyatt.

Jej angielszczyzna była doskonała. Na chwilę przytrzymała moją rękę, ale nie zdjęła okularów przeciwsłonecznych.

- Miło mi, panie Wyatt - powiedziała. - Bardzo dużo o panu słyszałam.

Może to była prawda, a może konwencjonalna uprzejmość. Hoffer nie wyglądał mi na kogoś, kto potrzebuje powiernicy, a sądząc z wyglądu signoriny Solazzo, trzymał ją przy sobie raczej wyłącznie po to, by pomagała mu przetrwać długie, bezsenne noce.

Dziewczyna odwróciła się do Burke'a.

- Pokoje dla panów są już przygotowane. Służba jest na wasze zawołanie. Zapewne chcielibyście wziąć prysznic i przebrać się, więc zarządzę posiłek za godzinę.

Odeszła, a my podążyliśmy za służącymi przez wielki

53
zimny hol, gdzie wszystko zdawało się pływać w zieleni i złocie, po czym wspięliśmy się po schodach na drugą kondygnację budynku.

Pięt i Legrande dostali wspólny pokój, ale Burke i ja zostaliśmy zaszczytzeni osobnymi. Mój był długi i wąski, jedną ścianę stanowiły przeszklone drzwi balkonu wychodzącego na ogród. Eleganckie meble były angielskie, a dywan tak gruby, że pochłaniał wszystkie dźwięki. Za wewnętrznymi drzwiami znalazłem łazienkę.

Służący położył moją torbę na łóżku i oddalił się, a ja poszedłem do łazienki i odkręciłem prysznic. Kiedy wróciłem do sypialni, przy oknie stał Burke.

Zmusił się do uśmiechu.

- Bogate życie pełną gębą, co?

- Coś w tym stylu. Nie wiem jak ty, ale ja idę pod prysznic.

Najwyraźniej chciał być uprzejmy, bo od razu ruszył ku drzwiom.

- Dobry pomysł - stwierdził. - Zobaczymy się na dole za godzinę.

Ja jednak miałem inne plany. Spędziłem półtorej minuty pod lodowatym, kłującym jak igły prysznicem, a potem przebrałem się w czystą koszulę i lekki garnitur z niebieskiego tropikalnego samodziału. Para okularów przeciwsłonecznych w złotych oprawkach dopełniła całości.

Wahałem się, czy wziąć ze sobą broń, ale w końcu byłem na Sycylii. Przypiąłem kaburę do pasa z prawej strony, szybko wyszedłem z pokoju i zbiegłem po schodach.

Nie spotkawszy nikogo, dotarłem do szczytu schodów wejściowych. Mercedes wciąż stał na podjeździe, kierowca polerował szmatką jego przednią szybę.

Usłyszałem za sobą głos Rosy Solazzo:

- Wybiera się pan dokądś, panie Wyatt?

Odwróciłem się.

- Tak, do Palermo - odparłem. - Jeśli to pani nie przeszkadza.

- Ależ oczywiście, powiem Cieciami, żeby zabrał pana wszędzie, dokąd pan zechce - oświadczyła.

Tutejszy sycylijski dialekt jest podobny do włoskiego w pozostałych rejonach Włoch, poza brzmieniem jednej lub dwóch samogłosek i akcentem, na którym

można by ostrzyć nóż. Rosa Solazzo przeszła na ten dialekt, kiedy schodziliśmy po schodach.

- Amerykanin chce jechać do Palermo - powiedziała do Ciccio. - Zabierz go, gdzie będzie chciał, ale nie spuszczaaj go z oczu.

- Jeśli to zrobisz, Ciccio - syknąłem, kiedy otworzył przede mną drzwiczki - obetnę ci uszy.

Taki przynajmniej był sens moich słów, które wypowiedziałem w dialekcie z okolic Palermo.

Jego usta rozwarły się w zdziwieniu, a Rosa Solazzo gwałtownie poderwała głowę. Zignorowałem jej groźną minę i zająłem miejsce na tylnym siedzeniu mercedesa. Ciccio zatrzasnął drzwiczki i wsunął się za kierownicę. Spojrzał pytająco na swoją chlebodawczynię, ale ona skinęła głową i odjechaliśmy.

Kazałem się wysadzić na Piazza Pretoria, bo było to miejsce równie dobre jak każde inne, a zawsze podobała mi się ta zachwycająca barokowa fontanna i piękne rzeźby nimf rzecznych, trytonów i pomniejszych bóstw. Na północnym krańcu zatoki wznosiła się Monte Pellegrino, oświetlona wieczornym słońcem. Minałem piękny stary kościół Świętej Katarzyny, skręciłem w Via Roma i ruszyłem do dworca.

W bocznej uliczce przecisnąłem się przez tłumek, czekający na wejście do teatru lalkowego. Byli to głównie turyści - chyba Niemcy, sądząc z języka, którym mówili. Może rozumieli włoski, ale mimo to czekał ich wstrząs. Nawet w dobie upadku tej sztuki

starzy aktorzy marionetkowi odmawiali zmiany zwyczajów i recytowali swoje kwestie w tak starym sycylijskim dialekcie, że nawet nie wszyscy Włosi mogli ich zrozumieć.

W drodze z lotniska zauważyłem dwa stare, ręcznie malowane wozy z mosiężną wolutą, ciągnięte przez konie ozdobione kitami piór, ale poza tym większość wieśniaków podróżowała trzykołowymi vespami i lambrettami. Niewiele pozostało z tradycji. Tuż przed Via Lincoln zobaczyłem pojazd do wynajęcia, stojący przy krawężniku.

Czasy świetności miał już za sobą, drewniane części były splekane, skórzana uprzęż postrzępiła się ze starości, był jednak starannie utrzymany, mosiężne części mieniły się w słońcu, a tapicerka siedzeń pachniała woskiem.

Woźnica wyglądał na jakieś osiemdziesiąt lat, miał twarz pomarszczoną jak orzech i długie, białe wąsy zawinięte na policzki. Kiedy tylko się do niego odezwałem, uznał mnie za Sycylijczyka.

W Palermo zawsze trzeba się targować z woźnicą, nawet na najkrótszą jazdę. Może to być trudne dla turystów, ale ja nie miałem z tym żadnego problemu. Kiedy powiedziałem mu, dokąd chcę jechać, jego brwi podjechały do góry, a na twarzy pojawił się wyraz głębokiego szacunku, który wcale mnie nie zaskoczył. W końcu nikt

nie jeździ na cmentarz dla zabawy - dla Sycyliczyka śmierć to poważna sprawa. Wszechobecna, zawsze aktualna i zawsze interesująca.

Moim celem był stary benedyktyński klasztor jakąś milę od miasta w stronę Monte Pellegrino. Naszemu po-jazdowi pokonanie tej drogi zajęło sporo czasu, ale to mi odpowiadało, bo zamierzałem sobie trochę porozmyślać.

Zastanawiałem się, czy naprawdę znowu chcę przez to przechodzić. Czy to było konieczne? Nie znałem odpowiedzi na te pytania, jednak gdy rozważałem tę kwestię, odkryłem z pewnym zaskoczeniem, że nie burzą się we mnie żadne emocje. Swego czasu byłoby to nie do pomyślenia. Kiedyś mój umysł był jak otwarta rana i każda nieopatrzna myśl boleśnie drażyła tę ranę, ale teraz...

Słońce zaszło i znad morza nadciągnęły chmury, spychane przez zimny wiatr. Gdy dotarliśmy do klasztoru, wysiadłem i poprosiłem woźnicę, żeby na mnie zaczekał.

- Przepraszam, signore... - powiedział - ma pan tu jakiś grób? Kogoś bliskiego?

- Leży tu moja matka.

Dziwne, ale tylko wtedy, w tamtej chwili, odezwał się we mnie ten ból. Wzniósł się jak fala i ogarnął mnie całego, więc odwróciłem się, kiedy starzec czynił znak krzyża.

Boczne wejście prowadziło do dużego klasztoru z arkadami po każdej stronie. Na małym podwórku strzelała w powietrze jak prysznic srebrnych

kwiatów arabska fontanna, a dalej, za łukowatą bramą, był cmentarz.

W piękny dzień widok na morze ponad doliną był zachwycający, jednak teraz linia drzew cyprysowych gięła się na wietrze, a na kamiennych płytach rozprysło się

57

kilka zimnych kropel. Cmentarz był duży i doskonale utrzymany, służył głównie śmietance mieszczańskiej Pa-lermo.

Powoli szedłem ścieżką, żwir trzeszczał pod moimi stopami, i nie wiadomo czemu wszystko wydawało mi się nierealne. Ślepe marmurowe twarze pomników przesuwały się obok mnie, kiedy przechodziłem między bogato zdobionymi nagrobkami.

Znalazłem go bez trudu - był dokładnie tam, gdzie zapamiętałem. Biały marmurowy grobowiec z drzwiami z brązu. Na górze stał naturalnej wielkości posąg świętej Rozalii z Pellegrino, a całość była otoczona żelazną kratą, pomalowaną na czarno i złoto.

Przycisnąłem do niej twarz i przeczytałem napis: "Rosalia Barbaccia Wyatt - matka i córka - odeszła okrutnie przedwcześnie. Zemsta jest moja, rzekł Pan".

Przypomniałem sobie tamten poranek. Razem ze mną stał tu wtedy każdy, kto zaliczał się do socjety Palermo. Ksiądz przemawiał nad trumną, u mego

boku stał dziadek, równie zimny i złowieszczo spokojny jak otaczające nas marmurowe posągi. W pewnym momencie odwróciłem się i przeszedłem przez tłum. Kiedy dziadek mnie zawołał, rzuciłem się do biegu i zatrzymałem dopiero w "Światłach Lizbony" w Mozambiku.

Rozpadało się jeszcze mocniej i wzmógł się wiatr. Wzięłem kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić, odwróciłem się od kraty i wtedy go zobaczyłem. Był to Marco Gagini, prawa ręka mojego dziadka, jego kamizelka kuloodporna, jego opoka. Przeczytałem gdzieś kiedyś, że Wyatt Earp ocalił Tombstone tylko dlatego, że jego plecy chronił Doc Halliday. Mój dziadek miał Marca Gaginiego.

58

Miał twarz zawodnika wagi średniej, którym kiedyś zresztą był, i wyglądał na gladiatora, który właśnie wygrał starcie na arenie. Włosy mu bardziej posiwiały, na twarzy miał trochę więcej zmarszczek, ale poza tym nic się nie zmienił. Ten człowiek mnie kochał, nauczył boksować się, prowadzić samochód, grać w pokera i wygrywać -jednak bardziej kochał mojego dziadka.

Stał teraz z rękoma wciśniętymi w kieszenie niebieskiego nylonowego prochowca i obserwował mnie ze srogą miną.

- Jak leci, Marco? - zapytałem.
- Jak zawsze. Capo chce cię widzieć.
- Skąd wie, że wróciłem?

- Powiedział mu ktoś z biura imigracyjnego. Czy to ma jakieś znaczenie? - Wzruszył ramionami. - Wcześniej czy później capo dowiaduje się o wszystkim.

- A więc nic się nie zmieniło - mruknąłem. - Wciąż najważniejszy jest capo. Myślałem, że Rzym gnębi mafię.

Uśmiechnął się lekko.

- Chodźmy, Stacey, zaczyna znowu padać.

Potrząsnąłem głową.

- Nie teraz, później. Przyjdę dopiero wieczorem.

Powiedz mu to.

Od początku było dla mnie oczywiste, że ma w prawej kieszeni pistolet. Kiedy zaczął go wyjmować, zobaczył wycelowaną w siebie lufę smith & wessona. Nie zbladł - nie należał do tych, co bledną - ale w jego oczach błysnęło jakby niedowierzanie, że mały Stacey jest już taki duży i taki szybki.

- Powoli, Marco, bardzo powoli - powiedziałem.

Wyjął walthera P38, położył go ostrożnie na ziemi i cofnął się. Podniosłem jego broń i pokręciłem głową.

59

- Automat nie najlepiej wyjmuje się z kieszeni, Marco, myślałem, że o tym wiesz. Muszka niemal zawsze zahacza o podszewkę.

Popatrzył na mnie jak na kogoś obcego. Wsunąłem walthera do swojej kieszeni.

- Wieczorem, Marco, około dziewiątej. Wtedy się z nim spotkam. Teraz idź już.

Zawahał się, a wtedy zza marmurowego grobowca pięć, sześć stóp za nim wychylił się Sean Burke z browniegiem w ręku.

- Na twoim miejscu zrobiłbym to, o co prosi Stacey - powiedział do Marca tą swoją szczególną odmianą włoskiego.

Gagini odszedł bez słowa, a Burke odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Stary przyjaciel? - zapytał.

- Coś w tym rodzaju. Skąd się tu wzięłeś?

- Rosa załatwiła mi inny wóz i pojechałem za mercedesem do miasta. Kiedy odkryliśmy, że śledzi cię też ktoś inny, zrobiło się interesująco. Kto to był?

- Przyjaciel mojego dziadka. Dziadek chciał się ze mną spotkać.

- Musi mieć doskonały serwis informacyjny, skoro tak szybko się dowiedział, że tu jesteś.

- Najlepszy.

Podszedł do poręczy i przeczytał napis.

- Twoja matka? - Skinąłem głową. - Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

O dziwo, stwierdziłem, że chcę mu o tym opowiedzieć. Zupełnie jakbyśmy byli znowu w dawnych stosunkach, a może ja byłem w takim nastroju, że opowiedziałbym o tym komukolwiek.

- Mówiłem, że moja matka była Sycylijką i że mój dziadek wciąż tu mieszka, ale pewnie nigdy nie dotarłem do szczegółów.

- Nie przypominam sobie... Być może wspomniałeś jego nazwisko, nie pamiętałem go jednak, dopóki nie zobaczyłem tego napisu.

Usiadłem na brzegu grobowca i zapaliłem papierosa. Zastanawiałem się, jak dużo mogłem mu powiedzieć i ile mógł z tego zrozumieć. Dla przyjezdnych, dla turystów Sycylia to Taormina, Catania, Syrakuzy - złote plaże i roześmiani wieśniacy. Ale była też inna Sycylia - ciemne miejsca w głębi kraju. Dziki, jałowy, nagi krajobraz, miejsca, gdzie toczyła się walka nie tyle o życie, co o przeżycie. Świat, którym rządziła omerta. Męstwo, honor i rozwiązywanie problemów we własnym zakresie, bez pomocy władz, czyli wendeta - wszystko to było ojczyzną mafii.

- Co ty wiesz o mafii, Sean? - zapytałem.

- Zaczęło się chyba od jakiegoś tajnego stowarzyszenia w dawnych czasach?

- Zgadza się. Mafia zawsze wchodziła do akcji w przypadku ekstremalnych sytuacji. W tamtych czasach była to jedyna broń wieśniaków, ich jedyne wyobrażenie o sprawiedliwości. Ale jak wszystkie podobne organizacje, im bardziej się rozrastała, tym bardziej stawała się skorumpowana. Skończyło się tym, że zaczęła trzymać /a gardło wszystkich wieśniaków, całą Sycylię. - Rzuciłem papierosa na ziemię i wdeptałem go w żwir. - I nadal trzyma, choć władze w Rzymie próbują zrobić z nią porządek.

- Ale co to ma wspólnego z tobą?

- Mój dziadek, Vito Barbaccia, jest głową mafii w Pa-lermo, w całej Sycylii. Człowiekiem numer jeden.

Panem życia i śmierci. W Stanach są teraz jakieś trzy miliony Sycylijczyków. Mafia przeniosła się tam i stała się jedną z głównych gałęzi zorganizowanej przestępczości. W ciągu ostatnich dziesięciu lat deportowano ze Stanów wielu szefów mafii. Wrócili do domu z nowymi pomysłami - prostytutką, narkotykami i tak dalej. Mafiosi starej daty - tacy jak mój dziadek - nie mają nic przeciwko zabijaniu ludzi, ale w takie rzeczy po prostu nie wchodzi.

- Był jakiś problem?

- Można tak to ująć. Podłożyli bombę w jego samochodzie, w tych kręgach to ulubiony sposób pozbywania się przeciwników. Niestety to moja matka wsiadła do tego auta.

- Mój Boże... - powiedział cicho. Na jego twarzy widać było szok i prawdziwy ból.

- Możesz mi nie wierzyć - ciągnąłem - ale ja nic o tym wszystkim nie wiedziałem... albo może nie chciałem wiedzieć. Wróciłem z wakacji po pierwszym roku w Har-yardzie, a to się stało następnego dnia. Mój dziadek opowiedział mi wszystko tego samego wieczoru.

- Czy zdołał dopaść człowieka, który to zrobił?

- Och, jestem tego pewien. - Wstałem. - Chyba zrobiłem się głodny. Możemy wracać?

- Przykro mi, Stacey - powiedział Burke. - Cholernie mi przykro.

- A to dlaczego? To już stara historia.

Ale wierzyłem mu, bo wyglądał, jakby mówił szczerzej Wiatr wył wśród drzew cyprysowych, deszcz wsiąka w ścieżkę. Odwróciłem się i ruszyłem w drogę powrotną do klasztoru.

Po posiłku poszedłem do łóżka. W owym czasie usypiałem bez trudu, wystarczyło zamknąć oczy, i chyba rzadko śniłem. Kiedy się obudziłem, zegar 11 rzy łóżku pokazywał 19.30, a na dworze było prawie ciemno.

Skądś dobiegał pomruk głosów, więc wstałem, włożyłem płaszcz kąpielowy i podszedłem do szklanych drzwi prowadzących na taras.

Burke stał na tarasie poniżej, jedną nogę oparł na obramowaniu ozdobnej fontanny. Jego towarzyszem był krótko ostrzyżony, siwy, krępy mężczyzna, ale niedoskonałości jego figury maskował efekt pracy bardzo wprawnego krawca.

Nie był ani trochę ostentacyjny. Całą jego biżuterię stanowiła obrączka, a białe mankiety jedynie o regulaminowy cal wystawały z rękawów marynarki. Tylko krawat Guards Brigade psuł tę elegancję, bo jego obecność wydawała się nieuzasadniona. Jednak kiedy mężczyzna wyjął platynową papierośnicę i poczęstował Burke'a papierosem, uświadomiłem sobie, że jego klasa jest równie naturalna jak jego ogród.

Nasz gospodarz przyjął podany mu przez Burke'a ogień, odwrócił się, przeczesał włosy dłonią i zobaczył mnie, stojącego na skraju tarasu.

Musiał być mistrzem natychmiastowego uśmiechu.

- Witam! - krzyknął. - Jestem Karl Hoffer. Jak się pan czuje?

- Doskonale - odparłem. - Ma pan bardzo wygodne łóżka.

Jego akcent był pierwszą niespodzianką. Czysto amerykański, ani trochę austriacki. Uśmiechnął się do Burke'a.

- Ha, on mi się podoba - stwierdził, a potem znowu podniósł wzrok na mnie. - Właśnie wybieramy się na drinka. Może dołączy pan do nas? To dobra okazja do obgadania paru spraw.

- Za pięć minut - odpowiedziałem i wróciłem do sypialni, żeby się ubrać.

Kiedy zszedłem do holu, z jadalni wyłoniła się Rosa Solazzo, a za nią jeden ze służących, niosący tacę z napojami. Tego roku w modzie były kreacje angielskie. Ta kreacja musiała kosztować Hoffera przynajmniej pięćset dolarów - obłok czerwonego jedwabiu, który wyglądał jak płomień w ciemnościach nocy i sprawiał, że oczy Rosy lśniły jak gwiazdy.

- Pozwoli pan... - powiedziała i poprawiła mi krawat. - O, tak jest znacznie lepiej. Czułam się bardzo głupio dzisiaj po południu. Nie wiedziałam... Mówiła po włosku, więc ja też zapytałem w tym języku:

- Nie wiedziała pani o czym?

- No, o panu. Że pańska matka była Sycylijką.

- A kto pani to powiedział?

- Pułkownik Burke.

- Życie jest pełne niespodzianek, prawda? - mruknąłem. - Możemy dołączyć do reszty?
- Jak pan sobie życzy.

Chyba odebrała moje słowa jako odprawę, chociaż nie wyglądała, jakby było jej przykro. Przypuszczam jednak, że kobieta z jej pozycją rzadko może sobie pozwolić na luksus tego odczucia.

Hoffer i Burke przenieśli się do małego oświetlonego patio, pośrodku którego pyszniła się druga fontanna, duplikat tej pierwszej. Siedzieli przy kutym żelaznym stoliku i wstali, by mnie powitać.

Nasz gospodarz miał ponadsezonową opaleniznę, która oznaczała, że chodzi do solarium lub jest na tyle bogaty, by jeździć tam, gdzie jest słońce. Z bliska wyglądał na starszego, niż oceniłem go na pierwszy rzut oka; jego i warz pokrywały liczne zmarszczki, a spojrzenie, nawet kiedy się uśmiechał, było zimne i bez wyrazu.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i Hoffer gestem poprosił, bym usiadł.

- Przepraszam, że byłem nieobecny, kiedy pan przyicchał - powiedział. - Trzy, cztery razy w tygodniu mu-s/ę jeździć do Geli. Wie pan, jak to jest w branży paliwowej.

Nie wiedziałem, ale znałem Gelę, która w starożytności była wielką grecką kolonią, a obecnie przyjemnym nadmorskim miasteczkiem po drugiej stronie wyspy, z kilkoma interesującymi wykopaliskami. Kiedy zastanawiałem się, jak do tego

miasteczka pasują szyby naftowe i rafinerie, Rosa podała mi dużą wódkę z tonikiem.

Odesłała służącego i sama przejęła jego obowiązki, a kiedy skończyła nam usługiwać, dyskretnie zajęła krzes-

ło nieco w tyle, co zdawało się oznaczać, że Hoffi całkowicie jej ufa. Jednak się myliłem. Nasz gospodarz od razu przeszedł do sedna sprawy.

- Panie Wyatt, pułkownik Burke gorąco polecił pana do tej pracy, więc zadaliśmy sobie wiele trudu, by pana tu sprowadzić.

- To bardzo miło z jego strony - powiedziałem, a ironia w moim głosie była doskonale słyszalna dla wszystkich.

Hofferowi widać jednak umknęła, bo mówił dalej:

- Myślę, że nie będzie przesadą stwierdzenie, że jesteśmy zdani na ciebie, chłopcze.

Położył dłoń na moim kolanie, co mi się nie spodobało. W jego głosie brzmiała nuta, przywodząca na myśl skojarzenie z amerykańskim politykiem z rejonów rolniczych, który próbuje przekonać słuchaczy, że mimo wszystko nadal jest człowiekiem z ludu. Czułem, że lada chwila powie z uniesieniem: "Wierzę w ciebie!" - i wcale nie miałem ochoty tego usłyszeć.

- Pozwoli pan, że coś wyjaśnię, panie Hoffer. Jestem tutaj z powodu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów plus wydatki, płatne z góry.

Wyprostował się i uniósł głowę, a jego oczy zamienił się w płytki niebieskiego szkła. Myślałem, że się

rozzłości usłyszawszy takie warunki. Spanikowany Burke wtrąci pospiesznie:

- Przepraszam, panie Hoffer. Stacey nie zdaje sobie sprawy...

Hoffer przerwał mu ruchem ręki, przypominającym cięcie szpadą.

- Nie szkodzi. Lubię ludzi, którzy wiedzą, czego chcą. Teraz był innym człowiekiem - twardym, konkretnym

i bezwzględny, bo taki przecież musiał być, żeby osiągnąć to, co miał. Nawet ruchy jego ciała były teraz inne. Strzelił palcami i Rosa Solazzo podała mu kolejnego drinka.

- Połowa z góry - oświadczył. - Dla ciebie i Burke'a.

- A jeśli nie zdołamy wydostać dziewczyny?

- To o tyle będziecie do przodu.

- A pozostali dwaj?

- To już wasz problem.

Burke obserwował nas wyraźnie niezadowolony, zapewne głównie z tego powodu, że poczuł się wyłączony ze sprawy.

Pokręciłem głową.

- Niezupełnie - powiedziałem. - Albo Jaeger i Le-grande dostają takie same warunki, albo nie idziemy.

Hoffer i tym razem się nie rozzłościł.

- W porządku. Dam wam czek, który możecie zrealizować jutro w Palermo, ale wystawię go na pułkownika Burke'a. Niezależnie od okoliczności, do czasu wykonania roboty on trzyma kasę. To takie

zabezpieczenie dla mnie na wypadek, gdyby któryś z was uznał, że woli wróbla w garści...

- W porządku.

Widać było, że Burke jest wściekły, ale zignorowałem go i spokojnie opróżniłem swoją szklankę. Rosa natychmiast podeszła, by ją napęłnić.

- Możemy przejść do sprawy? - zapytał Hoffer. - Jak zamierzasz się do tego zabrać?

- Jest pan pewien, że Serafino ukrywa się na Cammaracie? - spytałem.

Skinął głową.

- Tam jest jego główna siedziba. Potwierdza to każdy wywiad, który udało mi się przeprowadzić. Znasz ten teren, mam nadzieję?

- Byłem tam. To dzika kraina.

66

67

- Nie musisz mi tego mówić. Musiałem tam pojechać, żeby zapłacić okup.

- I spotkał pan się z nim?

- Z Serafinem? - Skinął głową. - Twarzą w twarz na moście, prowadzącym do głównej szosy, w pobliżu wsi

o nazwie Bellona.

- Jaki on jest?

- Mogę ci go pokazać. - Wyjął portfel, wyciągnął z niego zdjęcie i podał mi je. - Zdobyłem to przez znajomego z policji. Nasz przyjaciel miał z nimi do czynienia wiele razy.

Była to typowa policyjna fotografia, taka sama jak wszystkie policyjne fotografie na całym świecie, pokazujące jakiegoś neandertalczyka, zdolnego - sądząc z wyglądu - do gwałtu, mordu i wszelkich innych czynów tego rodzaju.

Pokręciłem głową.

- To mi nic nie mówi. Jaki on jest? Proszę go opisać.

- Ma jakieś dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat i jest średniego wzrostu. Ciemne oczy, długie ciemnej włosy. - Długich włosów Hoffer najwyraźniej nie pochwałał. - Śniada twarz, jakich pełno dookoła. Słyszałem,; że za Saracenów napłynęło tu dużo arabskiej krwi. Typowy Sycylijczyk.

- Ten opis pasuje do mnie - stwierdziłem.

- Skoro tak mówisz... - Bynajmniej nie zbiłem go tym z tropu. - Od czasu, gdy zrobiono to zdjęcie, stracił jedno oko - dodał. - Zawsze dużo się śmiał. Całą tę sprawę również traktował jak jeden wielki żart.

Ale ty raczej nie, pomyślałem. Prawa dłoń Hoffera zacisnęła się w pięść i tak już pozostała.

- Sądzę, że Bellona to dobre miejsce startu - oświadczyłem.

68

Hoffer wyglądał na zaskoczonego.

- Czy to dobry pomysł? Odniosłem wrażenie, że większość tamtejszych wieśniaków trzyma stronę ludzi typu Serafina.

Spojrzałem na Burke'a.

- Ty będziesz turystą, a ja wynajętym szoferem.
- Skiął głową.**
- W porządku.
 - Nie możemy jechać mercedesem - powiedziałem do Hoffera. - Potrzebny nam jest jakiś mniej rzucający się w oczy wóz. Może pan taki zdobyć?
 - Oczywiście. Czy jeszcze w czymś mogę pomóc?
 - Tak, proszę mi opowiedzieć o dziewczynie.

Wyglądał na lekko zakłopotanego.

- O Joannie? Myślałem, że pułkownik powiedział ci już wszystko, co musisz wiedzieć.
- Chciałbym usłyszeć o niej od pana. W sprawach takich jak ta trzeba wiedzieć o ludziach jak najwięcej. Dzięki temu można przewidzieć, jak zachowają się w określonej sytuacji.
- To brzmi sensownie - stwierdził. W jego głosie słychać było aprobatę. - W porządku. Od czego mam zacząć?
- Może od waszego pierwszego spotkania.
- Miała wtedy dwanaście lat...

Dwa lata wcześniej jej ojciec zmarł na leukemię. Hoffer spotkał ją i jej matkę w Saint Moritz w Boże Narodzenie, s/zybko zawarto małżeństwo, które trwało aż do chwili, kiedy cztery miesiące temu żona Hoffera zginęła w wypadku samochodowym we Francji.

- Domyślam się, że dziewczyna była trudnym dzieckiem - powiedziałem. - Prawdopodobnie śmierć matki nie zmieniła sytuacji na lepsze.

Nagle wydał mi się bardzo zmęczony, przetarł dłoni twarz i westchnął.

- Jak by to powiedzieć... No cóż, kiedy Joanna miała1 czternaście lat, matka znalazła jaw łóżku z szoferem, i to wcale nie był jej pierwszy mężczyzna. Od zawsze sprawiała tylko kłopoty, jeden skandal za drugim.

- Więc dlaczego pan się o nią martwi? Wyglądał na zaskoczonego, ale po chwili zmarszczył brwi, jakby wcześniej podobna myśl nie przyszła mu do głowy.

- Dobrze pytanie... Na pewno nie z racji jakiegoś wielkiego uczucia. Ona nie jest dobra, nigdy nie była i szczerze wątpię, czy kiedykolwiek będzie. Może to nie jej wina, ale tak już jest. Chyba po prostu jestem to winien mojej żonie. Była wspaniałą kobietą. Te siedem lat, które mi dała, były najlepsze w moim życiu, Wyatt. Nic nie może się z tym równać.

Na pewno mówił szczerze, a obecność Rosy Solazzo an o jotę nie zmieniła mojej oceny. Bez wątpienia byłę ostatnim człowiekiem na świecie, któremu trzeba było tłumaczyć, że brak kobiety bardzo źle działa na mężczyznę

- Jedno mnie zastanawia - powiedziałem po chwili. Rozumiem, że nie poszedł pan na policję. W takie sprawach na Sycylii policja jest raczej bezużyteczna, czy nie przyszło jednak panu do głowy zwrócić się o pomoc do mafii?

- A co by to dało? - zaśmiał się Burke. - Ale Stacey wierzy w mafię, panie Hoffer. Zresztą nie bez powodu.

Hoffer uspokoił go gestem.

- Oczywiście rozmawiałem z mafią. Oni stoją za większością takich spraw. Nie wierzcie tym wszystkim gadkom, że władze sobie z nimi poradziły. To wersja na użytek ruchu turystycznego. Nie chcą nikogo odstraszyć.

- Dokopał się pan czegoś?

- Wygląda na to, że Serafino Lentini nie lubi mafii. Odniosłem wrażenie, że oni też chcieliby go dostać w swoje ręce.

- Dziadek Stacey'a ma coś wspólnego z mafią - oświadczył Burke. - Prawda, Stacey? Mają spotkanie dzisiaj wieczorem.

Hoffer zmarszczył brwi.

- Twój dziadek?

- Vito Barbaccia - powiedziałem, chyba bardziej dla efektu niż z jakichkolwiek innych powodów.

Rosa Solazzo gwałtownie wciągnęła powietrze i upuściła szklanę. Hoffer popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Jest pan wnukiem Vita Barbaccii?

- Słyszał pan o nim, jak sądzę?

- Słyszałem o nim? A kto o nim nie słyszał? I będzie się pan z nim dzisiaj widział?

Przytaknąłem, a on pokręcił głową.

- Wprost nie do wiary.

- Zna go pan? - spytał Burke. Hoffer uśmiechnął się.

- Spotkałem go ze dwa razy na przyjęciach, ale nigdy z nim nie rozmawiałem. Do niego mają dostęp tylko koronowane głowy.

Burke zmarszczył brwi i spojrzał na mnie, a ja uświadomiłem sobie, że wtedy na cmentarzu nie powiedziałem mu tej podstawowej rzeczy -jak ważny jest mój dziadek.

Opróżniłem szklanę i wstałem.

- Cóż, myślę, że przed kolacją przejdę się trochę.

- Dlaczego nie? - Hoffer skinął na Rosę. - Pokaż panu ogród, aniele. Z tyłu jest staw rybny naprawdę wart obejrzenia, panie Wyatt.

Teraz znowu mówi do mnie per pan, pomyślałem.

71

Dziwne, jak Barbaccia działał na ludzi. A Rosa?

Zrobiła się bardzo blada, a kiedy się do niej uśmiechnąłem, opuściła wzrok. W jej ciemnych oczach widać było strach. Barbaccia - mafioso.

Myślę, że dla niej te dwa słowa były równoznaczne.

Kiedy podałem jej ramię, poczułem, że cała drży.

Hoffer najwyraźniej miał do dyspozycji pierwszorzędnego sycylijskiego kucharza.

Dostaliśmy narbe di San Paolo, zasmażane pierożki z cukrem i serem ricotta, oraz cannoli, najwspanialszy deser na Sycylii - wypełnioną kremem rurkę z delikatnego ciasta. Większość biesiadników piła marsalę, która dla mnie jest za słodka. Ja raczyłem się zibibbo z wyspy Pantelleria, winem z anyżem. To jedna z takich rzeczy, które albo smakują ci od razu, albo nigdy.

Kolację jedliśmy na tarasie z Pietem i Legrande'em, którzy zachowywali się najlepiej, jak potrafili. Kiedy wino zaczęło działać, atmosfera nieco się ożywiła. Pięt całą swoją uwagę poświęcał Rosie, chociaż było to tylko grzecznościowe zainteresowanie. Nawet Legrande odprężył się na tyle, by uśmiechnąć się ze dwa razy.

Po kolacji dostaliśmy jemeńską mokkę, najlepszą na świecie. Odszedłem ze swoją filizanką na skraj tarasu. Wszyscy śmiali się coraz głośniejszymi głosami i chyba nie zauważyli, że zniknąłem.

Poszedłem do swojego pokoju, wyjąłem z szuflady smith & wessona i przytroczyłem kaburę do pasa. Wyciągnąłem go parę razy, żeby się upewnić, że działa bez zarzutu, i wtedy wszedł Burke. Zamknął drzwi i oparł się o nie.

72

- Spodziewasz się kłopotów? - zapytał.

- Nie jestem pewien.

Włożyłem broń do kabury, zapiąłem marynarkę i wsunąłem sześć dodatkowych naboju do lewej kieszeni, a naboje do walthera Marca do prawej.

- Chciałbym pojechać z tobą - powiedział Burke. - W razie czego mógłbym pomóc.

Spojrzałem mu prosto w oczy i skinąłem głową.

- Jeśli chcesz...

Uśmiechnął się z ulgą - tego dnia dużo się uśmiechał - i klepnął mnie w ramię.

- Stara firma, co, Stacey?

Jednak nic już nie mogło być takie jak dawniej.

Monte Pellegrino wznosi się jakieś trzy mile na północ od Palermo, na zachodnim krańcu Conca d'Oro. To interesujące miejsce, ale podobnie jak reszta Sycylii przesiąknięte krwią. Podczas wojen punickich Hamilkar Barkas przez trzy lata bronił się tu przed Rzymianami, ale w czasach bardziej współczesnych zasłynęło głównie jako miejsce kultu świętej Rosalii, po której dostała imię moja matka. Willa mojego dziadka znajdowała się u stóp góry, tuż przy wiosce Yaldesi.

Można chyba powiedzieć, że dziadek przeszedł długą drogę. Urodził się w Yelbie, w zachodniej Sycylii, w małej wiosce typowej dla tego regionu. Była to brudna dziura zabita dechami, gdzie większość dzieci umierała w pierwszym roku życia, a życie w niej było równie prymitywne, jak w średniowiecznej Anglii.

Jego ojciec był dzierżawcą - oddawał właścicielowi ziemi połowę plonów, ledwie utrzymując rodzinę przy życiu. O dzieciństwie dziadka wiedziałem niewiele, ale zanim skończył dwadzieścia trzy lata, został gabelotto, kimś w rodzaju poborcy podatków. Jego praca polegała na tym, by przykręcać śrubę dzierżawcom i krótko ich trzymać.

Pracę mógł znaleźć tylko mafioso, więc bardzo wcześnie zaczął robić wszystko, by dostać się w szeregi Stowarzyszenia, tak jak inni młodzi ludzie. Może z początku pełnił funkcję sicario, najemnego zabójcy, ale raczej w to wątpię. To nie pasowało do jego kodeksu - do jego własnych indywidualnych

ustaleń, co jest honorowe, a co nie. Na przykład pomysł zarabiania na prostytucji napęłniał go przerażeniem, ponieważ wierzył w świętość rodziny i łożył na Kościół. Jednak organizacja, której służył, zabijała tylu swoich przeciwników, że w wielu miejscowościach morderstwo było na porządku dziennym.

Światła samochodu wyłoniły z mroku kilka obwieszonych koszykami staruszek, które szły powoli w przeciwną stronę.

- Co to, u diabła? - zapytał Burke.**
- Idą na jutrzejszy targ.**
- Teraz, w nocy?**
- To jedyny sposób, by zapewnić sobie dobre miejsce. Potrząsnął głową.**
- Co za cholerny kraj.**

Spojrzałem na światła miasta widoczne w oddali.

- To jedna Sycylia, ale tam, w ciemności, jest druga - powiedziałem. - Cmentarzysko pokoleń. Spichlerz rzymskiego imperium, wzniesionego niewolniczą pracą. Ci ludzie zawsze byli przez kogoś wykorzystywani.**

- Nie rozumiem tego - powiedział. - Tej całej waszej mafii.**

- Jest tu taka miejscowość, w której w ciągu czterech lat zabito ponad sto pięćdziesiąt osób, a liczba jej mieszkańców nie przekracza dwudziestu tysięcy. Na całym świecie nie znajdziesz miejsca, w którym dzieją się podobne rzeczy.**

- Ale dlaczego? - spytał. - Nie rozumiem tego - powtórzył.

- Ludzie zawsze w coś grają, nie zauważyłeś?

- Co masz na myśli?

Mogłem mu powiedzieć, że przez całe życie bawił się żołnierzami, nawet w Kongu, ale to nie miało by sensu. Nie rozumiałby, o czym mówię, i tylko niepotrzebnie bym go uraził.

- Może wyjaśnię ci to inaczej. W Los Angeles czy Londynie walka, żeby dotrzymać kroku innym, żeby wybić się w biznesie, czy nawet romans z cudzą żoną, dodaje twojemu życiu dramatyzmu, którego każdy potrzebuje.

- I czego to dowodzi?

- Niczego specjalnego. Na Sycylii ta gra jest starsza, to wszystko, i trochę bardziej dzika. Rytualna wendeta, oko za oko. Obcym zasady tej gry mogą się wydać trochę barbarzyńskie. My całujemy rany naszych zmarłych, dotykamy ustami ich krwi i mówimy: "W ten sposób wypiję krew tego, kto cię zabił".

Kiedy o tym pomyślałem, przeniknęło mnie zimno.

- Powiedziałeś "my" - zauważył Burke. - Jesteś jednym z nich?

Patrzyłem na morze, na którym poranny statek wycieczkowy zniknął za przylądkiem, patrzyłem na blask świateł, na cały ten inny świat. Pomyślałem o londyńskiej szkole, o Przystani Wyatta, o Harvardzie, i roześmiałem się.

- Gdybym wymówił imię mojego dziadka w którejkolwiek wiosce na Sycylii, ludzie całowałiby mnie w rękę. Tutaj jest inny świat, Sean, spróbuj to sobie wbić do głowy.

Chyba mi jednak nie uwierzył - przynajmniej jeszcze nie wtedy. To wszystko wydawało mu się nieprawdopodobne. Uwierzyć miał później.

Willa Barbaccii i pałac Hofferera pod żadnym względem nie były do siebie podobne. Po pierwsze tutaj mury

były co najmniej o dwa tysiące lat starsze, podobnie jak w większości wiejskich domostw zbudowanych na dawnym rzymskim terytorium. Miały jakieś piętnaście stóp wysokości, a sama willa nosiła wyraźne znamiona mauretańskich wpływów i stała wśród kilkuakrowego pół-tropikalnego ogrodu.

Ciccio zatrzymał samochód i zatrąbił.

Człowiek, który otworzył bramę, nie był uzbrojony, ale też i nie musiał być. Za nim ze stróżówki wyłonił się mężczyzna z miotającymi się na smyczy dwoma bulma-styfami, hodowanymi na wyspie od czasów normańskich, a z krzaków wyłonił się jeszcze jeden facet z karabinem maszynowym.

Ten przy bramie miał na sobie schludny garnitur khaki, a jego wąsy i okulary w stalowych oprawkach sprawiały, że wyglądał na agenta ubezpieczeniowego. Zapadła pełna oczekiwania cisza: strażnicy patrzyli na nas w milczeniu, psy nie czekały.

Otworzyłem drzwiczki, wysiadłem i podszedłem do bramy.

- Jestem umówiony - powiedziałem. - Na pewno was uprzedzono.

- Jeden człowiek, signore, nie trzech. Przez tę bramę nie przejeżdża żaden samochód, tylko samochód capo. Takie tu są przepisy.

Wyjąłem z kieszeni walthera. Rozległ się głuchy odgłos odbezpieczania karabinu. Podałem broń przez kratę, rękojeścią do przodu.

- To mój bilet wizytowy. Daj to Marcowi, Marcowi Gaginiemu. On ci powie, kim jestem.

Wzruszył ramionami.

- W porządku, pan może wejść, ale reszta zostanie na zewnątrz.

77

Monte Pellegrino wznosi się jakieś trzy mile na północ od Palermo, na zachodnim krańcu Conca d'Oro. To interesujące miejsce, ale podobnie jak reszta Sycylii przesiąknięte krwią. Podczas wojen punickich Hamilkar Barkas przez trzy lata bronił się tu przed Rzymianami, ale w czasach bardziej współczesnych zasłynęło głównie jako miejsce kultu świętej Rosalii, po której dostała imię moja matka. Willa mojego dziadka znajdowała się u stóp góry, tuż przy wiosce Yaldesi.

Można chyba powiedzieć, że dziadek przeszedł długą drogę. Urodził się w Yelbie, w zachodniej Sycylii, w małej wiosce typowej dla tego regionu. Była to brudna dziura zabita dechami, gdzie większość dzieci umierała w pierwszym roku życia, a życie w

niej było równie prymitywne, jak w średniowiecznej Anglii.

Jego ojciec był dzierżawcą - oddawał właścicielowi ziemi połowę plonów, ledwie utrzymując rodzinę przy życiu. O dzieciństwie dziadka wiedziałem niewiele, ale zanim skończył dwadzieścia trzy lata, został gabelotto, kimś w rodzaju poborcy podatków. Jego praca polegała na tym, by przykręcać śrubę dzierżawcom i krótko ich trzymać.

Pracę mógł znaleźć tylko mafioso, więc bardzo wcześnie zaczął robić wszystko, by dostać się w szeregi Stowarzyszenia, tak jak inni młodzi ludzie. Może z początku pełnił funkcję sicario, najemnego zabójcy, ale raczej w to wątpię. To nie pasowało do jego kodeksu - do jego własnych indywidualnych ustaleń, co jest honorowe, a co nie. Na przykład pomysł zarabiania na prostytutce napęłniał go przerażeniem, ponieważ wierzył w świętość rodziny i łożył na Kościół. Jednak organizacja, której służył, zabijała tylu swoich przeciwników, że w wielu miejscowościach morderstwo było na porządku dziennym.

Światła samochodu wyłoniły z mroku kilka obwieszonych koszykami staruszek, które szły powoli w przeciwną stronę.

- Co to, u diabła? - zapytał Burke.
- Idą na jutrzejszy targ.
- Teraz, w nocy?
- To jedyny sposób, by zapewnić sobie dobre miejsce. 1 Potrzęsnał głową.

- Co za cholerny kraj.

Spojrzałem na światła miasta widoczne w oddali.

- To jedna Sycylia, ale tam, w ciemności, jest druga - powiedziałem. - Cmentarzysko pokoleń. Spichlerz rzymskiego imperium, wzniesionego niewolniczą pracą. Ci ludzie zawsze byli przez kogoś wykorzystywani.

- Nie rozumiem tego - powiedział. - Tej całej waszej mafii.

- Jest tu taka miejscowość, w której w ciągu czterech lat zabito ponad sto pięćdziesiąt osób, a liczba jej mieszkańców nie przekracza dwudziestu tysięcy. Na całym świecie nie znajdziesz miejsca, w którym dzieją się podobne rzeczy.

- Ale dlaczego? - spytał. - Nie rozumiem tego - powtórzył.

- Ludzie zawsze w coś grają, nie zauważyłeś?

- Co masz na myśli?

Mogłem mu powiedzieć, że przez całe życie bawił się żołnierzami, nawet w Kongu, ale to nie miałoby sensu. Nie rozumiałby, o czym mówię, i tylko niepotrzebnie bym go uraził.

- Może wyjaśnię ci to inaczej. W Los Angeles czy Londynie walka, żeby dotrzymać kroku innym, żeby wybić się w biznesie, czy nawet romans z cudzą żoną, dodaje twojemu życiu dramatyzmu, którego każdy potrzebuje.

- I czego to dowodzi?

- Niczego specjalnego. Na Sycylii ta gra jest starsza, to wszystko, i trochę bardziej dzika. Rytualna

wendeta, oko za oko. Obcym zasady tej gry mogą się wydać trochę barbarzyńskie. My całujemy rany naszych zmarłych, dotykamy ustami ich krwi i mówimy: "W ten sposób wypiję krew tego, kto cię zabił".

Kiedy o tym pomyślałem, przeniknęło mnie zimno.

- Powiedziałaś "my" - zauważył Burke. - Jesteś jednym z nich?

Patrzyłem na morze, na którym poranny statek wycieczkowy zniknął za przylądkiem, patrzyłem na blask światła, na cały ten inny świat. Pomyślałem o londyńskiej szkole, o Przystani Wyatta, o Harvardzie, i roześmiałem się.

- Gdybym wymówił imię mojego dziadka w którejkolwiek wiosce na Sycylii, ludzie całowałiby mnie w rękę. Tutaj jest inny świat, Sean, spróbuj to sobie wbić do głowy.

Chyba mi jednak nie uwierzył - przynajmniej jeszcze nie wtedy. To wszystko wydawało mu się nieprawdopodobne. Uwierzyć miał później.

Willa Barbaccii i pałac Hoffera pod żadnym względem nie były do siebie podobne. Po pierwsze tutaj mury

76

były co najmniej o dwa tysiące lat starsze, podobnie jak w większości wiejskich domostw zbudowanych na dawnym rzymskim terytorium. Miały jakieś piętnaście stóp wysokości, a sama willa nosiła wyraźne znamiona mauretańskich wpływów i stała wśród kilkuakrowego pół-tropikalnego ogrodu.

Ciccio zatrzymał samochód i zatrąbił.

Człowiek, który otworzył bramę, nie był uzbrojony, ale też i nie musiał być. Za nim ze stróżówki wyłonił się mężczyzna z miotającymi się na smyczy dwoma bulma-styfami, hodowanymi na wyspie od czasów normkańskich, a z krzaków wyłonił się jeszcze jeden facet z karabinem maszynowym.

Ten przy bramie miał na sobie schludny garnitur khaki, a jego wasy i okulary w stalowych oprawkach sprawiały, że wyglądał na agenta ubezpieczeniowego. Zapadła pełna oczekiwania cisza: strażnicy patrzyli na nas w milczeniu, psy nie szczekały.

Otworzyłem drzwiczki, wysiadłem i podszedłem do bramy.

- Jestem umówiony - powiedziałem. - Na pewno was uprzedzono.

- Jeden człowiek, signore, nie trzech. Przez tę bramę nie przejeżdża żaden samochód, tylko samochód capo. Takie tu są przepisy.

Wyjąłem z kieszeni walthera. Rozległ się głuchy odgłos odbezpieczania karabinu. Podałem broń przez kratę, rękojeścią do przodu.

- To mój bilet wizytowy. Daj to Marcowi, Marcowi Gaginiemu. On ci powie, kim jestem.

Wzruszył ramionami.

- W porządku, pan może wejść, ale reszta zostanie na zewnątrz.

Zza zakrętu podjazdu wyłonił się Marco i zatrzymał się. Spojrzał na naszego mercedesa, na Burke'a i Ciecica, a potem skinął głową.

- Otwórz bramę, niech wjadą. Strażnik zaprotestował:

- Zna pan przepisy, do środka wjeżdżają tylko samochody domowników.

Marco chwycił go za klapy.

- Głupcze, przecież on nie zabije własnego dziadka! Złaż z drogi.

Wyszarpnął mu walthera z ręki, wrzucił go do kieszeni i popchnął mężczyznę w stronę stróżówki.

Sterowana elektronicznie brama rozchyliła się z cichym szumem. Marco dołączył do nas.

- Pojadę z wami do domu - oświadczył. Usiedliśmy z tyłu obok Burke'a i Ciccio powoli ruszył.

- Wszystko się zmieniło - powiedziałem do Marca. - Łatwiej chyba dostać się do fortu Knox.

- Na koronie murów są zamontowane urządzenia elektroniczne - wyjaśnił. - Nikt nie dostanie się tu tą drogą. Jak słyszałeś, wpuszczamy tylko nasze własne samochody. Kilka lat temu w czasie przyjęcia odkryliśmy w jednym z wozów bombę. Gdyby wybuchła, rozniosłoby willę w kawałki.

- Niezłe życie.

Może umknęła mu ironia w moim głosie, a może zignorował ją z jakichś innych powodów.

- W ciągu ostatnich paru lat było pięć zamachów na życie capo - powiedział. - Musimy być bardzo

ostrożni. Kim jest ten człowiek, którego przywiozłeś?
- zapytał.

- To mój przyjaciel, pułkownik Burke. Uznał, że mogę potrzebować pomocy.

- Czuję, że ma w kieszeni pistolet. Uwiera mnie. Powiedz mu, że nie będzie go potrzebował.

- Znam włoski na tyle, by to zrozumieć - mruknął Burke i przelożył browninga do drugiej kieszeni. Mercedes zatrzymał się u stóp szerokich schodów, prowadzących do wielkich dębowych drzwi okutych żelazem, które w czasach swojej świetności musiały odeprzeć niejednen atak.

Od tej chwili wszystko stało się dla mnie nierealne. Znowu byłem w domu, w swoim domu, ale czułem się, jakby jakaś część mnie, jakaś ważna część, nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

Burke wysiadł za mną i Marco polecił Cieciovowi, żeby odstawił mercedesa na podwórko. Auto odjechało, a ja odwróciłem się i u szczytu schodów zobaczyłem mojego dziadka.

Wzrostem i budową przypominał Burke'a, lecz zapadnięte ramiona sprawiały, że wyglądał na znacznie niższego. Musiał mieć jakieś sześćdziesiąt siedem albo sześćdziesiąt osiem lat, ale ani w jego długich włosach, ani w starannie przystrzyżonej brodzie nie było śladu siwizny.

Gdybym powiedział, że wygląda jak rzymski cesarz, niewiele bym się pomylił.

Na jego twarzy widać było bezwzględność i arogancję, ale też dumę i inteligencję. I jak zawsze

był elegancki. Wielu capo starej daty wolało wyglądać niedbale, jakby chcąc w ten sposób podkreślić swoją władzę, ale nie Vito Barbaccia. Syn dzierżawcy dawno temu zrzucił swoje łaachmany. Miał na sobie lekki kremowy garnitur, który z daleka pachniał Londynem, różową koszulę i ciemnoniebieski

79

jedwabny krawat. W dłoni trzymał wielkie cygaro, a w drugiej dzierżył dobrze przeze mnie zapamiętaną hebanową laskę - jeśli to była wciąż ta sama laska - skrywającą w środku kilkudziesięciocentymetrowe stalowe ostrze.

Kiedy wchodziłem po schodach, nie powiedział ani słowa. Stałem przed nim, a on popatrzył na mnie w milczeniu, po czym otworzył ramiona. Były silne jak dawniej. Trzymał mnie w nich przez długą chwilę, a potem rytualnie ucałował w każdy policzek i odsunął od siebie.

- Urosłeś, Stacey. Urosłeś, chłopcze.

Za mną wszedł Burke, więc przedstawiłem ich sobie.

Wydawało mi się, że mój głos należy do kogoś obcego, że wydobywa się z jakiejś głębi, paliły mnie oczy. Dziadek chyba wyczuł moje zdenerwowanie, bo jeszcze raz mnie uścisnął i objął.

- Chodźcie. Marco poda panu drinka, pułkowniku, a ja tymczasem zamienię dwa słowa z moim wnukiem. Gdy przechodziliśmy przez drzwi, zaschło mi w gardle. Chyba nie można przestać kochać ludzi,

którzy są dla nas naprawdę ważni, bez względu na to, co zrobili.

Kiedy wszedłem do gabinetu, poczułem się, jakbym cofnął się w czasie. Ten pokój jak zawsze był imponujący, ściany od podłogi do sufitu wypełniały półki z książkami, w większości przeczytanymi przez dziadka. Na kominku trzaskał ogień, a sponad niego spoglądała na mnie moja matka - z portretu, który namalował jakiś angielski artysta, kiedy miałem czternaście lat. Ja też tam byłem, na oprawionych w ramki zdjęciach, dokumentujących kolejne etapy mojego dorostania.

80

Fortepian stał w tym samym miejscu pod oknem, wielki koncertowy fortepian Bechsteina, sprowadzony specjalnie z Niemiec. Dla Barbaccii liczył się tylko pierwszy gatunek. Stałem przez chwilę, patrząc na klawiaturę, a potem zagrałem kilka dźwięków.

Usłyszałem, że drzwi za mną otworzyły się i zamknęły. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem dziadka. Staliśmy tak przez chwilę, patrząc na siebie z dwóch końców pokoju, i za nic w świecie nie mogłem wymyślić, co powiedzieć.

Ale i tym razem dziadek natychmiast odgadł, co się ze mną dzieje, i uśmiechnął się.

- Zagraj coś, Stacey. Fortepian jest nastrojony. Co jakiś czas sprowadzam stroiciela z Palermo.

- Dużo czasu minęło - powiedziałem. - W miejscach, w których bywałem, nie było takich fortepianów jak ten.

Jednak dziadek nie ruszał się z miejsca, więc usiadłem, wahałem się przez chwilę, po czym zagrałem. Ravel, Pawana na śmierć infantki. Dopiero w połowie uświadomiłem sobie, co gram. To był ostatni utwór, jaki grałem w tym domu, wieczorem przed pogrzebem mojej matki -jej ulubiony kawałek.

Przerwałem, ale dziadek ponaglił mnie ochryplym głosem:

- Dalej, dalej!

Muzyka pochłonęła mnie całkowicie i popłynęła nieprzerwanie, jak górski potok. Zapomniałem, kim jestem, zapomniałem o wszystkim. Potem przeszedłem do improwizacji Schuberta. Skończyłem, zamarła ostatnia nuta. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że dziadek stoi, wpatrując się w portret mojej matki. Po chwili odwrócił się i pokiwał głową.

81

- To wciąż w tobie jest, Stacey - stwierdził. - Nawet po tylu latach. Twoja matka by się ucieszyła.

- Nigdy nie dałbym rady zagrać koncertu - powiedziałem. - Chyba zawsze to wiedziałeś, ale ona nie.

- Czy to źle, że matka wiąże z synem jakieś nadzieje? - zapytał i znowu uśmiechnął się do

portretu. - Zawsze mówiła, że każdy ma do czegoś talent.

- A ty masz talent do czego? - burknąłem i natychmiast tego pożałowałem.

Dziadek szarpnął głową, jego podbródek wysunął się do przodu, ale nie doszło do wybuchu. Wyjął ze srebrnego pudełka świeże cygaro i zanurzył się w bujanym fotelu przy kominku.

- Nalej brandy, Stacey, dla nas obu. Wyglądasz jak człowiek, który lubi sobie wypić. Potem pogadamy. Podszedłem do barku po drugiej stronie pokoju. Na srebrnej tacy stały kryształowe kieliszki i karafka.

- Czytałem o tobie, chłopcze, kilka lat temu.

- Ach, tak. - Byłem zaskoczony, ale starałem się tego nie okazać.

- We francuskim magazynie "Paris-Match". Zrobili reportaż o najemnikach w Kongu, głównie o twoim przyjacielu, ale ty stałeś tuż za nim. Napisali, że jesteś kapitanem.

- Zgadza się.

Nalałem do kieliszków brandy, a on kontynuował:

- Potem w jednej z rzymskich gazet widziałem reportaż o tym, jak wszyscy uciekliście z podkulonymi ogonami.

Nie połknąłem haczyka.

- To było prawie dwa lata temu.

- Co robiłeś od tego czasu?

- To i owo. - Podszedłem do niego z kieliszkami w dłoniach. - A tak dokładnie... właśnie wyszedłem z więzienia. Z egipskiego więzienia. Nie jest takie

przyjemne jak Ucciardone w Palermo, ale może mafia już go nie kontroluje?

Hebanowa laska wysunęła się do przodu i rozsunęła mój płaszcz, odsłaniając smith & wessona w kaburze.

- Więc Marco miał słuszość, a ja mu nie wierzyłem - mruknął dziadek. - Teraz jesteś sicario, płatnym zabójcą. Mój wnuk.

Dziwny był ten gniew w jego głosie, ta odraza, ale w końcu żaden prawdziwy mafioso nigdy nie myślał o sobie jako o kryminaliście. Wszystko było dla sprawy, dla Stowarzyszenia.

Podąłem mu jego brandy.

- Jestem gorszy od ciebie? - zapytałem. - Pod jakim względem?

- Kiedy ja zabijani, robię to, bo tak trzeba - oświadczył. - Umiera człowiek, który jest przeciwko mnie, przeciwko mafii.

- I myślisz, że to wystarczający powód? Wzruszył ramionami.

- Wierzę, że tak właśnie ma być. Zawsze tak było. - Laska powędrowała do góry i dotknęła mojej piersi. -Ale ty, Stacey... za co ty zabijasz? Za pieniądze?

- Za mnóstwo pieniędzy - odparłem.

To nie była prawda i on chyba też o tym wiedział.

- Mogę dać ci pieniądze. Każde - powiedział po chwili.

- To właśnie robiłeś przez wiele lat.

- A ty oszczędłeś.

- A ja oszczędłem. Pokiwał głową.

- Jakiś rok temu przyszedł do ciebie list od prawników

82

83

ze Stanów. Próbowali cię wytropić. Twój drugi dziadek, stary Wyatt, na łożu śmierci poszedł po rozum do głowy. W testamencie jest dla ciebie zapis, duża suma. Nawet nie poczułem złości.

- Mogą to oddać Indianom.

- Nie weźmiesz ich?

- Jak mógłbym włązić na grób mojej matki? - warknąłem. Z każdą chwilą stawałem się coraz bardziej sycylijskim Sycylijczykiem.

- Cieszę się, że zostało ci trochę honoru - stwierdził i rzeczywiście wydawał się kontent. - Ale teraz mi powiedz, dlaczego tu jesteś. Nie wydaje mi się, że wróciłeś na Sycylię tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć.

Przeszedłem przez pokój i dolałem sobie brandy.

- To po prostu moja praca, nic, co by cię interesowało. Laska uderzyła o podłogę.

- Zadałem ci pytanie, chłopcze, więc odpowiedz.

- W porządku, jeśli to ci poprawi samopoczucie.

Burke i mnie wynajął niejaki Hoffer.

- Karl Hoffer?

- Ten sam. Austriak, ale mówi po angielsku jak Amerykanin. Prowadzi jakieś interesy naftowe w Geli.

- Wiem. Co on chce zrobić?

- Myślałem, że mafia wie wszystko - burknąłem. - Parę tygodni temu jego pasierbica została porwana przez niejakiego Serafina Lentiniego. Trzymają na Cammaracie i nie chce oddać, mimo że Hoffer zapłacił okup.

- I ty zamierzasz ją odbić, tak? Ty i twój przyjaciel myślicie, że możecie wejść na Cammaratę i wrócić z tą dziewczyną? - Roześmiał się tym swoim dziwnym, suchym śmiechem, odrzucając głowę. - Och, Stacey, Stacey. A ja myślałem, że wreszcie dorosłeś.

Rozbiłem swój kryształowy kieliszek o kominek, a po-
84

tem ruszyłem do drzwi. Zawołał mnie po imieniu, jego głos był pełen jakiejś pieprzonej ironii. Odwróciłem się, jak dwunastoletni chłopiec, przyłapany w gaju pomarańczowym przed zbiorami.

- To była siedemnastowieczna Florentine - powiedział. - Czy to ci poprawiło humor?

Potrząsałem głową.

- Przepraszam.

Nic więcej nie mogłem powiedzieć, ale dziadek nieoczekiwanie znów się uśmiechnął.

- Jesteś krewnym Serafina Lentiniego ze strony jego dziadka. Kuzynem w trzeciej linii.

- Znasz go więc?

- Nie widziałem go od wielu lat. To dziki chłopak, zastrzelił policjanta, kiedy miał osiemnaście lat, i poszedł do maquis. Kiedy go złapali, dali mu wycisk.

Wiesz, co to cassetal

W starych, dobrych czasach pod Mussolinim było to urządzenie używane przez policję do wyduszania zeznań z opornych więźniów. Drewniana rama, do której przywiązywano człowieka i pracowano nad nim bez pośpiechu. Teraz chyba odeszła w zapomnienie, a przynajmniej tak mi się wydawało.

- Co mu zrobili?

- Same zwyczajności: rozpalonym żelazem wypalili mu jedno oko i zmiażdżyli jądra.

Powinien tego posłuchać Burke, pomyślałem.

- Nic się nie zmienia, prawda? - zapytałem.

- Nic - odparł i pokręcił głową. - Uważaj na Hoffe-ra

- dodał. - To twardy człowiek.

- Milionerzy na ogół są twardzi. Dzięki temu stają się milionerami. - Zapiąłem marynarkę. - Czas na mnie. Jutro mam ciężki dzień.

85

- Jedziecie na Cammaratę? Skinąłem głową.

- Tak, ale tylko na przejażdżkę. Jako turyści. Chcę po prostu obejrzeć teren. Pomyślałem, że możemy spróbować w Bellonie.

- Burmistrzem jest tam człowiek, który prowadzi sklep z winami. Nazywa się Cerda, Daniello Cerda. -

Dziadek wyjął z kieszeni na piersi niebieską jedwabną chusteczkę i wręczył mi ją. - Pokaż mu to i powiedz, że jesteś ode mnie. Udzieli ci wszelkiej pomocy. Jest jednym z moich ludzi.

Złożyłem chusteczkę i schowałem ją do kieszeni.

- Myślałem, że Serafino nie lubi mafii.

- Nie lubi - odparł dziadek z niezmaconym spokojem, a potem sięgnął po moją rękę i podciągnął się. - Teraz dołączymy do pozostałych. Muszę porozmawiać z tym twoim pułkownikiem Burkiem. Interesuje mnie.

Burke i Marco siedzieli razem w salonie, który dziadek zachował w pierwotnym, mauretańskim stylu. Podłogę wyłożono czarno-białymi płytkami ceramicznymi, ściany były olśniewająco białe, a sufit niebieski. Za wspaniałym rzeźbionym parawanem, kolejnym reliktem saraceńskich czasów, widać było taras i ogrody.

Słyszałem, jak woda bulgocze w starych rurach i rozpryskuje się w licznych fontannach. Kiedyś mawiano, że kto ma w rękę zasoby wody na wyspie, ma w rękę całą Sycylię - i mafia właśnie je miała.

Mężczyźni za mną rozmawiali i usłyszałem, jak Burke mówi swoją szczególną odmianą włoskiego:

- Musi pan być bardzo dumny ze swego ogrodu, signore Barbaccia.

- To najpiękniejszy ogród na Sycylii - odparł mój dziadek. - Bardzo proszę, oprowadzę pana po nim. Marco został, by dopić swojego drinka, a ja podążyłem

86

za dziadkiem i Burkiem na taras. Niebo znowu było czyste, każda gwiazda lśniła jak klejnot. Cały dom otaczała soczysta, półtropikalna zieleń.

Czułem zapach gaju pomarańczowego, chociaż go nie widziałem, i aromat drzew migdałowych. Palmy

kołysały się w lekkiej bryzie, ich liście wyglądały jak pióra na tle ciemnego nieba. Mój dziadek wskazał papirus przy basenie, kolejną arabską innowację, i zaproponował krótki spacer, zanim odjedziemy.

Kiedy skierował się ku schodom prowadzącym w dół do ogrodu, Burke zatrzymał się, by zapalić papierosa, i dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Jakiś instynkt, może wykształcony w ciągu wielu lat mojego dotychczasowego życia, sprawił, że nagle zamarłem, gotów do skoku -jak dzikie zwierzę, wyczuwające obecność niewidocznego jeszcze wroga. Pięć jardów od podnóża schodów, po drugiej stronie zwirowej alejki zadrżały liście krzaków i wychyłała z nich lufa pistoletu. Mój dziadek już schodził.

Powaliłem go na ziemię, wyciągnąłem broń i strzeliłem trzy razy. W powietrze wyleciał pistolet maszynowy, rozległ się stłumiony kaszel, po czym z krzaków wyskoczył jakiś mężczyzna i upadł na plecy.

Uklęknąłem przy dziadku.

- Nic ci nie jest? - zapytałem.**
- Gdzieś musi być jeszcze jeden - wymamrotał.**
- Sean, słyszysz mnie? - zawołałem.**
- Kryję cię-odpowiedział głosem zimnym jak stal.- Spróbuj go wywabić.**

Z budynku wypadł Marco z waltherem w dłoni, a z krzaków po mojej prawej stronie rozległ się strzał, był jednak zbyt daleki, by wyrzucić komukolwiek

szkodę. Marco uskoczył na bok, a ja dałem susa w krzaki.

87

Źle wylądowałem, przetoczyłem się dwa razy i zatrzymałem się jakieś sześć stóp od drugiego zamachowca. W obu dłoniach ścisnął obrzyna, luparę, broń używaną przez mafię w rytualnych zabójstwach.

Postanowiłem zaryzykować, chciałem zachować tego gościa w jednym kawałku i wyciągnąć coś z niego.

Podszedłem i wystrzeliłem, trafiając go w lewe ramię. Krzyknął i rzucił broń, ale kiedy się wyprostował i cofnął, Burke strzelił mu między oczy.

Wyglądał na siedemnaście lat. Chłopiec, który próbował wyrobić sobie imię, zdobyć szacunek.

Mafia często używała takich żóltodziobów do tego rodzaju roboty. Ale ten drugi z pewnością był zawodowcem - miał zimne, zawzięte oczy, które widziały tylko śmierć.

Dziadek laską rozsunał marynarkę mężczyzny, który wypadł z krzaków, i powiedział do Marca:

- Mówiłeś, że może użyć broni. Spójrz na to.

Trafiłem go trzy razy w serce, rany po kulach dzieliła

odległość nie większa niż dwa palce. Było bardzo mało krwi. Usłyszałem szczekanie psów. Kiedy przybiegli strażnicy, przeładowałem smith & wessona i wsunąłem go do kabury.

- Jak oni się tu dostali? - zapytałem.

Dziadek zmarszczył brwi i odwrócił się do Marca.

- Co ty na to? Mówiłeś, że tutaj nikt nie może się dostać.

Marco machnął w stronę strażników. Odeszli w pośpiechu, zabierając psy. Potrafiłem nogą mężczyzną leżącego na ziemi.

- Więc wciąż próbują?

- Już nie będą - zapewnił mnie dziadek. - Wszystkie rachunki zostaną spłacone. Jestem to winien twojej matce.

Odwróciłem się do Burke'a i powiedziałem:

- Oto i mafia w pełnej krasie. Jedna wielka, szczęśliwa rodzina. Czy z tymi dwoma będą jakieś kłopoty?

Dziadek pokręcił głową.

- Zadzwońię po policję, żeby ich zabrała.

- To takie proste?

- Oczywiście. Lepiej jednak, żeby was nie było, kiedy przyjadą.

Zawołał Marca, który przeszukiwał ogród, i polecił mu, by przysłał mercedesa, a potem wziął mnie za ramię i odciągnął na bok.

- Gdybyś grał na fortepianie tak, jak strzelasz, Stacey... .

- Co za wstyd, prawda? - mruknąłem. - Ale moja mama miała słuszność w jednym: wszyscy marny do czegoś talent.

- Idź z Bogiem, chłopcze - powiedział i westchnął. - Tylko przyjdź do mnie, kiedy wrócisz z Cammaraty, dobrze?

- Dobrze.

- Będę na ciebie czekał. - Odwrócił się i wyciągnął rękę do Burke'a. - Dziękuję, pułkowniku.

Kiedy przejechaliśmy przez bramę, Burke zapalił kolejnego papierosa i w świetle zapalniczki dostrzegłem pot na jego twarzy. Przez chwilę zastanawiałem się, czy to możliwe, że się przestraszył, ale uznałem, że nie.

- Nic ci nie jest? - zapytałem.

Myślałem, że nie doczekam się odpowiedzi, ale w końcu wycedził z goryczą:

- Bóg jeden wie, co oni ci tam zrobili, ale to musiało być złe.

W końcu jednak zrozumiał, że się zmieniłem, stwierdziłem. To mi odpowiadało.

89

Patrzyłem na morze i rozmyślałem - nie o tym, co się zdarzyło w willi, ale o Karlu Hofferze, o pięknej Joannie i o Serafinie Lentinim, wspaniałym kochanku, który pożądał jej tak bardzo, że chciał ją zatrzymać tylko dla siebie. O Serafinie, który wedle mojego dziadka utracił swoją męskość w policyjnych torturach i był niezdolny do fizycznej miłości.

Dlaczego jednak Vito Barbaccia, capo mafia, intrygant wszech czasów, uznał za konieczne mi o tym powiedzieć?

Hoffer dotrzymał słowa i dostarczył nam fiata limuzynę. Dorzucił jeszcze gratis Rosę Solazzo, argumentując, że będzie dla nas stanowić dobrą przykrywkę i uprawdopodobni naszą historię,

podejrzewałem jednak, że przede wszystkim miała pilnować jego spraw.

Następnego ranka odbyliśmy pospieszne ostatnie spotkanie. Hoffer leciał do Katanii swoją cessną i chciał wcześniej wystartować, by wrócić tego samego dnia wieczorem i wysłuchać mojego sprawozdania z naszego rekonesansu.

Nikt nawet nie wspomniał o strzelaninie w willi - była to kolejna rzecz, która mnie zadziwiła. W drodze powrotnej Burke poprosił, żebym zatrzymał to dla siebie. Chyba uznał, że tak szanowany biznesmen jak Hoffer nie chciałby być wplątany w podobną historię. Ale Ciccio też tam był i musiał słyszeć strzelaninę, jednak nie wypytywał o bliższe szczegóły.

Pojechaliśmy drogą do Agrigento - najchętniej używaną przez turystów, zwłaszcza tych szczególnie złażnionych efektownych widoków.

91

Zgodnie z pierwotnym planem ja prowadziłem, Burke siedział przy mnie, a Rosa Solazzo miała całe tylne siedzenie dla siebie.

Wyglądała bardzo atrakcyjnie w granatowym garniturze, którego męski krój równoważyła biała, bardzo kobieca nylonowa bluzka. Jej stroju dopełniał czerwony jedwabny szal zawiązany na głowie oraz nieodłączne okulary przeciwsłoneczne. Nie próbowała nawiązywać konwersacji i czytała jakiś magazyn. Kiedy po dziesięciu milach zatrzymałem się w wiosce Misilmeri, żeby kupić

papierosy, i zapytałem ją, czy coś chce, jedyną odpowiedzią było przeczące potrząśnięcie głową. Jej obecność uniemożliwiła moją rozmowę z Burkiem, ale on tak czy owak zdawał się nie mieć nastroju i skulił się w swoim siedzeniu, ponury i pogrążony w myślach, jakby dźwigał na barkach cały świat. Jego ręce lekko drżały.

Po raz pierwszy przyszło mi do głowy pytanie, czy podoba temu, co nas czeka. Ale w czasie zajścia w willi nie zauważyłem u niego spadku formy. Strzał, który zabił chłopaka z luparą, nie należał do najłatwiejszych, a jednak Burke wykonał go bardzo precyzyjnie. Wcześniej dostrzegałem wyraźne objawy pewnego pogorszenia jego kondycji, teraz jednak wyparłem je z myśli i skoncentrowałem się na obserwowaniu drogi, którą jechaliśmy.

Wiosenne żniwa dobiegały końca, gaje pomarańczowe już dojrzewały i wszędzie było pełno kwiatów. Czerwone maki, anemony i niebieskie irysy układały się w dywan rozpościerający się w nieskończoność. Ale już za parę dni żelazna dłoń letnich upałów chwyci ten kraj za gardło i wycisnie go do sucha, pozostawiając wyżyny oszalałe z pragnienia, posępną pustynię skał, piasku i lawy.

92

Im bardziej oddalaliśmy się od Palermo, jadąc w głąb wyspy, tym wyraźniej widziałem, jak niewiele się tu zmieniło. Tylko w tej okolicy można jeszcze zobaczyć trzykołową lambrettę i vespę. Droga wiodła przez średniowieczny pejzaż i widać tu było takie

ubóstwo, jakie można znaleźć w bardzo niewielu miejscach w Europie.

Minęliśmy starego chłopca na ośle, a nieco dalej grupę wychudzonych wieśniaczek z koszami na głowach, ubranych w spłowiałą czerń, jakby opłakiwały swój żywot. Ich postarzałe przedwcześnie twarze żłobiły głębokie zmarszczki. Spódnicami zamiatały brązowy kurz z drogi i patrzyły, jak przejeżdżamy.

Wszystkie wioski wydawały się takie same, w większości domów nie było okien, a drzwi - jedyne źródło światła i powietrza - otwierały się na ciemną pieczarę, w której zazwyczaj świnie i kozy mieszkały razem z ludźmi.

Mieszkańcy tych wiosek, głównie kobiety, starzy mężczyźni i chudziutki, niedożywione dzieci, przeczekiwali swoje życie na tle wymarłego pejzażu. W jednej z takich miejscowości zatrzymałem się przed małą trattorią. Usiedliśmy w cieniu przy drewnianym stole, a gospodarz, stary człowiek o siwych włosach, przyniósł nam zimną jak lód butelkę passito wyciągniętą ze studni.

Dochodziła jedenasta, ale było już bardzo gorąco, a kiedy otoczył nas krąg dzieci o poważnych twarzach, poczuliśmy kwaśny odór ich niemytych ciał.

- Czy tutaj nie ma żadnych mężczyzn? - zapytał Burke.

Wyglądał na zmęczonego i pocił się obficie, pod jego pachami widniały wielkie wilgotne plamy.

- Większość z nich wyjechała - odparłem. - W niektórych prowincjach osiemdziesiąt pięć procent populacji stanowią kobiety i dzieci.

Rozejrzał się z niechęcią i otarł pot z czoła.

- Co za cholerny kraj...

Rosa Solazzo zniknęła w środku w poszukiwaniu czegoś w rodzaju toalety, ale wróciła w samą porę, żeby usłyszeć ten komentarz. Najwyraźniej uznała, że jest niesłuszny, bo oświadczyła:

- To jeden z najbiedniejszych rejonów Europy, pułkownika Burke. Latem jest tu taki sam klimat jak w Afryce Północnej, ziemia ledwie się nadaje pod uprawy, a tam, gdzie jest jakaś woda, rządzi nią mafia. Ci ludzie urodzili się bez nadziei. Tylko wyjazd stąd mógłby ich uratować.

Chyba nie łudziła się, że coś mu wbije do głowy.

Ludzie, o których mówiła, byli jej rodakami - sama należała do nich i prawdopodobnie zaczęła życie w miejscu takim jak to.

Burke roześmiał się z lekką wzdargą.

- Pani chyba nie może narzekać.

Bez słowa przepchnęła się przez dzieci i wsiadła do fiata. Opróżniłem szklankę i pokręciłem głową, kiedy Burke nalał sobie kolejną.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego - powiedziałem. - Passito to mocny trunek.

Moje słowa oczywiście odniosły przeciwny skutek: napełnił szklankę po samą krawędź. Zostawiłem go i wróciłem do wozu. Znalazłem papierosy i poczęstowałem Rosę.

- Przykro mi z powodu tego zajścia. On tego nie rozumie.

Była urażona i wściekła.

94

- Nie potrzebuję pańskiego ubolewania. Jego przynajmniej tłumaczy ignorancja, ale pan i tacy jak pan, cała mafia, jesteście za to wszystko odpowiedzialni.

A więc byłem mafioso? Odwróciłem się od niej, jednak ona wyciągnęła rękę i dotknęła mojego ramienia.

- Przepraszam, jestem zła na niego, a wyzywam się na panu. Wybacz mi pan?

Nie mogłem odgadnąć, co się dzieje za ciemnymi szklami jej okularów. Czy uznała, że posunęła się za daleko, i próbowała to naprawić, czy też bała się urazić wnuka Vita Barbaccii? A może było jej po prostu przykro?

Znalazłem odpowiedź, która pasowała do każdej z tych ewentualności:

- Wszystko w porządku.

Burke kończył już trzecią szklanę, kiedy po niego wróciliśmy. Wstał i gwałtownie usiadł z powrotem. Wyglądał na zdziwionego.

- Przestrzegł go pan przed passitol - zapytała Rosa.

- Nie jest w nastroju do przyjmowania jakichkolwiek ostrzeżeń.

Roześmiała się. Zemsta, zwłaszcza dla kobiet, zawsze jest słodka.

Wjechaliśmy w góry, na wspaniałe skaliste pustynie, wśród których niemal sześć tysięcy stóp w niebo wznosiła się Monte Cammarata.

Burke zapadł w jakieś otępienie, a Rosa oparła ramiona na siedzeniu i rozmawialiśmy cichutko.

Nasze głosy jeszcze bardziej przycichły, gdy wjechaliśmy między wysokie turnie.

Skręciliśmy z głównej drogi i zygzakami wspinaliśmy się na zbocza, pozostawiając za sobą dolinę. Ta kraina od

95

czasów rzymskich dawała schronienie zbiegłym niewolnikom i bandytom.

W czasie wojny, kiedy alianci dokonali inwazji na Sycylię, był to najbardziej strzeżony punkt włosko-niemieckiego systemu obronnego, a jednak Amerykanie przeszli niezauważeni. Podobno udało im się to dzięki temu, że większość włoskich oddziałów poddała się na polecenie mafii.

Droga zwęziła się, ale całą mieliśmy dla siebie, a ja trzymałem się blisko ściany, w chmurze kurzu powoli wspinając się na drugim biegu. Jedyne żywe istoty, jakie spotkaliśmy, było stado owiec i pastuch, wysoko ponad linią lasów bukowych.

Potem objechaliśmy skalny występ i sto jardów dalej znaleźliśmy Bellonę.

Wszechobecne na sycylijskiej prowincji bezprawie i bandytyzm sprawiły, że ludzie woleli osiedlać się w dużych skupiskach, powstały więc tu wioski o wiele większe niż gdziekolwiek indziej w Europie. Bellona

jednak należała do mniejszych ze względu na swoje położenie w słabo zaludnionych górskich rejonach.

Kilka uliczek stromo biegło w stronę placu.

Przypominały otwarte kanały ściekowe, rozsiewające wokół smród uryny. W tym brudzie apatycznie bawiły się małe dzieci.

Zaparkowałem przed winiarnią. W cieniu drzew stały trzy drewniane stoły z ławkami, przy jednym z nich dwóch mężczyzn popijało czerwone wino - stary chłop w wyświechtanym ciemnym garniturze i niski, krępy mężczyzna w wieku jakichś czterdziestu lat, z ogorzałą twarzą i ciemnymi, głęboko osadzonymi oczyma.

Wyczułem, że to mafioso - miał jakieś szczególne spojrzenie, otaczała go aura władzy. To był Cerda, byłem tego pewien. Mężczyzna wstał i podszedł do samochodu.

96

- Co mogę dla pana zrobić, signore? - zapytał, kiedy wysiadłem, żeby się z nim przywitać.

Burke wyglądał już na poważnie chorego. Wielkie krople potu spływały po jego twarzy, ręką mocno uciskał brzuch.

- Jesteśmy w drodze do Agrigento - powiedziałem. - Jeden z moich pasażerów zachorował. - Mężczyzna schylił się i spojrzał na Burke'a, a potem na Rosę. - Pan jest tu właścicielem? - zapytałem.

Przytaknął i zapytał:

- To Amerykanin?

- Irlandczyk. Na ostatnim postoju wypił całą butelkę passito. Szkoda słów.

- Ci turyści... - Pokręcił głową. - Weźmy go do środka.

- Lepiej, żeby pani tu zaczekała, signorina - powiedziałem do Rosy. - Przynieść coś pani? Zawahała się, a potem uśmiechnęła lekko.

- Kawę, ale proszę się upewnić, że przegotują wodę.

- Zaraz przyślę żonę, signorina - obiecał Cerda. - Ale może wolałaby pani usiąść przy stole?

Zabraliśmy Burke'a, a Rosa wysiadła z samochodu.

W środku knajpy był popękany marmurowy bar i kilka stolików, za którymi znajdowały się jakieś drzwi. Cerda otworzył je kopniakiem i weszliśmy do małej, zagraconej sypialni, chyba jego własnej.

Rzuciliśmy Burke'a na łóżko, a ja poluzowałem mu krawat.

- Za kilka godzin najgorsze będzie miał za sobą - stwierdził Cerda. - Zostanie mu potworny kac, ale będzie mógł podróżować. Wrócę za minutę.

Wyszedł, a ja zapaliłem papierosa i podszedłem do okna. Po chwili drzwi znowu się otwały. Kiedy się odwróciłem, Cerda opierał się o nie z ręką schowaną za plecami.

97

- Teraz sobie pogadamy. Kim jesteście?

- Szybki jesteś - mruknąłem. Pokręcił głową.

- Nikt przy zdrowych zmysłach, jadąc do Agrigento, nie skręca, by ot tak sobie przejechać dziesięć mil najgorszą drogą na Sycylii.

- Masz rację, oczywiście. Zamierzam wyjąć coś ze swojej prawej kieszeni, więc mnie nie zastrzel. To nie broń.

Chusteczka mojego dziadka wywarła efekt z grubsza porównywalny z okazaniem świętej relikwii. Przez chwilę myślałem, że Cerda ją pocałuje. Wyjął zza pleców automatycznego colta kalibru .45, prawdopodobnie pamiątkę z wojny, i położył go na komodzie.

- A więc przychodzicie od capo? Kiedy tylko was zobaczyłem, byłem prawie pewien, że jesteście ze Stowarzyszenia, ale każdy może się mylić. Dziwne, że nie spotkaliśmy się wcześniej. Co miesiąc jestem w Palermo, załatwiam sprawy Stowarzyszenia.

- Wyjechałem na parę lat i dopiero co wróciłem. - Uznałem za stosowne wystrzelić wszystkie naboje od razu, więc dodałem: - Jestem wnukiem capo. Jego oczy otworzyły się szeroko i przez chwilę byłem święcie przekonany, że padnie na kolana.

- Ależ oczywiście, pamiętam pańską matkę, niech spoczywa w pokoju. - Przeżegnał się. - Amerykański ojciec, ot co. Wiedziałem, że jest w panu coś nie do końca sycylijskiego. A kim jest pański przyjaciel? - Pracuje ze mną. Ale ta historia z passito była prawdziwa.

Wyszczrzył się.

- Zostawimy go tutaj. W kuchni jest dużo chłodniej. W wielkim kwadratowym pomieszczeniu z jednym

małym oknem było ciemnowo, na przekór palącemu słońcu na zewnątrz. Cerda postawił na stole butelkę wina, napełnił dwie szklanki i gestem poprosił, żebym usiadł. Jego żona przemknęła cichaczem jak czarne widmo, z tacą w rękach, i zniknęła za drzwiami.

- Co sprowadza wnuka capo do Bellony?

- Serafino Lentini - odparłem.

Szklanka, którą podnosił do ust, opadła w połowie drogi.

- Chciałby pan dopaść Serafina? - Zaśmiał się. -

Matko Boska, ja też. I capo powiedział, żeby pan się ze mną spotkał? Nie rozumiem. Stowarzyszenie ściga Serafina niemal od dwóch lat. Narobił nam mnóstwo kłopotów, a tutejsi ludzie idą za nim jak w dym. -

Upił łyk wina i westchnął. - Bardzo niedobrze.

- Kogo on udaje? - zapytałem. - Chce być następnym Giulianem albo Robin Hoodem?

Splunął na podłogę.

- Serafino jest jak każdy z nas, ale od czasu do czasu daje pastuchom jakieś fory lub nie pozwala eksmitować jakiejś starej kobiety, więc ludzie myślą, że z jego dupy świeci słońce. Sześć miesięcy temu zatrzymał w pobliżu Frentini miejscowy autobus, który wiozł pieniądze dla pracowników, po czym strzelił do kierowcy i do urzędnika bankowego.

Kierowca zmarł po dwóch dniach.

- Prawdziwy twardziel - mruknąłem.

- To dziki człowiek - odparł Cerda. - Nigdy się nie ucywilizuje. Kiedy był młodszy, wiele wycierpiał, gdy

wpadł w ręce policji. Stracił wtedy wzrok w jednym oku. Myślę, że nigdy się z tego nie otrząsnął. Ale czego pan od niego chce?

Powiedziałem mu tyle, ile musiał wiedzieć, a kiedy skończyłem, potrząsnął głową.

99

- To szaleństwo. Nie ma pan szans, żeby się dostać choćby w pobliże Serafina. Proszę, pokażę panu...

Otworzył szufladę i wyjął mapę regionu w dużej skali. Pokazywała całą okolicę Monte Cammarata.

- Serafino siedzi teraz tutaj. - Wskazał punkt na mapie po drugiej stronie góry, jakieś tysiąc pięćset stóp poniżej wierzchołka. - Tam, nad strumieniem, jest chata pastuchów. Siedzi w niej cały czas, chyba że wypuszcza się gdzieś dalej.

Byłem zaskoczony jego wiedzą na ten temat.

- Jest pan pewien?

- Coś panu powiem... - Uśmiechnął się smutno. - Wiedzieć, gdzie jest Serafino, i złapać go, to dwie różne rzeczy. Każdy pastuch w tych górach czci go jak Boga. Mają system sygnalizacyjny, za pomocą którego przekazują informację o nadejściu każdego obcego, kiedy tamten ma jeszcze trzy, cztery godziny ciężkiej wspinaczki. Próbowałem złapać go z miejscowymi ludźmi, należącymi do nas, prawdziwymi góralami. Nigdy nam się nie udało.

- Ilu ludzi ma ze sobą?

- W tej chwili trzech. Braci Vivaldich i Joego Ricca. Wpatrywałem się w mapę przez dwie, trzy minuty,

a potem poprosiłem Cerdę, by mi szczegółowo opisał teren. Nie musiałem sobie nic notować, zbyt często przerabiałem to wcześniej.

W końcu skinąłem głową i złożyłem mapę.

- Mogę ją zatrzymać? - zapytałem.

- Oczywiście. Ale to niemożliwe, zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Wcale nie - odparłem i uśmiechnąłem się. - Chyba pójdę sobie na przechadzkę. Chciałbym się rozejrzeć. Zobaczymy się później.

100

Zatrzymałem się w drzwiach wyjściowych, oślepiiony nagłym blaskiem, i założyłem okulary przeciwsłoneczne. Rosa siedziała przy drewnianym stole, przed nią stała taca. Nie była sama. Na końcu stołu rozwaliły się dwa typy - młodzi mężczyźni o grubych i prymitywnych rysach twarzy, w wyświechtanych, połatanych ubraniach, znoszonych butach i szmacianych czapkach z epoki, która w całej Europie należała już do przeszłości.

Rosa siedziała wyprostowana i sztywna, paliła papierosa i patrzyła przed siebie. Jeden z mężczyzn coś powiedział - nie zrozumiałem co - i na jego twarzy wylądowały resztki jej kawy.

Dla Sycylijczyka kobieta jest przedmiotem użytkowym, ma robić, co się jej każe. Nie do pomyślenia jest, by publicznie poniżyła mężczyznę. Kilkoro obserwujących tę scenę dzieci wybuchnęło śmiechem, a rozwścieczony mężczyzna sięgnął przez

stół i poderwał Rosę z ławy, drugą ręką zamierzając się do ciosu.

Chwyciłem go za ramię i odwróciłem. Patrzyliśmy na siebie przez długą chwilę i wyraz jego twarzy zaczął się już zmieniać, ale w tym momencie spoliczkowałem go odwróconą dłonią. Nie powiedziałem ani słowa. Sięgnął ręką do policzka, a kumpel szarpnął go za rękaw. Wycofali się tyłem kilka kroków, po czym odwrócili się i uciekli.

Rosa dołączyła do mnie, zapinając marynarkę.

- Co by pan zrobił, gdyby obaj ruszyli na pana?

Zastrzeliliby ich pan?

- Ale nie ruszyli - mruknąłem.

- Nie, rzeczywiście, wiedzieli, że lepiej nie zadzierać z mafią.

101

- A skąd mogli wiedzieć, że mają do czynienia z mafią?

- Proszę sobie nie żartować, panie Wyatt. Patrzył pan ostatnio w lustro? Mafioso w każdym calu.

Próżność, arogancja, poczucie władzy. Nawet pan się nie odezwał do tego biedaka. To było najbardziej upokarzające.

- Dla pani czy dla niego? - odparowałem. - Nosi pani nylonową bieliznę i ubrania z Londynu i Paryża, i ma pani przez to poczucie winy. Dlaczego? Czy pani bracia i siostry wciąż żyją w takim chlewie jak ten?

- Właśnie - odparła. - Jest pan bardzo bystry, panie Wyatt.

- Stacey - powiedziałem. - Mów mi Stacey.

Przejdźmy się - zaproponowałem.

Za wsią znaleźliśmy przyjemne, łagodnie wznoszące się zbocze, obramowane ciemną linią lasu. Ponad nim widniały nagie skały i szczyt, zamglony i drżący w upale.

Wziąłem z samochodu lornetkę, a teraz rozłożyłem na ziemi mapę Cerdy i starannie sprawdziłem ze stanem faktycznym wszystkie nierówności.

- Można to zrobić? - zapytała Rosa, kiedy złożyłem mapę i schowałem lornetkę do futerału.

- Tak myślę.

- Ale nie powiesz mi jak?

- Myślałem, że wybrałaś się tylko na przejażdżkę.

Uderzyła mnie pięścią w ramię.

- Jesteś najbardziej wkurzającym facetem, jakiego w życiu spotkałam.

- No i dobrze - mruknąłem. - Ale teraz zapomnijmy

102
o wszystkim oprócz tego, jak tu jest przyjemnie.

Spędźmy to popołudnie jak beztroscy kochankowie i opowiadajmy sobie miłe kłamstwa.

Roześmiała się, a kiedy ująłem jej dłoń, nie cofnęła jej.

Na zboczu znaleźliśmy chabry, starce, listery i srebrnoniebieskie goryczki. Spacerowaliśmy przez godzinę, a potem położyliśmy się w nasłonecznionej kotlinie, paliliśmy papierosy i rozmawialiśmy.

Miałem rację. Urodziła się w wiosce bardzo podobnej do Bellony, w prowincji Messyna. Jej

wujek ze strony matki, wdowiec, miał małą kawiarenkę w Palermo. Kiedy jego jedyna córka umarła, potrzebował kogoś, kto by zajął jej miejsce, a żadnemu Sycylijczykowi nie przy-szłoby nawet do głowy przyjąć obcego, jeśli był ktoś odpowiedni w rodzinie.

W wieku osiemnastu lat wyszła za mąż za właściciela podobnej knajpki. Był w średnim wieku i rok później grzecznie zszedł z tego świata.

Wyglądało na to, że Hoffer trafił jakoś w to miejsce i tam natknął się na nią, ale Rosa była powściągliwa w szczegółach. Powiedziała mi tylko, że zdołała osiągnąć to, co chciała, wykreować się na wyszukaną światową kobietę, co musiało być niełatwe, nawet z jej charakterem i inteligencją.

Ona też zadała mi kilka pytań, a ja - nie do wiary -: odpowiedziałem na nie. Nie było to zresztą nic ważnego.

- To niewiarygodne - stwierdziła w końcu. - Jesteś niemal człowiekiem. Trudno sobie wyobrazić, że potrafisz zabijać tak bezwzględnie jak ostatniej nocy.

- Więc wiesz o tym? - zdziwiłem się. - Kto ci powiedział?

103

- Pułkownik Burke mówił o tym Karłowi, a ja byłem wtedy z nimi - odpowiedziała, zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi.

Czy to wszystko wróci kiedyś do normy? - pomyślałem i zaśmiałem się głośno. Zapytała, co mnie tak śmieszy.

- Życie - mruknąłem. - To jeden wielki dowcip. Przewróciłem ją na plecy i pocałowałem. Leżała, patrząc na mnie, z gładką twarzą i niemal obojętnymi oczyma, nie próbując mnie powstrzymać, gdy rozpinałem guziki jej bluzki. Kiedy wsunąłem dłoń pod materiał i ująłem jej pierś, sutek stwardniał pod moim palcem i zauważyłem kropelkę potu na jej brwi.

Pocałowałem ją jeszcze raz i roześmiałem się.

- Garnitur jest najlepszym obrońcą niewieściego wianka od czasów pasa cnoty - stwierdziłem. - To problem niemal nierozwiązywalny.

- Niezupełnie - odparła.

- Nie, niezupełnie.

Pocałowałem ją znowu i tym razem jej ramiona ciasno otoczyły moją szyję. Była naprawdę bardzo pociągająca, a przy tym tak bardzo niegodna zaufania...

Zeszliśmy do wsi inną drogą i z wysokości kilkuset stóp obejrzałem sobie otoczony murem ogród na tyłach winiarni. W stodole stał zaparkowany czerwony alfa romeo, a w drzwiach rozmawiało dwóch ludzi. Kiedy wyjąłem lornetkę, stwierdziłem, że to Cerda i Marco Gagini.

Rosa szła z przodu, zbierając dzikie kwiaty. Nie zdradziłem jej, co zobaczyłem, i tym bardziej po powrocie nie powiedziałem nic Cerdzie. Burke był

już na nogach. Wyglądał i zachowywał się naprawdę obrzydliwie. Ulo-

104

kowalem go na tylnym siedzeniu, a Rosa zajęła miejsce obok mnie.

Przez jakieś sto jardów Burke trzymał nerwy na wodzy, ale potem wybuchnął:

- Nie zamierzacie nic mi powiedzieć, na miłość boską? Czego się dowiedzieliście?
- Tego, gdzie ukrywa się Serafino.
- Możemy się tam dostać?
- Tak sędzę. Pamiętasz naszą misję w Lagonie?
- Chodzi ci o ten nasz wypad na spadochronach? - Zmarszczył brwi. - Sugerujesz, że teraz też ma się to odbyć w ten sposób?
- To jedyny sposób - odparłem. - Możesz zorganizować sprzęt?

Skinał głową.

- Bez problemu. Przyleci jutro z Krety. Słuchaj, naprawdę jesteś pewien, że on tam jest?
- Po powrocie opowiem ci wszystko ze szczegółami - odparłem. - A teraz może byś trochę pospał?

Zaśmiał się cierpko.

- Pospał? Ja już nigdy nie zasnę.

Opadł jednak w ką, a ja wziąłem ostro pierwszy zakręt i wyjechałem na prostą w chmurze pyłu.

Kiedy spojrzałem w lusterko, uśmiechnąłem się.

Dojechaliśmy do Palermo tuż przed wieczorem.

Przypomniałem Burke'owi, że przed powrotem do willi musimy zrobić jeszcze jedną rzecz. Wpadliśmy

do banku Hoffera, potwierdziliśmy czek i zostawiliśmy go w depozycie. Żeby go stamtąd wydostać, trzeba było mieć klucz, który dostaliśmy od Hoffera, i jego podpis.

Burke nie był tym wcale uradowany, może dlatego, że

105

nim dyrygowałem, a tego nigdy nie lubił. Urzędnik dał mi białą manilową kopertę, żebym włożył do niej czek, i pozwoliłem ją Burke'owi zapieczętować. To chyba nieco poprawiło mu samopoczucie.

Powiedziałem też, że może pilnować klucza, więc schował go starannie w swoim portfelu.

Ale nadal nie wyglądał na szczęśliwego. A mnie to z jakiegoś niewiadomego powodu cieszyło.

Kiedy dotarliśmy do willi, Hoffera jeszcze nie było. Rosa poszła wziąć kąpiel, ja też o niczym innym nie marzyłem, ale Burke zaczął się budzić do życia.

- Lepiej wypij kawę i weź kąpiel, zanim Hoffer wróci - poradziłem mu. - Jeśli zobaczy cię w takim stanie, zacznie się martwić o swoją inwestycję.

Moje słowa wywarły zdumiewający efekt.

- W cholerę z Hofferem - oświadczył Burke. -

Potrzebuje mnie i doskonale o tym wie. A teraz pogadajmy. Chcę wiedzieć, czego się dzisiaj dowiedziałeś.

Ustałem mu i przeszedłem z nim na taras. Pięć i Le-grande siedzieli przy stole i grali w karty, między nimi stała butelka.

Na widok Burke'a Pięt skoczył na równe nogi, jego twarz się rozjaśniła.

- Dzięki Bogu! - zawołał Legrande. - Było tu dziś jak na cmentarzu. Kiedy doczekamy się jakiejś akcji?

- Już niedługo. - Burke uśmiechnął się do Pięta i uścisnął jego ramię. - Przynieś nam trochę kawy, chłopcze, i siądziemy do interesów.

**Pięt wyszedł zgięty we dwoje, a Burke wziął jego
107**

krzesło, tacę z butelką i kieliszkami zestawił na podłogę, po czym spojrzał na mnie.

- W porządku, Stacey, zaczynaj.

Wyjąłem mapę, którą dostałem od Cerdy, i rozpostarłem ją na stole. Na początek zreferowałem swoją rozmowę z burmistrzem, a potem pokazałem, gdzie jego zdaniem może przebywać Serafino. W tym czasie wrócił Pięt z jednym ze służących i z kawą. Opisałem im teren, po czym przedstawiłem moje rozwiązanie problemu.

Legrande nie sprawiał wrażenia zachwyconego.

Służył w kolonialnym regimencie komandosów w Indochinach i później w Algierii i miał tyle samo doświadczenia co Burke, a może i więcej.

- Nie podoba mi się to - oświadczył. - Nocny zrzut w takim terenie jak ten to proszenie się o nieszczęście.

Brakuje nam tylko, żeby jeden z nas złamał nogę... wtedy naprawdę będziemy w kłopotcie.

- To jedyny sposób - powiedziałem. - W przeciwnym wypadku możemy spakować walizki i wracać do domu.

- Stacey ma rację - wtrącił Burke z ożywieniem. -Nie mamy wyboru. A teraz przejdźmy do szczegółów...

- Będziecie musieli poradzić sobie beze mnie - oświadczyłem, wstając. - Wychodzę.

Burke spojrział na mnie z niezadowoleniem.

- Nie gadaj głupot. Musimy to jakoś zorganizować.

- To twoja działka. Ty tu podobno jesteś szefem. Ja spędziłem całe długie, gorące popołudnie, analizując sytuację, podczas gdy ty leżałeś narąbany jak worek.

Uświadomiłem sobie, że właśnie doprowadziłem do naszej pierwszej konfrontacji. Zupełnie jakby Pięta i Legrande[^] tam nie było, jakbyśmy byli zupełnie sami. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie i niezadowolenie, w jego oczach dostrzegłem coś zbliżonego do bólu.

108

Na pewno chciał zapytać, dlaczego to robię. Zamiast tego jednak powiedział tylko cicho:

- W porządku, Stacey, jeśli tak sobie życzysz.

Wrócił do studiowania mapy. Legrande wyglądał zagadkowo, ale Pięt był blady i wściekły.

Zignorowałem ich obu i wyszedłem.

Wziąłem prysznic, a potem włożyłem swój stary płaszcz kąpielowy i wróciłem do sypialni, wycierając włosy ręcznikiem. W tym samym momencie drzwi się otworzyły i do środka wpadł Pięt Jaeger.

Zatrzasnął drzwi i wbił we mnie wściekłe spojrzenie.

- W co ty, do cholery, grasz? Zawstydzileś go przy nas wszystkich, upokorzyłeś człowieka, który zrobił dla ciebie więcej niż ktokolwiek inny.

- Powiem ci, co on dla mnie zrobił - odparłem. - Nauczył mnie trzech rzeczy. Żeby strzelać do wroga z ukrycia, nie twarzą w twarz, żeby zabijać, nie ranić, i że najlepiej strzelać w plecy. Oto cała nauka. No, może gdzieś pomiędzy tymi były ze dwie inne rzeczy, ale te są najważniejsze.

- Zawdzięczasz mu wszystko... - Pięt niemal wychodził z siebie. - Dwa razy uratował ci życie. W Lagonie mieliśmy nie zabierać rannych, a kiedy spadły odłamki i dostałeś w nogę, co zrobił?

- Zmusił ich, żeby mnie wynieśli. Chętnie dowiedziałbym się dlaczego.

- Ty cholerny łajdaku! - wrzasnął. Jego południowoafrykański akcent był teraz bardzo wyraźny. - Takich jak ty może mieć na pęczki. Nie zasługujesz na to, żeby mu buty czyścić! Właściwie było mi go żal. Być może większość jego

109

gniewu miała związek z zazdrością. Kochał Burke'a, dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę, i prawdopodobnie zawsze tolerował mnie w milczeniu. Byłem z Burkiem od początku i wedle wszelkich reguł - tu z pewnością miał rację - w Lagonie powinienem dostać kulkę w łeb. W taki sposób najemnicy chronili swoich rannych przed wpadnięciem żywcem w ręce wroga. Ale Burke kazał

im mnie nieść. Piętowi na pewno trudno było to przełknąć.

- Daj spokój - mruknąłem. - Idź ugłaskać jego zmarszczoną brew, czy co tam robicie ciemną nocą. Zamachnął się. Gdyby ten cios trafił do celu, nie miałbym już głowy. Uniknąłem tego, przetaczając się w tył przez łóżko. Nie wyobrażałem sobie swoich szans w uczciwej walce. Pięt nie siedział ostatnio w więzieniu, był więc sprawniejszy niż ja. I miał dwadzieścia pięć funtów przewagi.

Skoczył za mną na łóżko, próbując mnie dopaść, ale zaplątał się w prześcieradła i upadł na twarz.

Kopnąłem go w głowę, co nie uczyniło mu zbyt wielkiej szkody, jako że byłem boso, jednak oszołomiło go na chwilę, a zanim stanął na nogi, trzymałem już smith & wessona.

- Na Boga, dopadnę cię, Wyatt! - wycharczał.

Ruszył do przodu, a ja strzeliłem w płatek jego lewego ucha. Krzyknął jak kobieta i chwycił się za nie. Przez chwilę patrzył na mnie z przerażeniem, a potem gwałtownie otworzyły się drzwi i stanął w nich Legrande. Sekundę później ktoś go odepchnął i do pokoju wpadł Burke z browniegiem w dłoni.

Błyskawicznie stanął między nami.

- Na miłość boską, co tu się dzieje? - zapytał.

**- Lepiej zabierz stąd tego swojego cholernego kochasia, jeśli chcesz go zachować w jednym kawałku - od-
110**

powiedziałem. - Tym razem tylko go zaciąłem, ale byłbym szczęśliwy, dzieląc go na dwoje.

Jakieś dziewięćdziesiąt procent mojej wściekłości było udawane i pozwoliłem sobie nawet na to, żeby pistolet lekko drżał w mojej dłoni, na Burke'u wywarło to jednak spore wrażenie. Zacisnął szczęki, coś błysnęło w jego oczach i przez chwilę wyglądała z nich nienawiść. Myślę, że to właśnie wtedy, dokładnie w tym momencie, uświadomiłem sobie, że z nami koniec. Że to, co kiedykolwiek między nami było, obróciło się w proch i pył.

Opuścił broń, odwrócił się i wziął Pięta pod ramię.

- Chyba lepiej będzie, jeśli pozwolisz mi to obejrzeć.

Wyszli bez słowa, a Legrande powiedział powoli:

- Słuchaj, Stacey, może powinniśmy pogadać...

Nigdy nie widziałem go tak zakłopotanego.

- Spadaj stąd - warknąłem. - Rzygać mi się chce na was wszystkich.

Wypchnąłem go na korytarz i zatrzasnąłem drzwi.

Trudno mi było powstrzymać się od śmiechu. A więc teraz według nich to ja jestem szaleńcem? To dopiero mają kłopot.

Dopiero później, kiedy siedziałem sam w ciszy, stwierdziłem, że moja ręka nadal drży. Rzuciłem smith & wessona na łóżko i ubrałem się.

Nie oddałem kluczyków od fiata, a kiedy zszedłem na dziedziniec, samochód wciąż tam był. Gdy wsiadałem za kierownicę, pojawił się Legrande i otworzył drugie drzwiczki.

- Muszę z tobą porozmawiać, Stacey. Ale nie wiem, jak zacząć.

Pokręciłem głową.

- Tam, gdzie jadę, nie będziesz mile widziany.
- Pojedźmy więc tylko do granicy wsi. Jest tam mała kafejka. Moglibyśmy czegoś się napić.
- Jak sobie życzysz, ale nie mogę poświęcić ci zbyt wiele czasu.

Kiedy wgramolił się do środka, ruszyłem. Zapalił gau-loise'a i rozparł się w siedzeniu z wyrazem przygnębienia na swojej twardej, chłopskiej twarzy. Najbardziej przypominał Baska, i nie dziwota, bo pochodził z wioski przy granicy Andory.

Był człowiekiem zamkniętym w sobie i jednym z najbardziej skutecznych zawodowych morderców, jakich w życiu znałem, ale chyba nie miał mordy we krwi. Z natury nie był okrutny - widziałem, jak przez dwadzieścia mil najgorszego terenu w Kongu niósł dziecko, które umarłoby, gdyby je zostawiono same. Był po prostu produktem swoich czasów. W czasie wojny należał do Resistance i właśnie wtedy po raz pierwszy zabił człowieka jako czternastolatek. Później przeszedł lata krwawego konfliktu w Indochinach, upokorzenia Dien Bien Phu oraz wietnamski obóz jeniecki.

Mężczyźni tacy jak on po walce zawsze przysięgali, że już nigdy nie będą walczyć. Czytali Mao Tse-tunga, a potem jechali do Algierii, by walczyć przeciwko temu samemu wrogowi bez twarzy - tylko po to, by na koniec doświadczyć jeszcze większego poniżenia. W końcu Le-grande został odsunięty od

czynnej służby w OAS i uciekł do Konga przed kolejną porażką.

Zastanawiałem się, po co ten człowiek żyje. Teraz, w tej małej kafejce, w świetle świec, wyglądał na zmęczonego starca, który zrobił już wszystko, co miał do zrobienia.

Przełknął brandy, którą zamówił, i poprosił o następną.

112

- O co chodzi między tobą a pułkownikiem, Sta-cey?

- zapytał.

- Ty mi to powiedz. Pokręcił głową.

- On się bardzo zmienił w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Bóg wie dlaczego, ale najwyraźniej coś go gryzie.

- Ja nie mogę ci pomóc - stwierdziłem. - Wiem równie mało co ty. Może Pięt ci coś powie. Chyba są blisko ze sobą.

Najwyraźniej zaskoczyłem go tą informacją.

- To trwa od lat, jeszcze od Kasai. Myślałem, że wiesz. Uśmiechnąłem się i dodałem:

- Do niedawna wierzyłem tylko w bohaterów książkowych. Jak długo on pije?

- Od paru miesięcy, odkąd się tak zmienił. I pije tylko sam. Nie podoba mi się to. Myślisz, że poradzi sobie z tą akcją?

- Nie dowiemy się tego, dopóki nie będzie po wszystkim. - Dopilem swoją brandy i wstałem. - Muszę już iść, Jules. Wrócisz sam bez problemu?

Skinął głową i spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

- Może on jest podobny do mnie, Stacey, może po prostu żyje zbyt długo. Czasami czuję się, jakbym nie miał prawa wcale tu być, rozumiesz? Jeśli myślisz w ten sposób, tracisz poczucie rzeczywistości. Jego słowa dźwięczały mi w uszach, gdy wsiadałem do fiata i odjeżdżałem.

Kiedy czekałem na dziadka, zagrałem jakiś kawałek Debussy'ego i pierwszą z trzech części Sonatiny Ravela. Potem zabrałem się do Bachowskiego Preludium i Fugi

113

Es moll. Piękny, lodowaty kawałek, który brzmiał wspaniale, nawet jeśli moja technika straciła na jakości przez minione lata.

Gdy skończyłem, dziadka nadal nie było. Wstałem i ku swemu zdumieniu znalazłem go na tarasie. Przed nim stała butelka i dwa kieliszki.

- Nie chciałem ci przeszkadzać - powiedział. - Słuchałem sobie stąd twojego grania. Brzmiało wspaniale.

- Bo z daleka - mruknąłem.

Uśmiechnął się i napełnił dla mnie kieliszek. Była to marsala, bardzo dobra marsala. Nie ta moja ulubiona, ale to nie miało aż takiego znaczenia, tym bardziej, że nagle pojawiła się między nami jakaś intymność. Coś bardzo prawdziwego, coś, czego nie chciałem stracić.

- Jak ci poszło w górach? - zapytał.

- Marco nie złożył ci raportu? Czyżby jeszcze nie wrócił?

Okazał delikatne niedowierzenie, które nie zrobiło na mnie najmniejszego wrażenia.

- Marco przez cały dzień był w Palermo, jak zresztą w każdy piątek - odparł. - Dla nas to najważniejszy dzień tygodnia. Sprawdzamy wpływy, jeździmy do banku. Wiesz, jak to jest w interesach.

Uśmiechnąłem się.

- W porządku, niech ci będzie. Widziałem się z Cerdą, który powiedział mi, gdzie jego zdaniem można znaleźć Serafina. Jednak złapanie go to odrębna kwestia, bo przy każdej turni czuwają jego ludzie.

- Czy mogę zapytać, jak to zamierzasz zrobić?

Kiedy mu powiedziałem, zmarszczył brwi.

- Robiłeś już wcześniej coś takiego?

- Pewnie, jestem przecież komandosem.

114

- Ale skok w ciemnościach w takim terenie to chyba coś bardziej niebezpiecznego niż zwykle ćwiczenia.

- Być może, jest jednak do zrobienia.

- Dlaczego, Stacey? Dlaczego chcesz robić te wszystkie rzeczy? Dlaczego tak żyjesz?

- Jak zwykle chodzi o pieniądze. Potrząsnął głową.

- Mówiliśmy już o tym. Chodzi nie tylko o pieniądze. Nie, kiedy na ciebie patrzę, widzę siebie czterdzieści lat temu. Jesteś mafioso do szpiku kości.

- Po prostu lubię w to grać - odparłem. - To dzika, krwawa gra, ale tylko to mi zostało. To i Burke.

Wstałem i podszedłem do skraju tarasu, a on zapytał cicho:

- Nie lubisz go?

- To bardziej skomplikowane - odparłem. -

Zawdzięczam mu wszystko, do czego doszedłem.

Ludzie wciąż mi to powtarzają, ale ja już jestem zmęczony słuchaniem tego. - Odwróciłem się do

dziadka. - Nauczył mnie, że jeśli chcę kogoś zabić, powinienem to zrobić od tyłu, nie od przodu,

powiedział, że to żadna różnica. Ale on się myli. -

Bardzo chciałem, żeby dziadek zrozumiał, o co mi chodzi, bardziej niż kiedykolwiek. - Bez zasad nic nie ma sensu. Jeśli zachowujesz zasady, wciąż jest się czego trzymać - dodałem.

Skinął głową z lekkim uśmiechem.

- To właśnie wyniosłeś z tej swojej Dziury, Stacey?

- Chyba tak.

- Więc było warto. - Wyjął cygaro. - A teraz wróć do fortepianu i zagraj mi jeszcze raz ulubiony kawałek twojej matki.

Gdy to zrobiłem, nagle poczułem jej obecność, jakby nadal żyła. W tej muzyce był cały smutek życia i całe

115

jego piękno, złapane w jeden moment, który zdawał się trwać wiecznie.

Kiedy wróciłem, Hoffer już był w domu i w holu odbywało się coś na kształt narady wojennej. Burke wyglądał zupełnie inaczej. Ogolił się i włożył koszulę khaki z epoletami, która sprawiała, że wyglądał jak żołnierz.

Ale był też w nim teraz jakiś animusz, autorytet, którego wcześniej nie widziałem. Kiedy wszedłem, spojrzał znad mapy i powiedział:

- O, jesteś, Stacey. Właśnie omawiałem sprawy z panem Hofferem.

Legrande stał w tyle, Pięt obok niego. Jego prawe ucho zasłaniał plaster. Nawet nie spojrzał na mnie, kiedy podszedłem do stołu.

- To doskonały pomysł - stwierdził Hoffer, zacierając ręce. - Pułkownik Burke powiedział, że właśnie pan na to wpadł.

Burke powiedział płaskim, bezbarwnym głosem:

- Problemem jest dopaść Serafina, zanim zda sobie sprawę, że jesteśmy w pobliżu. Jego obóz, jak wiemy, znajduje się na wysokości czterech tysięcy pięciuset stóp na wschodnim zboczu góry. Pomyśleliśmy, że najlepiej dokonać zrzutu nocą na płaskowyżu jakieś tysiąc stóp poniżej wierzchołka na zachodnim zboczu.

- A potem przejdziecie na drugą stronę i złapiecie go z opuszczonymi spodniami?

Burke skinął głową.

- Powinniśmy przejść szczyt przed świtem. Po drugiej stronie, jakieś tysiąc stóp niżej, jest pas lasu. Dęby, brzozy, sosny. Jeśli tam dotrzemy, będziemy dobrze kryci.

116

Hoffer wydawał się bardzo podniecony. Przez chwilę wpatrywał się w mapę, a potem powiedział:

- Wiecie co? Po raz pierwszy wierzę, że jest szansa. Wypijmy za to.

- Innym razem, jeśli pan pozwoli - odparłem. - Chciałbym wcześniej pójść spać. To był długi dzień. Wyglądało na to, że moja wymówka go zadowoliła, a że nikt inny nie nalegał, bym pozostał, poszedłem do swojego pokoju. Położyłem się, jednak z powodu duchoty nie mogłem zasnąć. Otworzyłem okno, ale po chwili zaczęło padać. Wtedy przyszła Rosa. Zdjęła kimono, które miała na sobie.

- Zobacz, nie ma garnituru - powiedziała. Kiedy znalazła się obok mnie, poczułem, że cała drży, ale nie wiedziałem, czy z pożądania, czy z zimna. Niezależnie od tego, czy była tu z własnej woli, czy z woli Hoffera, nie miało to znaczenia. Miło było leżeć w ciemności, trzymając ją w ramionach i słuchając deszczu.

10

Jak dowiedziałem się później, Burke nie poszedł spać tego wieczoru, ale poleciał cessań na Kretę, żeby zabrać parę rzeczy, których mogliśmy potrzebować, i wrócił tuż przez jedenastą w sobotnie przedpołudnie.

Niedziela, jako tradycyjny dzień odpoczynku, wydawała się najbardziej odpowiednią chwilą, by przyłapać Serafina na drzemce. Musieliśmy więc wyruszyć tej nocy. Księżyc był prawie w pełni, co niezbyt podobało się Burke'owi. Nie mógł się jednak doczekać wyjazdu i wciąż o tym gadał, biegając dookoła i wszystko sprawdzając.

Skorzystalismy z malego prywatnego pasa startowego nieopodal willi. Tak naprawde bylo to pastwisko, a hangar postawiony obok niego ledwie miecil cessa.

Nasz samolot, model 401, mial osiem foteli, ktore usunelismy przed startem. Umieszczony centralnie w kadlubie luk pozwalal nam na wygodne wyjscie w powietrzu, a tego bardzo potrzebowalismy, jezeli wszyscy czterej mielismy wyskoczyc nocą w zwartej grupie.

Pilot, niejaki Nino Yerda, byly wloski komandos, mial mniej wiecej trzydziesti lat i wedle slow Hoffera byl

118

najlepszy, jakiego mozna kupic. Musial byc. Zeby latac w takim terenie w ciemnosci, nad gora o wysokosci szesc tysiecy stop i umozliwic nam skok nad rownina z osmiuset stop, trzeba bylo byc naprawde najlepszym.

Mielismy spadochrony typu X, takie same, jakich uzywali Brytyjczycy, zanim przeszli na natowskie. Burke preferowal typ X, ktory pozwalal spadać szybciej i ladowac z wieksza precyzja. Zapasowe czasy byly takie same, jakich uzywalismy w Kongu. Nasza broń nie miecila sie w zadnych standardach, ale byla sprawdzona w walce, jedynym rzetelnym tescie. Mielismy chińskie karabinki szturmowe AK, w owym czasie prawdopodobnie najbardziej niezawodne karabiny bojowe na swiecie, oraz uzi,

nowe izraelskie pistolety maszynowe, pod każdym względem lepsze od sterlingów.

Poza tym każdy z nas miał po dwa granaty, nóż, i tak dalej - lista zdawała się nie mieć końca. Burke dokonał inspekcji ekwipunku - każdy z nas wyłożył przed nim swój kombinezon i wszystkie elementy wyposażenia.

Potem tyle razy sprawdzał całą operację z mapą i stoperem, że zanim nastał wieczór, nawet Pięt Jaeger wyglądał, jakby miał dość. W naszych wzajemnych stosunkach nie zaszła chyba żadna zmiana, stały się jedynie nieco bardziej oficjalne, jednak można to było złożyć na wymogi sytuacji.

Przy kolacji Hoffer był uosobieniem gościnności.

Wszystko na stole było przedniego gatunku, niestety Burke znowu się nie popisał, jeśli chodzi o alkohol.

Ale jedzenie było znakomite. O dziwo, miałem niezgorszy apetyt, a Rosa, ubrana w swoją najlepszą kreację, wyglądała olśniewająco.

Potem Burke jeszcze raz omówił z nami szczegóły , planu, łącznie z zejściem z góry, co miało potrwać jakieś

osiem, dziewięć godzin. Musieliśmy dostać się do drogi

119

prowadzącej do Bellony, gdzie miał na nas czekać Hoffer • j z transportem.

Kiedy Burke skończył, Hoffer uroczyście uściskał nam J wszystkim dłonie i wygłosił małą mowę o tym, jak bardzo docenia to, co robimy, i jak gorącą

ma nadzieję, że jego pasierbica będzie znowu z nim, jeśli Bóg da. Moim zdaniem wybiegał za daleko w przyszłość.

Później, kiedy przebierałem się w swoim pokoju, poją- l wiła się Rosa. Zasuwała zamek mojego kombinezonu f i pocałowała mnie w policzek.

- To od ciebie czy od Hofferera? - zapytałem.

- Ode mnie. - Dotknęła lekko mojej twarzy. -

Wracaj cało i zdrowo.

W drzwiach przystanąła na chwilę i spojrzała na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Najwyraźniej chciała coś powiedzieć, chciała jak wszyscy diabli, ale bardzo się bała.

Potrząsnąłem głową i powiedziałem:

- Nie mów tego, Rosa, nie mów, jeśli rzeczywiście się go boisz.

- Boję się - odparła z pobladłą twarzą. - On potrafi być okrutny, tak strasznie okrutny, Stacey. Nawet nie masz pojęcia.

- Opowiesz mi o tym, jak wrócę, kiedy to już nie będzie miało znaczenia. - Otworzyłem drzwi i pocałowałem ją tak, jak należy całować kobietę, przyciskając ją mocno do siebie. - Przeszedłem już przez wszystko, Roso, także przez takich Hofferów. Kiedy odeszła, przytroczyłem kaburę ze smith & wes-sonem i włożyłem beret. Mężczyzna, który spojrzał na mnie w lustrze, był kimś obcym, kimś sprzed Dziury. Co on tu robi? - zastanawiałem się przez chwilę, ale ponieważ czas był niezbyt

odpowiedni na zadawanie takich pytań, wyszedłem i dołączyłem do pozostałych.

Średnia prędkość cessny 401 to dwieście sześćdziesiąt jeden mil na godzinę, co oznaczało, że powinniśmy znaleźć się nad celem w ciągu dwudziestu minut.

Odłożyliśmy start o godzinę, ponieważ noc wciąż była zbyt jasna zdaniem Burke'a, kiedy jednak do pierwszej nie pojawiło się zachmurzenie, obiecwane w prognozach meteorologicznych, niechętnie dał sygnał do startu.

Yerda zapisał w dzienniku lot do Geli z międzylądowaniem w Punta Raisi - na wypadek, gdyby nam zadawano jakieś pytania. Niewielkie odchylenie od kursu pozwoli mu trafić w rejon zrzutu i w ciągu paru minut będzie mógł wrócić na wyznaczoną trasę.

Łącznie z treningiem, który Burke zrobił nam w Kongu, skakałem dziewięć razy, więc teraz miał być dziesiąty raz - ładna, okrągła liczba. Ale to doświadczenie nigdy jakoś szczególnie mnie nie radowało. Spadochroniarz to niezdarne stworzenie, spętane jakimiś wymaganiami. Spadochron typu X ważył dwadzieścia osiem funtów, a spadochron rezerwowo około dwudziestu czterech. Niezły ciężar na początek. Jeśli dodać do tego torbę z zaopatrzeniem ważącą jakieś sto funtów, nie dziwota, że jedynym możliwym ruchem był ruch w dół.

Nawet po usunięciu siedzeń dla pasażerów we wnętrzu samolotu było tak ciasno, że ledwie

mogliśmy się poruszać z całym tym ekwipunkiem. Burke zamontował linę własnego pomysłu i razem z Yerdą usunęli luk, który był potrzebny, dopóki nikt z tego samolotu nie skakał.

Wiele myśli przebiegało przez moją głowę, kiedy kucąłem na podłodze w kolejce, podczas gdy cessna gładko wznosiła się w powietrze. Teraz śmierć rozdawała karty, wstąpiliśmy na drogę bez powrotu. A ja wciąż nie byłem niczego pewien - niczego poza tym, że każdy w zasięgu wzroku zdawał się mnie okłamywać, z Rosą włącznie.

120

121

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu bardzo mnie to bolało i kiedy przeanalizowałem swoje uczucia, zdałem sobie sprawę, że ją polubiłem. Naprawdę ją polubiłem. Miała charakter i swoje własne pojęcie prawości i byłem niemal pewien, że przysłała pożegnać się ze mną dlatego, że sama chciała, a nie dlatego, że kazał jej to zrobić Hoffer czy ktokolwiek inny.

Lecieliśmy na wysokości ośmiu tysięcy stóp, pod nami rozpościerał się imponujący widok. Łańcuchy gór, szczyty i urwiska, białe w świetle księżyca, doliny zawieszane pomiędzy ciemnością i cieniem. Podróż minęła bez żadnych niespodzianek i była tak krótka, że kiedy czerwone światło zamontowane przez Yerdę błysnęło szybko kilka razy, byliśmy mocno zaskoczeni. Gdy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem postrzępiony szczyt Monte Cammarata,

potem zachodni stok i wreszcie, kiedy zeszliśmy w dół, ciemną, lekko spadziłą polaną, która była strefą zrzutu, a obok niej wodospad -jasny błysk w świetle księżyca.

Yerda zawrócił na wiatr i skręcił, zbliżając się tak bardzo do skalistej przepaści, wznoszącej się ponad polaną, że serce podjechało mi do gardła. Przez chwilę nie wiedzieliśmy, co się dzieje, a potem pilot ustawił maszynę do zrzutu.

Gdy zatoczył kolejny krąg, Burke wstał i przyczepił się do liny. Pięt podążył za nim, potem Legrande i na końcu ja. W żołądku miałem dziurę, w ustach suchość. Ruszyłem za nimi, dręczony koszmarem niepewności.

Czerwone światło znowu mignęło, potem jeszcze raz cessa wpadła w lekką turbulencję i Burke wyskoczył. Za nim Pięt i zaraz potem Legrande. I wtedy nadeszła moja kolej. Za otwartym lukiem wył wiatr. Pomyślałem, że tylko szaleniec ośmieliłby się wyjść na zewnątrz, i skoczyłem głową naprzód, koziółkując.

122

Puściłem torbę, którą ścisnąłem mocno w ramionach, i poleciała dwadzieścia stóp w dół - na długość liny przytroczonej do mojego pasa. Ja też leciałem w dół pod ciemnym parasolem khaki. Kiedy skaczesz z ośmiuset stóp, lecisz dokładnie trzydzieści sekund, zanim uderzysz o ziemię. Nie masz zbyt wiele czasu do namysłu. A gdy już znajdziesz się w powietrzu, niczego tak bardzo nie

potrzebujesz jak światła. Dostrzegłem krótkie mgnienie jednego spadochronu, a przy wodospadzie drugiego, który z daleka wyglądał jak blady puszek ostu, płynący w ciemności. Ja sam także tam zmierzałem.

W nocnym zrzucie problem polega na tym, że zazwyczaj nie widzisz ziemi, co owocuje wysokim odsetkiem złamanych kończyn w tego typu operacjach - ludzie, zaskoczeni zetknięciem z podłożem, lądują zbyt sztywno.

Torba, dyndająca gdzieś na końcu dwudziestostopowej liny, miała jedną zaletę. Jeśli człowiek nie spada zbyt gwałtownie, ona uderza o ziemię pierwsza i ostrzega, że trzeba się przygotować.

Tak właśnie było ze mną. Torba głucho uderzyła o ziemię, a ja poszedłem w jej ślady sekundę później. Przetoczyłem się kilka razy po sprężystej darni i zatrzymałem o milimetr od skalnego występu. Kiedy leżałem zwinięty w kłębek, ktoś podszedł i pochylił się nade mną. Dostrzegłem błysk stali i w moim ręku w mgnieniu oka pojawił się odbezpieczony smith & wesson.

- Chciałem tylko odciąć ci linę - mruknął Pięt Jaeger.

- Jesteś pewien, że nie celowałeś w moje gardło?

- Innym razem - powiedział. - Kiedy nie będziesz tak przydatny. Kiedy już nie będziemy cię potrzebować. Chyba mówił poważnie. Przeciął mi linę, uwalniając torbę. Wyplątałem się ze swojej upręży i pozbyłem

spadochronu. Tutaj, na dole, ciemność nie była tak nieprzenikniona, i zobaczyłem Burke'a i Legrande'a, zbliżających się ze spadochronami i torbami.

Francuz utykał, jednak okazało się, że to nic poważnego. Spadał tak szybko, że uderzył w ziemię przed swoim ekwipunkiem, kiedy nie był na to przygotowany. Był mocno potłuczony, ale zanim się rozpakowaliśmy, puścił to w niepamięć.

Torby zaopatrzeniowe zawierały podstawowe wyposażenie komandosa, żywność i wodę oraz broń i dodatkową amunicję. Po opróżnieniu powędrowały do pobliskiej szczeliny razem ze spadochronami.

Przycupnęliśmy pod osłoną skał i Burke puścił w obieg butelkę brandy. Upiłem duży łyk i poczułem, jak ciepło przepływa przez moje ciało. Znowu wiedziałem, że żyję, że stoję na stałym gruncie.

- Nie ma co zwlekać - powiedział Burke. - Ruszamy na górę. Musimy przejść wierzchołek i dotrzeć do lasu, póki jest ciemno.

Nie mieliśmy za dużo czasu, bo świt miał nastąpić dziesięć po czwartej. Wyruszyliśmy zwartą grupą. Objąłem prowadzenie, ponieważ - przynajmniej teoretycznie - wiedziałem o tym terenie więcej niż ktokolwiek inny. Ruszyłem ścieżką, która przechodziła skrajem wodospadu.

Noc była cudowna, księżyc stał prawie w pełni, tylko gdzieś widniała jakaś chmurka i wszędzie błyszczały gwiazdy. W oddali przemieszczały się

góry, turń za turnią, a daleko na wschodzie na ośnieżonym szczycie Etny migotał księżyc. Doliny były ciemne, ale cztery tysiące stóp niżej, mniej więcej kilka mil na prawo, w stronę Bellony, jaśniało pojedyncze światło. Może to Cerda siedzi w nocy i zastanawia się, jak sobie poradzimy. Byłem pewien, że mój dziadek zadbał o pełne poinformowanie go o sytuacji.

124

Dobry aktor z tego Cerdy, trzeba mu to przyznać. Nawet pistolet za jego plecami był elementem przedstawienia. Zachował się dokładnie tak, jak się po nim spodziewałem. Jego jedyny słaby punkt to fakt, iż nie wiedział, że w górach przebywa także Joanna Truscott. A człowiek, który wiedział wszystko o Serafinie, musiał wiedzieć też o niej. Niemniej jednak było to wspaniałe przedstawienie... i ten Marco, trzymający się na uboczu. W tej historii naprawdę nie można było nikomu ufać. Albo tak mi się wydawało.

Kiedy dotarliśmy do szczytu, było tuż po trzeciej. Wskoczyłem w dziurę między skałami i czekałem na pozostałych. Czułem zmęczenie, prawdopodobnie fizycznie nie byłem jeszcze gotów do takich akcji jak ta. Ale reszta wcale nie wyglądała lepiej, zwłaszcza Legrande. Burke również zdawał się mieć trudności z oddychaniem.

Znowu puścił w obieg brandy, prawdopodobnie jako wymówkę, jako pretekst do wypicia.

- Na razie wszystko idzie dobrze. Mamy jakąś godzinę, żeby zejść tysiąc stóp. Jeśli zdołamy to zrobić, chyba nam się uda - powiedział, po czym dodał, zwracając się do mnie: - Dalej, Stacey. A więc ciągle prowadzę, pomyślałem. Wstałem i wyszedłem spomiędzy skał. Pierwszy raz w życiu tak wyraźnie czułem obecność Burke'a za plecami. Wcale nie szło dobrze. Teren był trudny i zdradliwy, a że księżyc już prawie zachodził, światło po tej stronie stoku było bardzo słabe. Łupki pod stopami przy najmniejszym ruchu ześlizgiwały się jak po wodzie.

125

Po półgodzinie zatrzymałem się na małej równinie i czekałem na nich. Na wschodzie niebo już jaśniało leciutko i wiedziałem, że przy dotychczasowym tempie nie damy rady.

Jako pierwszy dotarł do mnie Pięt, będący chyba w najlepszej formie, a potem Legrande, który natychmiast padł na ziemię - moim zdaniem wyglądał na wykończonego. Burke dołączył jako ostatni i znowu zauważyłem, że z jego oddechem jest coś nie w porządku.

- Po co się zatrzymaliśmy? - zapytał. Wzruszyłem ramionami.

- Pomyślałem, że możemy zrobić chwilę odpoczynku.

- Do diabła z tym. W ten sposób nigdy nie dotrzemy do celu.

- Dobra, ty tu jesteś szefem - odparłem.

Znowu ruszyłem w dół, narzucając niezłe tempo. Parę razy podniosłem sobie średnią prędkość, zsuwając się po stoku na kawałku łupku, a w jednym miejscu pokonałem w ten sposób nawet sto stóp. Ale i to niewiele zmieniło. Wciąż byliśmy trzysta stóp od pierwszych drzew, a niebo już szarzało.

Nigdy w życiu nie czułem się tak bezbronny jak wtedy, gdy prowadziłem ich w dół po tym ostatnim kawałku łysego zbocza. Była dokładnie za dwadzieścia piąta, kiedy dotarliśmy do skraju lasu.

11

Kiedy szarość poranka rozpełzała się wśród drzew, przykucnęliśmy w kręgu i zjedliśmy coś. Burke wyglądał niezłe i oddychał normalnie, ale na twarzy Legrande'a pogłębiły się zmarszczki i wyglądał na swój wiek albo nawet na więcej - był za stary na takie brykanie.

Także Pięt wyglądał na zmęczonego i zmarzniętego, kucając tam w kłębach mgły zwijającej się nad wilgotnym gruntem. Ciężka brygada - tak zawsze nazywaliśmy jego i Legrande'a. Bywały sytuacje, kiedy widok ich dwóch, zbliżających się ramię w ramię z siłą rozpędzonego pociągu, wystarczał, by się poderwać. Teraz jednak już nie. Czasy się zmieniły i ludzie też się zmienili - takie było życie, zawsze wszystko się zmieniało.

Drzałem lekko. Nie lubiłem takich szarych świtów. Przypominały mi zbyt wiele innych podobnych poranków i wielu wspaniałych ludzi, którzy odeszli. Zapaliłem papierosa, który smakował obrzydliwie,

ale wytrzymałem. Burke przysunął się do mnie i rozłożył swój egzemplarz mapy.

- Musimy być jakieś pięćset stóp powyżej tej chaty, w której on podobno mieszka. Można by zrobić szybkie
127

rozpoznanie. My tu zaczekamy. Daję ci trzy kwadransy. - Po chwili dodał ściszym głosem: - Myślę, że Legrande powinien trochę odpocząć. Wygląda na wykończonego.

- Chyba masz rację. - Wstałem. - Zobaczymy się później.

Ruszyłem w dół przez las. Na bardziej skalistym podłożu rosły dęby korkowe i ostrolistne, ale potem wszedłem w pasmo buków i sosen, gdzie trochę łatwiej było iść.

Z kryjówki wyskoczył lis i przestraszył mnie tak bardzo, że omal do niego nie strzeliłem, co byłoby fatalne dla nas wszystkich. Góry wokół Serafina i jego chłopaków były pełne żbików, kun i wilków, ale wszystkie dzikie zwierzęta, kiedy zwietryły człowieka, uciekały zwykle w drugą stronę.

Już wcześniej miałem niezłe tempo, a teraz zacząłem biec, z karabinem w opuszczonej ręce, czasem zsuwając się na tyłku ze stoku. W ciągu piętnastu minut zszedłem dobre trzysta stóp.

Po mojej prawej stronie płynął potok. Podeszedłem do niego, położyłem się na brzuchu i spryskałem wodą twarz. Łóżysko potoku mogło być dobrą drogą, bo jeśli w pobliżu znajdowała się jakaś chata,

musiała stać jak najbliżej wody, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, co w tym kraju dzieje się latem.

Nagle usłyszałem jakiś głos, coś w rodzaju stłumionego westchnienia. Zatrzymałem się i padłem na jedno kolano. Nastąpiła cisza, przerwana po chwili przez gwałtowny chlupot i krótki krzyk.

Widziałem Joannę Truscott dwa razy w życiu, za każdym razem tylko na zdjęciach, które pokazał nam Hoffer. Jedno zrobiono na garden party w Buckingham Pałace, na drugim była ubrana w kombinezon narciarski. Trudno

128

mi było przyjąć, że dziewczyna, którą teraz obserwowałem z krzaków, brodząca nago między drzewami, gdzie strumień utworzył mały basenik, jest tą samą osobą.

Włosy miała związane z tyłu, a jej twarz, szyja i ramiona zbrązowiały od słońca. Reszta była mlecznobiała i chłopięca, biustu w zasadzie nie można było stwierdzić, za to biodra bez wątpienia należały do kobiety.

Wyszła z wody i owinęła się kocem. Nawet nie odwróciłem wzroku. Po pierwsze nie wiedziała, że tam jestem, a po drugie było w niej coś raczej bezpłciowego. Niektóre kobiety w jednej chwili potrafią rozpalić w mężczyźnie dziki ogień, a inne, choćby nie wiadomo co, nie wywierają żadnego wrażenia.

Wciągnęła stare spodnie, które już dawno miały za sobą swoje najlepsze dni, męską koszulę i zielony

welniany sweter z dziurami na łokciach, a potem zawiązała na głowie czerwoną chustkę.

Kiedy usiadła, by włożyć hiszpańskie filcowe buty, wyszedłem z drzew i powiedziałem:

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odpowiedziała spokojnie i wstała!

Nie da się ukryć, była twardzielką.

- Nie ma powodu do niepokoju - oświadczyłem raczej bez potrzeby. - Nazywam się Wyatt, Stacey Wyatt. Przyszedłem od pani ojczyma, Karla Hoffera. W górze czeka na mnie trzech przyjaciół.

Przyszliśmy, żeby panią zabrać.

Boże, jakież byłem głupi. Przecież była tu sama, nikt jej nie pilnował, najwyraźniej mogła chodzić, gdzie chciała. Do dziś nie mam pojęcia, dlaczego od razu mnie to nie uderzyło, chociaż wiele razy się nad tym zastanawiałem. Ale to była trudna noc, może byłem zmęczony.

- Co powinnam zrobić? Ucieszyć się? - zapytała chłodno modulowanym głosem angielskiej arystokratki. -

129

Co on kazał panu ze mną zrobić? Ma pan użyć pistoletu, noża czy jakiegoś tępego narzędzia?

Patrzyłem na nią w zdumieniu i coś mi nagle zaczęło świtać w głowie. Odwróciła się na chwilę, a kiedy znowu stała twarzą do mnie, w prawej dłoni trzymała starą automatyczną berettę i wyglądała, jakby dokładnie wiedziała, jak się z nią obchodzić.

- Może byś się bardziej zagłębiła w szczegóły - powiedziałem. - Obawiam się, że nie nadążam.
- Czemu nie sięgniesz po swój arsenał? - zapytała szorstko.

Wciąż trzymałem w ręku AK. Rzuciłem je na ziemię, a obok niego uzi.

Nie była pod wrażeniem.

- A co masz w kaburze? - zapytała.

Wyjąłem smith & wessona, położyłem go na ziemi, po czym odstąpiłem trzy kroki, przykucnąłem pod dębem i wyjąłem papierosy.

- Chcesz jednego? Pokręciła głową.
- Chcę dożyć podeszłego wieku.
- Skoro uważasz, że warto... - Zapaliłem sobie. - Ale teraz zamierzam z tobą pogadać i chcę, żebyś mnie posłuchała. Potem możesz mnie zastrzelić... jeśli nadal będziesz chciała.
- Zobaczymy - odparła spokojnie. - Tylko się pośpiesz. Nie jadłam jeszcze śniadania.

No więc opowiedziałem jej wszystko w kilku zwięzłych zdaniach, ale kiedy skończyłem, nic to nie zmieniło.

- Pozwól, że podsumuję - oświadczyła. - Mój ojczym powiedział ci, że zostałam uprowadzona przez Serafina

130

Lentiniego, który przetrzymuje mnie dla okupu.

Okup został zapłacony, jednak Serafino postanowił zabawić się ze mną i zatrzymał pieniądze.

- Tak to mniej więcej wygląda.

- **Kłamstwo, panie Wyatt, od początku do końca.**
- **Tak myślałem.**

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

- **Nie rozumiem...**
- **Przypadkowo dowiedziałem się, że w wyniku ran odniesionych w czasie śledztwa policyjnego parę lat temu Serafino Lentini nie jest fizycznie zdolny do zainteresowania się jakakolwiek kobietą.**

- Skoro to wiesz i skoro zdajesz sobie sprawę z tego, że mój ojczym kłamie, co tu robisz?

- **Zawsze byłem ciekawski - odparłem i uśmiechnąłem się szeroko. - Pieniądze płaci niezłe, a opowiadał o tobie tak ciekawie... Powiedz mi, naprawdę spałaś z szoferem, kiedy miałaś czternaście lat?**

Jej oczy otworzyły się szeroko, a na policzkach pojawił się rumieniec.

- **Przepraszam - wymamrotałem. - Ten człowiek ma chyba wyjątkowy talent do zmyślania.**

- Chcesz faktów? Podam ci je - odparła. Nie mierzyła już do mnie z beretty, ale wyglądała na wściekłą. - Jak to mówią w ubezpieczeniach na życie, jestem więcej warta martwa niż żywa. Matka zostawiła mi wszystko, a wykonawcą testamentu ustanowiła ojczyma. To był błąd z jej strony. Za trzy tygodnie kończę dwadzieścia jeden lat i przejmuję cały majątek mojej matki. Jeśli umrę wcześniej, dostanie go Hoffer. Dwa i pół miliona dolarów. W tym kontekście nasze honorarium wyglądało bardzo mizernie.

**- Nie skłamał tylko w jednym punkcie-
kontynuowała**

131

Joanna Truscott. - Rzeczywiście dał Serafinowi Lenti-niemu dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, ale z innych powodów. Miałam wpaść w zasadzkę, kiedy pewnego wieczoru wracałam sama z wizyty u przyjaciół w Yillal-bie. Miałam być obrabowana i zastrzelona przy samochodzie, gdzie bez trudu by mnie znaleziono i zidentyfikowano jako kolejną ofiarę bandyckiego napadu.

- Ale Serafino nie dotrzymał umowy?

- Na początku miał taki zamiar. Kiedy stał obok mojego samochodu tamtego wieczoru, po tym jak on i jego ludzie mnie zatrzymali, myślałam, że nadeszła moja ostatnia godzina. Chyba nigdy nie byłam tak bliska śmierci.

- Czemu więc zmienił zamiar?

- Powiedział mi, że dlatego, bo lubi na mnie patrzeć. Że przypominam mu jego młodszą siostrę, która rok temu zmarła w położu. Ale myślę, że chyba nie podobał mu się mój ojczym. Robili wcześniej jakieś interesy, chociaż nigdy mi o nich nie mówił.

- Więc dlaczego w takim razie Serafino robił te interesy?

- Chciał pieniędzy, wielkich pieniędzy. Interesuje go tylko jedno: emigracja do Ameryki Południowej. Myślę, że żyję, ponieważ przyszło mu do głowy, że to będzie całkiem zabawne: wziąć od Hoffera pieniądze i nie wywiązać się ze swojej części umowy.

- Więc uciekł z tobą w góry?
- Od tego czasu cały czas jestem z nim.
- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że mógłby jeszcze raz zmienić zamiar?

Potrząsnęła głową.

- Nie, skądże. Kiedy powiedziałam mu, jak naprawdę wygląda sytuacja, wie aż za dobrze, co leży w jego interesie i jak powinien o niego zadbać.

132

- No tak... - mruknąłem - jeśli utrzymają cię przy życiu odpowiednio długo, dasz im wszystkie pieniądze świata.

- Dokładnie. Obiecałam, że pomogę im wyjechać do Ameryki Południowej z ćwiercią miliona dolarów do podziału na czterech.

Teraz wszystko było jasne. Jednak czy aby na pewno? Największa moja zagwozdzka została wyjaśniona, ale kilka rzeczy wciąż nie miało sensu za grosz.

Joannie Truscott również jedna z nich przyszła do głowy.

- Czegoś nie rozumiem - stwierdziła. - Co mieliście ze mną zrobić, gdyby udało wam się mnie złapać?

- Mielśmy zabrać cię do Hoffera. Spotka się z nami osobiście na drodze do Bellony.

- Nie spodziewał się, że wszystko wam powiem? Mielście nie zauważyć, że nie jestem ofiarą żądzy Serafina, tak jak twierdził?

To samo pytanie i mnie gnębiło od pewnego czasu, a jednak nie mogłem wymyślić żadnego możliwego

wyjaśnienia oprócz tego, które Joanna sama mi podsunęła chwilę później.

- To się nie trzyma kupy - oświadczyła. - Jedyne logiczne wyjaśnienie to takie, że przychodzicie, żeby wykończyć mnie, Serafina i jego ludzi. Potem mój ojczym idzie na policję, załamuje ręce, wciska im jakąś historyjkę o tym, jak to bał się o moje życie, ale nie śmiał prosić wcześniej o oficjalną pomoc, jednak teraz już musi. Policja podejmuje oficjalne poszukiwania i znajduje to, co z nas zostało.

- Nie dochodziliby, kto jest za to odpowiedzialny?

- W górach jest kilka takich grup, jak ta Serafina, i nie pałają do siebie zbyt gorącymi uczuciami. -

Wzruszyła

133

ramionami. - Rozsądek kazałby więc przyjąć, że to robota jednej z nich. Wy tłumaczenie bardzo wygodne dla mojego ojczyma... Jeśli się zastanowić, to jedyne sensowne wyjaśnienie.

Beretta w jej dłoni znowu powędrowała w górę.

Ostrzegły mnie jej oczy i ściągnięcie ust, zresztą przez cały czas miałem się na baczności.

Skoczyłem do przodu, podciąłem jej kolana i przewróciłem na plecy. Byłem na wierzchu, więc walka dobiegła końca, chociaż dziewczyna wierciła się trochę, dopóki nie zarzuciłem kolana na jej ramiona.

Odbezpieczyłem berette.

- Jeśli chcesz strzelić, musisz zacząć od tego.

Spróbuj jeszcze raz.

Rzuciłem jej broń na pierś, wstałem i odwróciłem się. Zapaliłem następnego papierosa. Kiedy znowu się odwróciłem, dziewczyna stała, patrząc na mnie z niedowierzaniem, a beretta zwisała luźno z jej ręki.

- To nadal nie ma sensu - wymamrotała.

Miała słuszość, sensu w tym nie było ani za grosz. Jedyne wyjaśnienie, jakie tu pasowało, to takie, że zostaliśmy wysłani, by ją zabić, a tak przecież nie było.

A może jednak...?

Nagle zrobiło mi się zimno i zaschło mi w gardle. Nie, to niemożliwe. Próbowałem odepchnąć od siebie tę myśl. Burke nigdy nie wziąłby w czymś takim udziału.

Tak czy owak, nie miałem możliwości dalej się nad tym zastanawiać, bo w tym momencie ktoś skoczył mi na plecy, zdusił mi gardło ramieniem i zemdlałem.

Ktoś kiedyś powiedział, że Bóg jednych stworzył wielkimi, a innych małymi, ale pułkownik Colt miał to wszyst-

134

ko wyrównać. Zawsze się do tego odwoływałem, ponieważ - podobnie jak większość niedużych ludzi - nigdy nie byłem zbyt dobry w walce wręcz.

Ramię wokół mojego gardła skutecznie i bez trudu odcięło mi dopływ powietrza. Krztusiłem się, w uszach mi szumiało. Gdzieś krzyknęła jakaś dziewczyna, a mój przeciwnik popełnił błąd i zmienił pozycję tak, że zdołałem wbić łokieć w jego krocze.

Trochę chybiłem i cios nie był zbyt silny, ale wystarczyło. Uwolniłem się, przeturlałem dwa razy po ziemi i oparłem o drzewo.

Nie na długo poprawiło to moją sytuację, bo nagle ktoś gwałtownie odchylił moją głowę, a w szyję wbiła mi się lufa karabinu.

12

Był to M-1 kalibru .30, półautomatyczny karabin, standardowe wyposażenie amerykańskiej piechoty w czasie II wojny światowej - co oznaczało, że broń, która miała wywalić we mnie dziurę, miała już swoje lata. Ale najwyraźniej była traktowana bardzo czule. Łożysko było wypolerowane, wszystkie części błyszcząły od smaru, a całość wyglądała zabójczo, podobnie jak mężczyzna, który ją trzymał. Serafino Lentini.

- Serafino, stój! - krzyknęła Joanna Truscott po włosku. - Nie możesz go zastrzelić, nie możesz!

Miał na sobie stary sztruksowy garnitur, na łydkach skórzane getry do kolan, a twarz pod płócienną czapką była zuchwale przystojna, mimo tygodniowego zarostu i brudnej ciemnej klapki na prawym oku. Zbir z szesnastego wieku. Niemal widziałem go w kubraku i pończochach. Całus dla kobiety, cios dla mężczyzny. Uśmiechnąłem się, przypominając sobie stary dowcip. Bardzo śmieszny, poza tym że akurat w tym przypadku każdy, kto zadarłby z tym człowiekiem, skończyłby z nożem we flakach.

Dwaj mężczyźni stojący za Serafinem byli dla mnie tylko niewyraźną plamą; jego twarz rozrosła się w moich

136

oczach do niebotycznych rozmiarów. Uśmiechnął się i odbezpieczył broń.

- Ostrożnie - powiedziałem. - Przeklęty człowiek, który przelewa swoją krew.

Stare sycylijskie przysłowie wywarło ten sam efekt co niezły cios w szczękę. Jego jedyne oko otworzyło się szeroko, a lufa M-1 opuściła moją szyję.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Wnukiem Barbaccii. Jesteśmy spokrewnieni przez rodzinę mojego dziadka.

- Matko Boska, przecież ja cię pamiętam jako chłopca... - Bezpiecznik znowu kliknął, i ten odgłos podziałał jak balsam na moją duszę. - Kiedy miałem czternaście lat, mój ojciec poszedł do capo w interesach. Musiałem czekać przy bramie.

Widziałem, jak chodzisz po ogrodzie, bawiąc się z psem. Cały biały w czarne plamki, zapomniałem, jak się takie nazywają.

- Dalmatyńczyki - odparłem i po raz pierwszy od lat przypomniałem sobie mojego starego opiekuna.

Trudi...

- Amerykański wnuczek capo w swoich ślicznych ubrankach. Boże, jak ja cię wtedy nienawidziłem. Miałem ochotę wytarzać w błocie twój blond łeppek. - Wyciągnął z kieszeni skrawek cygara, zapalił go i przykucnął przede mną. - Słyszałem, że ty i twój

dziadek jesteście ze sobą tak nie za bardzo, odkąd załatwili twoją matkę. - Splunął. - Mafijne świnię. Ale podobno Barbaccia wyszedł z tego górą.

Chciałem go zapytać, co ma na myśli, jednak okazja nie wydawała mi się najlepsza. Lentini wyciągnął rękę i wskazał mój kombinezon.

- Co to wszystko znaczy? Kiedy zobaczyłem cię wśród drzew, pomyślałem, że znowu ściągnęli żołnierzy.

Teraz już widziałem wszystko wyraźnie, łącznie z dziewczyną i dwoma typami, którzy z zainteresowaniem oglądali moją broń. Oni też byli nieogoleni, a ich odzież również była w oplakanym stanie. Każdemu zwisała z ramienia dubeltówka. Usiadłem znużony.

- Nie chce tego powtarzać. Zapytaj ją.

Nie rozzłościł się, tylko po prostu odwrócił się i podszedł do Joanny Truscott. Odeszli na bok, rozmawiając ściszymi głosami, a ja wyjąłem papierosy. Kiedy zapaliłem, mężczyzna, który wodził spojrzeniem po lufie AK, przeniósł je na mnie i pstryknął palcami.

Rzuciłem mu papierosy. Obaj mężczyźni byli podobni do siebie.

- Jesteście pewnie braćmi Vivaldi - powiedziałem. Ten z karabinem skinął głową.

- Zgadza się. Ja jestem August, a to Piętro. Ale nie oczekuj od niego za dużo. - Postukał się w głowę. - On ma trudności z myśleniem i nie mówi.

Piętro otworzył usta, pokazując pół tuzina czarnych pieńków. Miał szeroki, szczery uśmiech półgłupa, który przypominał mi kota z Cheshire.

Prawdopodobnie ten sam uśmiech miał na twarzy, kiedy odstrzeliwał komuś głowę.

Pomyślałem sobie na pocieszenie, że równie dobrze mogła to być moja głowa, i wtedy wrócił Serafino. Z wyrazu jego twarzy odgadłem, że wszystko będzie dobrze.

- Co za ironia - mruknął. - Kiedy sobie przypomnę, jak często stary Barbaccia próbował mnie dopaść... Ale teraz już nie walczymy ze sobą.

Subtelna różnica, a jaka znacząca.

- Mogę dostać z powrotem swoją broń? - zapytałem.

- No nie wiem... nam też by się przydała. -

Najwyraźniej nie miał ochoty mi jej oddawać, ale w końcu zdecyd-

138

dował się na gest. - Oddaj mu rewolwer. I zatrzymaj resztę.

August wręczył mi smith & wessona, a ja wepchnąłem go do kabury. Czy oni wiedzieli, że z tej odległości mogłem każdemu z nich w ciągu sekundy wpakować kulę w łeb?

Schodziliśmy przez las jeden za drugim, Serafino i ja zamykaliśmy pochód. Okazało się, że wciąż ma dwadzieś-. cia pięć tysięcy Hoffera, schowane w starej puszcze na herbatniki gdzieś w pobliżu. To wszystko wydawało mu się bardzo zabawne i kiedy mi to opowiadał, śmiał się do rozpuku.

- No tak, swego czasu zabiłem paru ludzi. Takie jest życie - dodał i podrapał się po twarzy. - Pracowałem dla Hoffera kilka razy, kiedy miał problemy z budowniczymi na nowej drodze przez góry. Wziąłem swoich ludzi i zrzuciłem kilku związkowców w przepaść. Potem utrzymywał ze mną kontakt przez jednego z moich przyjaciół i nadał mi tę robotę z dziewczyną.

- Wiedziałeś, kim ona jest?

- Nie miałem pojęcia. Powiedział, że jest szantażystką, że może doprowadzić go do ruiny, jeśli nie zamknie jej ust. Nalegałem na zapłatę z góry, więc i tak dostałem gotówkę, a kiedy ją zobaczyłem, spodobała mi się. - Uśmiechnął się smutno. - Ale nie jestem nawet w połowie takim mężczyzną jak kiedyś, więc nie musiała się niczego bać.

- Tak, słyszałem o tym. Roześmiał się na całe gardło.

- Życie to kawał gówna, no nie? Spodobała mi się, bo tak jakoś trzymała głowę i stała wyprostowana, kiedy myślała, że ją zastrzele. Wyglądała jak rzymska księżniczka. Potem przyszło mi do głowy, że byłoby śmiesznie wyrolować Hoffera, bo miałem już pieniądze. Tak czy owak to zdrajca, poza tym nie lubię mafii. Znowu splunął, a ja potknąłem się tak mocno, że niemal straciłem równowagę. Chwyciłem go za ramię.

- Hoffer to mafia?

- Nie wiedziałeś? To jeden z tych amerykańskich chłopaczków, których jankesi ostatnio wydalili.

A mój dziadek nie powiedział mi o tym ani słowa.

- Dziewczyna wie?

- Nie do końca. - Potrząsnął głową. - Oczywiście zdaje sobie sprawę z tego, że to kawał świni, ale to dopiero jej druga wizyta na Sycylii. Dla niej mafia to dwa zdania w przewodniku, które mówią, że to taki romantyczny obyczaj.

To miało ręce i nogi. Co mogła wiedzieć, skoro większą część roku spędzała w jakiejś drogiej, pilnie strzeżonej szkole w Anglii, a resztę na towarzyskich wozach po Francji, Szwajcarii i innych podobnych miejscach. Mieliśmy więc ze sobą coś wspólnego.

- Więc Hoffer pracuje tu dla Stowarzyszenia?

- No wiesz... - Serafino wydawał się zaskoczony. - Znasz kodeks. Kiedy raz w to wejdiesz, nie masz odwrotu. On jest ostatni z półtuzina podobnych.

- A co się stało z pozostałymi?

- Dwóch wcisnęło gaz w swoich alfach i poszło prosto do piekła. Reszta utleniła się w jakiś tam sposób. Polowali na Barbaccię, ale popełnili błąd. Stary lis nie dał się złapać.

- Zamach na jego życie... - przypomniałem sobie. - Kto podłożył tę bombę, która zabiła moją matkę?

- A kto to wie? - Wzruszył ramionami. - To mógł być każdy z nich. Czy to ma jakieś znaczenie?

Barbaccia dopadnie ich wszystkich.

140

Skóra mi cierpła od tych okropności. Vito Barbaccia, Pan Życia i Śmierci. Wzdrygnąłem się i poszedłem

za Serafinem, który parł do przodu, pogwizdując wesoło.

Ich chata wyglądała, jakby stała tu od zarania dziejów. Zbudowano ją z otoczków różnej wielkości, dziury między nimi wypełniono wysuszonym błotem, a na dachu ułożono darń i gałęzie dębu.

W tym miejscu strumień zamieniał się w szemrzący potok, płynący szybko przez kilka głębokich oczek wodnych, i znikał pod kamieniami jakieś pięćdziesiąt jardów niżej.

Chata była wbudowana w urwisko nad strumieniem i wyglądała bardzo swojsko. Nieopodal pasło się kilka osłów, a trzy kozy i kilka kurczaków łąziło luzem, dziobiąc zawzięcie glebę.

Przy niewielkim ogniu siedział w kucki osiemnaste-, dziewiętnastoletni chłopiec, dokładając dREW pod garnkiem. Pewnie to Joe Ricco, o którym wspomniał Cerda, pomyślałem. Był podobny do całej reszty, tyle że młodszy i rudy. Ta sama szmaciana czapka, sztruksowy garnitur i skórzane getry, ta sama posepna, grubo ciosana sylwetka. Wstał i popatrzył na mnie z zadziwieniem. Bracia Vivaldi podeszli do niego i przykucnęli, by z brudnego, obtłuczonego emaliowanego garnka napić się czegoś, co zapachem przypominało nieco kawę.

Serafino i Joanna Truscott usiedli na pniu nad strumieniem. Przywódca bandytów wyciągnął kolejny kawałek cygara i zapalił, patrząc gdzieś przed siebie.

- To nie ma sensu - mruknął i pokręcił głową. - Dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, w co Hoffer gra.

- Może to wszystko jest prostsze, niż myślimy - po-
141

wiedziała Joanna. - Może przypuszczał, że za
pieniądze| zrobicie, co wam każe.

- Mogło tak być - przyznałem, ale nie zabrzmiało to
zbyt zabawnie, bo popchnęło mnie do rozmyślań,
których chciałem uniknąć. Jednak Serafino nie
popuścił tematu.

- Ufasz tym swoim przyjaciółom? Jesteś pewien, że
nie robią cię w bambuko?

Wcale nie byłem tego pewien, ale odparłem:

- Wszystko jest możliwe, choć nie sędzę. Jest tylko
jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

- Jaki?

- Pójdę i zobaczę się z nimi.

Skinął głową, zagryzając w zamyśleniu cygaro.

- Możesz im złożyć propozycję w moim imieniu, jeśli
chcesz - powiedziała Joanna Truscott. - Fajnie
byłoby znowu obrócić stolik. - Podniosła patyk i
złamała go. - Poślubił moją matkę dla pieniędzy,
wiesz o tym? Kiedy nie chciała mu już ich więcej
dawać, pozbył się jej.

- Jesteś tego pewna? Skinęła głową.

- Nie mogę jednak tego udowodnić. Myślał, że
dostanie wszystko, bo ona go kochała, kochała go
nieprzytomnie. Ale był w błędzie. Wszystko
zostawiła mnie i teraz Hoffer ma kłopoty, wielkie
kłopoty.

- Jakie?
- Potrzebuje dużych pieniędzy. I jest mocno przerażony. Więc jednak ma to związek z mafią, pomyślałem.
- Dobrze, czekajcie tu na mnie. - Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że minęła godzina, odkąd opuściłem Burke'a i pozostałych, co oznaczało, że ruszyli już w dalszą drogę. - Będę tu za jakieś pół godziny.

Przyszło mi do głowy, że mogliby mnie zatrzymać, ale nikt się nie ruszył. Kiedy doszedłem do drzew, odwróci-

142

łem się. Joanna Truscott zdjęła czerwoną chusteczkę i jej blond włosy zamigotały w pierwszych promieniach słońca, które przebiło się przez chmury. Wspinałem się po urwistym stoku, przedzierając się przez zarośla. Marsz był tak ciężki, że nie miałem szansy pomyśleć o czymkolwiek poza nim. Ale nie byłem szczęśliwy. Problem polegał na tym, że w głębi serca nigdy, ani przez chwilę nie wierzyłem w opowieść Hoffer'a. Pewne jej punkty były ewidentnie niemożliwe, a skoro ja to dostrzegałem, dlaczego Burke tego nie widział?

Jednak nie mogłem też uwierzyć w drugą możliwość. Kiedyś Burke robił wiele rzeczy, i to z moim udziałem. Zabijał bezlitośnie i bezwzględnie - ale jako żołnierz. Nie chciało mi się wierzyć, że mógłby się zgodzić na zamordowanie tej dziewczyny dla

pieniędzy. W każdym razie nie zrobi tego z moją pomocą.

Musiałem być głęboko zamyślony, bo w którymś momencie ze zdumieniem stwierdziłem, że jestem nad strumieniem, w miejscu gdzie wcześniej spotkałem Joannę Truscott. Zatrzymałem się, żeby złapać oddech, i usłyszałem, że za mną złamała się gałązka.

- Zostań tam - powiedział Pięt Jaeger, wychodząc spomiędzy drzew. Jego karabin był wymierzony w mój brzuch.

- Stacey, co się stało? Zaczynaliśmy się już martwić - usłyszałem.

Pojawił się Burke z Legrande'em, a Pięt Jaeger zajął stanowisko na skraju niewielkiego odkrytego terenu. Był dobrym żołnierzem, zawsze nim był, to trzeba mu przyznać.

143

- No, co się stało? - zapytał znowu Burke. - Coś ci się przydarzyło? - Nagle zmarszczył brwi. - Gdzie twój karabin?

- Zaopiekowano się nim - odparłem. - Spodobał się jednemu z chłopców Serafina.

Zachował niewzruszony spokój.

- Może lepiej to wyjaśnij.

Odszedłem na brzeg potoku, z dala od Jaegera i Legrande'a, i usiadłem na otoczaku. Burke zapalił papierosa i przykucnął przede mną, kładąc karabin na kolanach.

- Dobra, co się stało? Miałeś zrobić zwiad, a nie nawiązać kontakt.
- Znalazłem dziewczynę tutaj, była sama. Nikt jej nie pilnował, miała pełną swobodę ruchów. Kiedy powiedziałem jej, od kogo przychodzę, chciała mnie zabić.
- Co takiego? - Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.
- A jeśli chodzi o Serafina i jego chłopaków - kontynuowałem - to wcale nie pocą się po kolei nad jej pięknym białym ciałem, jak sugerował Hoffer. Pracują dla niej. A ona siedzi tutaj, żeby utrzymać się przy życiu, tak to wygląda. Zreferowałem mu dokładnie całą historię, powiedziałem nawet o podejrzeniach Joanny Truscott na temat śmierci jej matki, przez cały czas obserwując go uważnie. Kiedy skończyłem, wstał i zaczął bawić się garścią kamyczków, wpatrując się w wodę.
- To przynajmniej wyjaśnia parę rzeczy - mruknął. - Hoffer zamienił ze mną słowo przed naszym wyjazdem. Powiedział, że się martwi, bo dziewczyna ma coś w rodzaju zaburzeń psychicznych. Że była parę razy leczona, ale bez powodzenia. Wyjaśnił, że ma obsesję na punkcie seksu i że prawdopodobnie nieźle się tu bawi. Zakładał pewnie, że może zaprotestować, kiedy będziemy chcieli ją stąd zabrać. Mówił, że łatwo wpada w histerię i jest zdolna do rzucania najdzikszych

oskarżeń. - Odwrócił się. - Więc jesteś pewien, że ona nie jest... Pokręciłem głową.

- Rozmawiałem z Serafinem. Powiedział, że został wynajęty, żeby zabić dziewczynę, ale zmienił zamiar, bo chciał dokopać Hofferowi. Nie lubi go.

- Cholerny łajdak. - Burke ze złością wrzucił kamyczki do rzeki. - Ja też go nie lubię.

Największe moje zmartwienie właśnie zostało unicestwione. Poczułem, jak spływa ze mnie napięcie i rośnie szacunek dla Burke'a, połączony z poczuciem winy, iż w ogóle dopuściłem myśl, że byłby zdolny do czegoś takiego.

Burke znowu wyjął paczkę papierosów, ale okazała się pusta, więc wrzucił ją do strumienia.

Poczęstowałem go swoimi, a kiedy zapalał, zobaczyłem, że trzęsą mu się ręce. Wciąż wpatrywał się w wodę.

- Boże, ależ byłem głupi. Wiedziałem, że w tym wszystkim jest coś nie tak. Wiedziałem to od początku, a jednak pozwoliłem, żeby to wszystko się stało.

- Dlaczego, Sean? - zapytałem.

- Och, zaproponował duże pieniądze i była to jedyna oferta, którą miałem ochotę przyjąć. - Wzruszył ramionami. - Z wiekiem człowiek się zmienia, sam zobaczysz. Chwytasz złe okazje, patrzysz inaczej niż trzeba. bo lata jakoś tak nagle mijają i już.

Nagle zakrztusił się i zgiął się we dwoje, walcząc o oddech. Wyglądało to groźnie. Objąłem go, a on

oparł się ciężko na mnie, wypluwając chyba połowe swoich płuc.

Po chwili zdołał złapać powietrze i uśmiechnął się blado.

- Już dobrze. - Poklepał się po piersi. - Obawiam się, że moje płuca nie są już takie jak dawniej.

W tych słowach kryła się odpowiedź na wiele pytań.

- Jest bardzo źle?

Próbował się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

- Wystarczająco.

A potem mi powiedział. To nie był rak, jak sobie pomyślałem, ale coś równie groźnego. Pewna rzadka choroba, grzyb, który zarasta płuca i dusi.

Nieuleczalna, wszelkie kuracje czy lekarstwa mogą jedynie zahamować jej rozwój.

Znowu poczułem się winny, że tak źle go oceniłem.

Chciało mi się rzygać. Nie miałem nic na swoje usprawiedliwienie. Wiedząc o nim tyle, powinienem domyślić się, że musi być jakieś logiczne wyjaśnienie jego nieprawdopodobnego zachowania.

Wystartowałem z najbardziej banalnym zdaniem na świecie:

- Przykro mi, Sean.

Uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu.

- Teraz to już nie ma znaczenia, Stacey. Co się stało, to się nie odstanie.

Przedstawiłem mu ofertę Joanny Truscott.

- Nie wiem, co ona ma na myśli, ale nikt przy tym nie straci, a ja chciałbym wygrać z Hofferem.

- Ja też - oświadczył. - Przedstawię tę propozycję Piętowi i Legrande'owi.

Rozmawiali w grupce, a ja znowu sobie uświadomiłem, że Legrande wygląda na okropnie zmęczonego. Ruszyli w moją stronę.

- A więc wygląda to tak: dostaliśmy połowę pieniędzy z góry - podsumował Burke. - Teraz zobaczymy, czy damy radę przy dusić tego łajdaka. Przełknął gwałtownie ślinę i zatrzymał się. Przez chwilę myślałem, że będzie miał następny atak, ale nie, to nie był atak.

- Mój Boże... - powiedział nagle - nie pomyśleliśmy o jednym. Przecież Hoffer osobiście będzie czekał na nas z transportem na drodze z Bellony o północy.

- Myślisz, że możemy mu zrobić brzydką niespodziankę?

Uśmiechnął się lekko, tym swoim uśmiechem, który wcale uśmiechem nie był, i wyglądał znowu jak dawny Burke, jak ktoś bardzo niebezpieczny.

- Chyba mamy cholernie dobrą okazję, ale nie traćmy czasu na gadanie. Lepiej jak najszybciej dołączmy do tamtych i ułożmy jakiś plan.

Wyruszyliśmy zwartą grupą, ja szedłem na czele. Czułem pełnię energii, czułem się tak silny, że mogłem podjąć się wszystkiego, z mojego ciała i umysłu spadł ogromny ciężar. Stan zdrowia Burke'a był oczywiście przygnębiający, ale jednocześnie przynosił mi ulgę jako wytłumaczenie tajemniczej zmiany w jego zachowaniu.

Zatrzymałem się na skraju lasu, jakieś trzydzieści jardów od chaty. Nasze nadejście najwyraźniej zostało dostrzeżone, bo dookoła nie było nikogo widać. Zaczekałem, aż reszta do mnie dołączy, i powiedziałem Burke'owi, że zejdem sam, żeby utorować drogę. Bracia Vivaldi i Joe Ricco wyglądali na zdolnych do wszystkiego, a na tym etapie nie chciałem żadnych niefortunnych nieporozumień. Zawołałem Serafina i zacząłem wolno przedzierać się przez krzaki, z rękoma uniesionymi nad głową. Kiedy byłem w połowie polany, otworzyły się drzwi i ostrożnie wyjrzał z nich Serafino, trzymając w pogotowiu mój karabin.

146

147

- W porządku - powiedziałem. - Wszystko jest okay. Sponad jego ramienia wyjrzała Joanna Truscot z niepewnością na twarzy.

- Udało ci się ich przekonać?

- Lepiej nawet. Hoffer dzisiaj wieczorem ma czekać na drodze do Bellony, żeby nas zabrać. Może się zdziwić jak jasna cholera.

Powiedziałem to po włosku i twarz Serafina rozbliła.

- Ha, podoba mi się to. Mógłbym osobiście poderznąć gardło temu łajdakowi. Dobra, Stacey Wyatt, zawołaj tu swoich kumpli.

Zagwizdał ostro i z różnych miejsc polany wyłonili się bracia Vivaldi i Joe Ricco. Serafino uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Wolę dmuchać na zimne.

Dałem swoim towarzyszom znak, żeby zeszli na dół.

Dziewczyna przysunęła się do mojego boku.

- Jesteś pewien, że mój ojczym będzie tam osobiście?

- Tak się z nami umówił. - Burke był już w połowie polany, pozostali szli tuż za nim. Uśmiechnąłem się do Joanny Truscott i lekko popchnąłem ją w ich kierunku. -Patrz, Sean, oto i ona. Cel naszej wyprawy.

W jednej straszliwej chwili rozpoznałem wyraz jego twarzy, wyraz, który widziałem tyle razy wcześniej, ale teraz było już za późno. Burke poderwał karabin i strzelił w głowę Joanny Truscott.

Zawdzięczam życie Legrande'owi, który strzelił do mnie w tym samym momencie, gdy Burke zabił dziewczynę.

W chwili strzału AK wyrzuciła pocisk z energią wylotową o wartości półtorej tony. Chińczycy założyli, że kula ma nie tylko zatrzymać nacierającego żołnierza piechoty morskiej, ale także podnieść go z ziemi i odesłać jard do tyłu. Dzięki temu leżałem płasko na plecach, kiedy Pięć Jaeger otworzył ogień ze swojego uzi.

Serafino, padając, jako jedyny oddał strzał z biodra.

Celny strzał, który posłał wierzch głowy Legrande'a daleko poza zasięg mojego wzroku. Tymczasem ja już turlałem się za pień po drugiej stronie ogniska.

Uzi zasypało mnie fontanną pocisków, która urwała się nagle, kiedy opróżnił się magazynek. Natychmiast

wstałem i z pochyloną głową pobiegłem w stronę drzew.

Moje prawe ramię zwisało bezwładnie, z rany tryskała krew. Nie czułem bólu, byłem zbyt zszokowany, żeby go czuć. Ból miał przyjść później. W tym momencie napędzała mnie jedna siła - chęć przeżycia.

Potknąłem się, z tyłu słyszałem krzyki umierających i jakieś zmieszane głosy, a potem bardzo blisko mnie

149
padło kilka pocisków, łamiąc konary i gałęzie nad moją głową.

Znowu zaterkotało uzi, Jaeger kosił nim metodycznie od prawej do lewej i z powrotem. Gdybym został tam, gdzie byłem, w najlepszym wypadku miałbym jeszcze tylko kilka sekund życia. To było mało, zbyt wiele miałem rachunków do zapłacenia. Skoczyłem ostro w prawo, przedarłem się przez krzaki i głową naprzód rzuciłem się do strumienia.

Lodowate zimno otrzeźwiło mnie. Wynurzyłem się, wziąłem głęboki oddech i znowu zanurkowałem. Gdybym jednak musiał gdzieś dopłynąć, nie miałbym szans. Stwierdziłem, że moje prawe ramię jest zupełnie bezwładne, a prąd silniejszy, niż sądziłem. Chwycił mnie mocno, odciągając od brzegu. Kiedy znowu się wynurzyłem, byłem na środku nurtu.

Z brzegu dobiegł krzyk i przez zarośla przedarł się Jaeger. Wskoczył po kolana do wody, podniósł uzi i

zaczął strzelać, i wtedy dołączył do niego Burke. Znowu zanurkowałem, ale po chwili zabrakło mi powietrza i wynurzyłem się.

Wiedziałem, że Burke stoi na płyciźnie, że jego ramię robi zamach, że w powietrzu leci granat i ląduje jard ode mnie. Uratował mnie potok, który wessał mnie między granitowe płyty i wyrzucił na jeziorko, dwadzieścia stóp od miejsca wybuchu granatu.

W tym miejscu woda miała dziewięć, może dziesięć stóp głębokości. Dotknąłem dna, wynurzyłem się i prąd poniósł mnie na drugi brzeg, na łagodnie opadającą łachę czarnego piasku, porośniętą zwisającymi nad wodą krzakami.

W ciągu paru chwil wyczołgałem się na brzeg i ukryłem. Wspomagał mnie zapas energii, która uwalnia się w człowieku w momentach prawdziwego zagrożenia.

Dotarłem do najgęstszych zarośli, wgramoliłem się w nie i leżałem tam, drżąc.

Stwierdziłem, że nie zgubiłem swojego smith & wesson schowanego w kaburze, wydobyłem go więc niezgrabnie lewą ręką i nadal leżałem, czekając.

Byłem sam w tym cichym, pierwotnym lesie, wszędzie dookoła mnie przestrzeń zamykały gęsto rosnące gałęzie. Gdzieś w pobliżu krzyknął jakiś ptak, drugi mu odpowiedział, ale potem dobiegł mnie pomruk głosów. Wydawały się zbliżać z innej strony niż ta, gdzie widziałem Burke'a i Jaegera, i oczywiście niewiele mogłem zrozumieć z tego, co mówiły.

Jedynym zdaniem, które wyraźnie usłyszałem, było: "Widzisz ciało?" - wypowiedziane z południowoafrykańskim akcentem, który mógł należeć tylko do Jaegera. To oznaczało, że uważają mnie za zmarłego, pewnie uznali, że zabił mnie granat.

Burke coś odpowiedział, po czym zapadła cisza.

Leżąc tam na brzuchu, uświadomiłem sobie, że coś mnie uciska w pierś, i przypomniałem sobie prezent pożegnalny od Rosy. Odkręciłem butelkę zębami i upiłem łyk. Brandy jak płynny ogień wypaliła mi wnętrzności i wybuchła gorącym płomieniem.

Rozległ się pojedynczy strzał, pewnie kogoś dobili.

Leżałem i czekałem, ramię z minuty na minutę coraz bardziej mnie bolało, i myślałem o Burke'u, który mnie zrobił na szaro. Pobił mnie na całej linii.

Zastanawiałem się też, jak mogę wyrównać z nim rachunki. Myślałem o tym wszystkim i o zmiennych konfiguracjach losu, piłem brandy i czekałem.

Czekanie jest dla żołnierza najtrudniejsze, najtrudniej mu się tego nauczyć, ale to czasami dla niego jedyna szansa na przeżycie. Kiedyś w Kasai siedziałem w kucki

150

151

z Burkiem i czterema innymi ludźmi w rowie głębokim na trzy stopy. Ziemię nad nami przeorywał ogień karabinów maszynowych. Burke powiedział nam, że musimy być cierpliwi, że wyjść teraz byłoby szaleństwem. Nasi towarzysze pękali jeden po

drugim, rzucali się do ucieczki i padali ścięci serią. Pięć godzin później zapadły ciemności i razem z Burkiem wypelzłem stamtąd cały i zdrowy.

Moje ramię przestało krwawić, pewnie dzięki lodowatej wodzie strumienia. Ranę wlotową otaczały obrzydliwe, bezkrwiste, sine wargi. Ostrożnie obmacałem ramię opuszkami palców lewej dłoni i z ulgą stwierdziłem, że kula przeszła na wylot.

Wyglądało na to, że krawędzie rany wlotowej zasklepiły się, więc choć straciłem dużo krwi, nie potrzebowałem nawet bandaża.

Odczekałem godzinę, a potem zacząłem ostrożnie przedzierać się przez drzewa. Zobaczyłem chatę, dym z paleniska, ale nie zauważyłem żadnego znaku życia.

Nagle w krzakach po mojej prawej stronie coś się poruszyło. Przykucnąłem czujnie i po chwili zobaczyłem osła. Łajdus ryknął, przebiegł przez polanę i ruszył w górę. Potem zszedł i wskoczył na dach chaty - a tego nigdy by nie zrobił, gdyby w pobliżu był jakikolwiek człowiek.

Wstałem i ostrożnie wyszedłem na polanę. Na mój widok osioł czmychnął i zostałem sam z moimi zmarłymi.

Pierwsze ciało należało do Legrande'a, chociaż ledwie go było można rozpoznać. Nie miał też na sobie kombinezonu, który pewnie zabrali dla zatarcia śladów.

Serafino i jego trzech przyjaciele leżeli tak blisko siebie, że ich kończyny dotykały się nawzajem. Po

śmierci bandyta uśmiechał się dziko, obnażając zęby. Stwierdziłem, że dostał siedem, osiem kul. Pozostali leżeli w podobnej pozycji, tylko Joe Ricco dostał serię w plecy, co oznaczało, że zdążył się odwrócić. Wszystko już rozumiałem. Dziewczyna miała słusność. Hoffer chciał, żeby zginęła, i zaplanował to razem z Burkiem. Teraz pójdzie na policję, z bólem serca opowie historię jej porwania i opłacenia okupu, który nie zapewnił uwolnienia pasierbicy. A policja będzie musiała pójść tym tropem; najpierw przeszuka teren, jak tyle razy do tej pory, zakładając, że Serafino jak zwykle jest krok przed nimi - tylko że tym razem będzie inaczej. Tym razem na samym początku znajdą jatkę, efekt tego, co dziewczyna sugerowała mi wcześniej - walki między dwiema rywalizującymi bandami.

Zapalą kilka świeczek w katedrze w Palermo, przyjaciele Hoffera złożą mu wyrazy współczucia, on sam jedną ręką otrze łzę, a drugą podpisze papiery, które dadzą mu dwa i pół miliona dolarów.

Dziewczyna leżała na boku, a kiedy ją obróciłem, zaparło mi dech. Jej twarz była krwawą maską, obsiadły ją już muchy. Często widziałem śmierć we wszystkich jej koszmarnych postaciach, ale zrobiło mi się słabo i ogarnął mnie straszliwy żal.

Pomyślałem o Burke'u, o tym, jak mnie okpił, jak przekabacił Jaegera i biednego, starzejącego się Legran-de'a. Pewnie obiecał im nagrodę wyższą, niż mnie kiedykolwiek obiecano. Potem coś we mnie

peęło i nagle zacząłem przeklinać go szaleńczo na cały głos.

Myślę, że właśnie w tamtej chwili stałem się Sycylińczykiem do szpiku kości. Mój gniew przelał się w potoku nienawiści. "W taki oto sposób wypiję krew tego, co cię zabił" - zabrzmiało wyraźnie w mojej głowie. Delikatnie dotknąłem twarzy dziewczyny, jej krew splamiła moje

152

153

palce. Podniosłem je do ust i w tej właśnie chwili Joanna Truscott jęknęła głośno i poruszyła się. Nikt by nie przypuszczał, że może jeszcze żyć. A żyła prawdopodobnie dzięki temu, że krew, która wylała się z rany, zamieniła jej twarz w potworną maskę śmierci.

Ogień już prawie wygasł, ale woda w starym żelaznym kociołku wciąż była ciepła. Przyniosłem go w lewej ręce i połową jego zawartości chlusnąłem Joannie w twarz. Większość krwi od razu się zmyła. Dziewczyna jęknęła i poruszyła głową.

Przykucnąłem, wyciągnąłem przesiąkniętą wilgocią chusteczkę do nosa i delikatnie zmyłem resztę krwi. Kula wyłobiła bruzdę od prawej skroni i dalej z boku czaszki, odsłaniając kość. Rana wciąż krwawiła, ale niezbyt mocno.

W kieszeni na prawej nogawce miałem wojskowy pakiet medyczny. Wyciągnąłem go, rozerwałem zębami wodoodporne opakowanie i wyjąłem

zawartość - dwa opatrunki polowe i trzy ampułki morfiny w małym plastikowym pudełku.

Dwie ampułki wstrzyknąłem jej w ramię, jedną po drugiej. Najbliższe kilka godzin będzie dla niej najtrudniejsze, bo będę musiał ją stąd znieść.

Zawahałem się nad trzecią ampułką, zastanawiając się, czy nie użyć jej samemu, ale w końcu uznałem, że lepiej nie. Muszę być przytomny, poza tym przypuszczałem, że silny ból, który zaczynałem czuć w ramieniu, zaostrzy mi zmysły.

Podniosłem dziewczynę do pozycji siedzącej, podłożyłem jej pod plecy kolano, a ona zawisła na nim bezwładnie. Na każdym końcu opatrunku były trzy stopy bandaża i zanim obwiązałem to dookoła jej głowy, morfina zaczęła działać. Twarz Joanny opuściło całe napięcie

154

i kiedy położyłem ją z powrotem na ziemi, tylko jej upiorna bladość wskazywała, że stało się coś złego. Przesunąłem kaburę z prawego biodra na lewe i jakoś zdołałem owinąć sobie ramię drugim opatrunkiem, choć temu dziełu daleko było do doskonałości. Potem zdjęłem szelkę z M-1 Serafina, zapiąłem ją sobie wokół talii i przymocowałem nią prawe ramię do boku.

Słońce już na dobre zaczęło się przebijać przez chmury, ale kiedy spojrzałem na zegarek, stwierdziłem, że jest dopiero siódma rano. Wyjąłem swoją mapę, która, choć przemoknięta, dzięki

nylonowej podklej ce wciąż była w jednym kawałku i zastanowiłem się nad sytuacją.

Hoffer mówił, że będzie czekał w jakimś punkcie na drodze na południe od Bellony, i tak zapewne będzie. Nawet jeśli nie stawi się osobiście, ktoś na pewno będzie czekał tam z transportem. Burke i Jaeger mieli tylko siebie na głowie, musieli więc przemieszczać się w niezłym tempie, które bez wątpienia podnosiła także satysfakcja z dobrze wykonanego zadania. Było więcej niż pewne, że dotrą do miejsca spotkania przed czasem.

Nie miałem wyboru; musiałem również udać się do Bellony, ale przewidywałem, że zajmie mi to co najmniej sześć, siedem godzin. W dodatku nie można było wykluczyć możliwości, że moje siły wyczerpią się po drodze i ciało odmówi dalszych wysiłków.

Kiedy padły na mnie promienie słońca, zadrżałem lekko i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że jestem cały mokry. Wyjąłem butelkę brandy od Rosy i wypłem trochę. Joanna Truscott leżała cicho i spokojnie, z rękoma równo ułożonymi po bokach.

Wyglądała jak nagrobna rzeźba z marmuru.

Gdybym ją zostawił i ruszył sam, może dotarłbym do Bellony w ciągu pięciu czy sześciu godzin, oczywiście o ile nie zemdlałbym po drodze. Nawet człowiek tak

155

sprawny jak Cerda potrzebowałyby przynajmniej godziny, by zebrać ekipę ratunkową, a droga powrotna potrwałaby jeszcze dłużej niż moje zejście.

Wychodziło więc na to, że jeśli ją zostawię, będzie tak leżała w najlepszym wypadku przez piętnaście czy szesnaście godzin, a prawdopodobnie dłużej. Do tego czasu może umrzeć, na to zaś nie chciałem pozwolić. Miała żyć i chciałem zobaczyć twarz Hoffera w chwili, gdy się o tym dowie.

Zwierzęta, które wcześniej pasły się tak spokojnie, zniknęły, najwyraźniej spłoszone strzelaniną. Na drzwiach wisiało kilka par cugli. Wziąłem jedno, przeszedłem się między drzewami i znalazłem kilka kóz i jednego osła, spokojnie oskubujących krzaki. Osioł pozwolił założyć sobie cugle, więc poprowadziłem go na polanę i uwiązałem przy chatce.

Zwierzę prawdopodobnie służyło Serafinowi i jego ludziom do noszenia ciężarów, a to oznaczało, że gdzieś musi być siodło ładunkowe. Rzeczywiście, w chacie znalazłem nawet dwa, obydwa zrobione z drewna i skóry.

Brandy dotarła do mojego mózgu i ból w ramieniu nieco zelżał. Wyciągnąłem na zewnątrz jedno z siodeł i już przy trzeciej próbie zdołałem umieścić je na grzbiecie osła. Bóg jeden wie, co by było, gdyby zwierzak miał zły nastrój albo się odwrócił, ale stał spokojnie, grzebiąc kopytem w ziemi, kiedy zaciągałem popręg.

Umieszczenie na ośle Joanny Truscott było o wiele trudniejsze, jednak w końcu zdołałem postawić ją na kolanach, ukląknąłem przed nią i przewiesiłem ją sobie

przez lewe ramię. Kiedy niezbyt delikatnie położyłem dziewczynę na plecach w drewnianej niecce siodła, nie wydała żadnego dźwięku. Leżała z twarzą skierowaną ku niebu, jej nogi dyndały po obu stronach oślego zadu.

156

Wziąłem koc z chaty i przykryłem ją najlepiej, jak umiałem, a potem przywiązałem w tej pozycji kawałkiem starego sznura.

Gdy skończyłem, byłem spocony jak mysz. Usiadłem i odruchowo sięgnąłem po papierosy. Ale został po nich jedynie mokry tampon w żółte plamy, więc przeszukałem ciało i u Ricca w kieszeni na piersi znalazłem paczkę popularnej miejscowej marki, taniej i paskudnej, było to jednak lepsze niż nic. Wypaliłem jednego, znowu łyknąłem brandy, a potem okręciłem koniec oślego wędzidła wokół lewej ręki i ruszyłem.

Buddyści wierzą, że jeśli człowiek odpowiednio długo praktykuje medytację, może odkryć swoją prawdziwą osobowość i wejść w stan, który prowadzi do nirwany. Albo przynajmniej wycofać się do swojego wewnętrznego ja tak, że znika świat zewnętrzny i przestaje istnieć czas.

Stary Żyd, z którym dzieliłem celę w Kairze, nauczył mnie technik medytacyjnych, co uratowało mi życie, ponieważ tylko dzięki temu przetrwałem Dziurę. Często wycofywałem się ze świata i szybowałem w ciepłych ciemnościach. Kiedy się z nich wynurzałem,

okazywało się, że minął dzień, dwa, nawet trzy, a ja wciąż żyję.

Wędrując tamtego ranka przez dziki świat Monte Cam-maraty, odkryłem, że dzieje się ze mną coś podobnego. Czas przestał istnieć, kamienie, jałowe doliny i nagie zbocza łączyły się z niebem jak nieostry obraz, a ja na oślep szedłem dalej.

Niemal nic nie docierało do mojej świadomości. W jednej chwili szedłem samotnie z osłem za plecami, w następnej słyszałem wyraźny głos, który mówił: "Na świecie są dwa rodzaje ludzi: »fortepiany« i pianiści".

157

Burke powiedział to, siedząc przy obitym cynkową blachą barze w Mawanza. Piłem ciepłe piwo, ponieważ odcięto dopływ prądu i lodówka nie działała, a on siedział nad swoją nieodłączną kawą, jedynym napojem, który pijał w tamtych czasach. Realizowaliśmy wtedy swój pierwszy kontrakt w Katandze. Straciliśmy połowę ludzi, a przed końcem akcji mieliśmy stracić prawie całą resztę.

Siedziałem przy tym barze, z pistoletem maszynowym pod łokciem, moja twarz odbijała się w poranionym kulami lustrze - sytuacja miała wszystkie cechy typowego holywoodzkiego filmu przygodowego. Pamiętałem, że na zewnątrz trwa strzelanina, słyszałem wybuchy mózdzierzy i nieustanny, równomierny stukot karabinów maszynowych, próbujących wykurzyć snajperów z biur rządowych po drugiej stronie placu.

Połączenie tej scenerii i mojego młodszych wieku - dwudziestu lat - powinno dać efekt romantyczny i awanturniczy, jak w starych filmach Bogarta. Nie dawało jednak. Miałem dość zabijania, dość całej tej brutalności i zezwierzecenia.

Byłem u granic wytrzymałości, miałem ochotę przejść na drugą stronę. Burke to wyczuł i zaczął mówić cicho i spokojnie. W tamtych czasach był nieprawdopodobnie przekonujący, a może po prostu chciałem wierzyć, że taki jest.

Zanim skończył, uwierzyłem, że dokonujemy czegoś na kształt świętej krucjaty, by uratować czarnego człowieka przed jego własnym szaleństwem.

- Pamiętaj, Stacey, że na świecie są dwa rodzaje ludzi: "fortepiany" i pianiści - powiedział.

Była to skomplikowana metafora, która miała sugerować, że są tacy, którzy biernie przyjmują swój los, i tacy,

którzy coś z nim robią. Wtedy mu jeszcze wierzyłem.

Tego samego wieczoru miejscowa policja stanęła przeciwko nam i przez następny tydzień byłem całkowicie zajęty ratowaniem własnej skóry.

Teraz, kiedy stałem na zboczu góry, przypomniały mi się te słowa. Dokładnie pamiętałem tamtą rozmowę i zdumiony zdałem sobie sprawę, że Burke nie miał na myśli mnie, że mówił o sobie, jak zawsze zresztą. Musiał przekonać mnie do swojego sposobu myślenia, ponieważ mnie potrzebował. Byłem dla niego niezbędny, jak broń w rękę. Pierwszorzędna

śmiercionośna broń. Oto, czym byłem - i nigdy nie byłem niczym więcej.

Szedłem przed siebie, a za mną osioł, i wciąż rozmyślałem o przeszłości, czyli o Burke'u. Z Pietem Jaegerem łączyły go więzi innego rodzaju.

Oczywiście w moją stronę nigdy nie uczynił takiego kroku, prawdopodobnie przestrzegł go przed tym instynkt.

Jak powiedziałem, na początku z trudem tolerowałem moje zapotrzebowanie na kobiety i moje zamiłowanie do wysokoprocentowych alkoholi.

Kiedy teraz patrzyłem z dystansu na zmianę jego nastawienia, doszedłem do wniosku, że po prostu w którymś momencie uświadomił sobie, że im bardziej będzie tolerował moje słabości, tym łatwiej urobi mnie do swoich celów.

Wędrowałem już cztery godziny, zatrzymałem się więc, żeby sprawdzić, w jakim stanie jest dziewczyna. Wyglądała dokładnie tak samo, ale wciąż oddychała, a tylko to było ważne.

Ja sam zapomniałem o ranie, zepchnąłem tę myśl do podświadomości, tak jak czyniłem to wiele razy w Dziurze. Moje ramię istniało jedynie jako tępy ból i gdyby nie on, w ogóle bym nie wiedział, że je mam. Słońce przesłoniły chmury, ciężkie krople deszczu spryskały skały

158

159

wokół mnie, a ja kuśtykałem dalej, Stacey Wyatt, mistrz sztuki przetrwania.

Późną wiosną albo wczesnym latem, gdy zaczynają się pierwsze prawdziwe upały, w sycylijskich górach gwałtowne burze są na porządku dziennym. Czasami ulewa usadawia się nad jakąś górą na pół dnia albo i więcej.

Kiedy patrzę wstecz, myślę, że to właśnie ulewa uratowała nam wtedy życie. Niektórzy ludzie w deszczu maszerują sprawniej - samo przebywanie na świeżym powietrzu daje im zastrzyk energii. Ja zawsze byłem jednym z tych szczęśliwców, więc nawałnica, która rozpętała się tego ranka nad Cammaratą, dała mi psychicznego kopa. To było coś więcej niż zwykła ulewa. Niebo i wszystko dookoła ożyło, nie przedzierałem się już przez martwy świat. Może majaczyłem, bo nagle zacząłem śpiewać stary marsz Legii Cudzoziemskiej, którego nauczył mnie Le-grande kilka wieków temu, kiedy jeszcze byliśmy braćmi.

Deszcz walił bezlitośnie. Przeszedłem wzniesienie, które zamykało małą dolinkę, spojrzałem w dół przez szarą zasłonę i zobaczyłem Bellonę przy białej smudze drogi.

**Roześmiałem się głośno i krzyknąłem w niebo:
- Dopadnę cię, Burke! Na Boga, teraz cię dopadnę!
Odwróciłem się, zamierzając sięgnąć po uzdę osła, i zobaczyłem, że Joanna obróciła głowę, a jej oczy są szeroko otwarte. Przez długą chwilę patrzyła na mnie nieprzytomnym wzrokiem, po czym uśmiechnęła się powoli.**

Nie mogłem mówić, po prostu dotknąłem delikatnie jej policzka, wziąłem uzdę i ruszyłem w dół stoku, a łzy mieszały się z deszczem na mojej twarzy.

Ta ostatnia godzina na stoku była najgorsza, bo luźna darń, przesiąkniętą ulewnym deszczem, utrudniała marsz. Dwa razy pośliznąłem się na niej i straciłem równowagę, potem pośliznął się osioł, wyrywając uzdę z mojej garści. Zrobiło mi się niedobrze ze strachu. Przez chwilę wydawało się, że zwierzę przetoczy się przez grzbiet, a skutki tego byłyby katastrofalne.

Joanna Truscott znowu miała zamknięte oczy, pewnie z powrotem straciła przytomność.

Chwyciłem uzdę tuż przy pysku osła i zacząłem schodzić z kolejnego wału, trzymając łeb zwierzęcia w górze z całą siłą, która mi pozostała, czyli głównie siłą woli.

Czas znowu przestał istnieć, teraz chyba dlatego, że zacząłem majaczyć. Brnęliśmy w dół przez błoto i deszcz i w którymś momencie uświadomiłem sobie, że błagam osła, by wstał jak człowiek i szedł dalej. A potem znowu usłyszałem śpiew, znowu zagrała w oddali trąbka, odbijając się echem od gór Hoggar i południowej Sahary po bagna Indochin.

Wydawało mi się, że spadam w studnię ciemności, gdzie nic nie istnieje, tylko na końcu długiego tunelu

160

161

drży maleńki punkcik światła, i stwierdziłem, że z całej siły oburącz trzymam się uzdy, niczym ostatniej więzi] łączącej mnie z życiem.

Nie mam pojęcia, kiedy uwolniłem swoje prawe ramię.' Wiem tylko, że sobie nim pomogłem - najwyraźniej było mi potrzebne - i teraz krew przesiąkała przez kombinezon.

Był to najpiękniejszy kolor, jaki w życiu widziałem, wspaniale kontrastował ze stłumionymi zieleniami i brązami mojego kombinezonu. Świat był cudownym, rozkosznym miejscem, krew mieszała się z zielenią i padał szary deszcz.

Przez grzbiet wzniesienia jak potok brudnej wody przelały się owce i dreptały wokół mnie, a ich odziany w łachmany pasterz spojrział na mnie, odwrócił się i pobiegł ścieżką w stronę wioski.

Minąłem miejsce, w którym siedziałem, a potem leżałem w pełnym słońcu z Rosą. Kochana, dobra Rosa, która chciała mnie przestrzec, ale za bardzo się bała... Bała się Karla Hoffera.

Pod stopami miałem krew... Nie, to nie krew...

Potrząsnąłem głową i plama zamieniła się w czerwoną alfę romeo, stojącą za domem Cerdy dwieście stóp poniżej. Usłyszałem chaotyczne głosy, jacyś ludzie biegli w moją stronę.

Kiedyś jako chłopiec spadłem z drzewa koło willi Barbaccii i leżałem nieprzytomny przez godzinę, zanim Marco mnie znalazł. Teraz wyglądał dokładnie tak samo, o dziwo, nie był ani trochę

starszy. Miał także ten sam wyraz twarzy - trochę złości, trochę przerażenia, trochę miłości.

Leżałem w błocie, a moja głowa opierała się na jego kolanach.

- Już dobrze, już wszystko dobrze, Stacey.

Trzymałem się kurczowo klap jego drogiego płaszcza z owczej wełny.

- Hoffer, Marco. Hoffer i Burke. Oni są moi.

Powiedz to Yitowi. Powiedz capo. Oni są moi, tylko moi. Moja wendeta! Moja wendeta!

Wykrzyczałem te słowa na głos. Ludzie z Bellony stali w milczącym kręgu, z kamiennymi twarzami, jak Furie w greckiej tragedii, ze spokojem oczekujące krwawego końca.

Pęknięcia na suficie tworzyły interesujący wzór.

Kiedy się patrzyło wystarczająco długo, widać było mapę Włoch, razem z końcem buta, ale bez Sycylii.

Sycylia. Zamknąłem oczy, w mojej głowie tłoczyły się setki obrazów i myśli. Kiedy znowu podniosłem powieki, przy moim łóżku stał Marco, z rękoma w kieszeniach swojego wspaniałego płaszcza z owczej wełny.

- To piękny płaszcz - powiedziałem. Uśmiechnął się tym uśmiechem, który tak dobrze znałem jako chłopiec.

- Jak się czujesz?

Byłem owinięty w ciężki szary koc. Kiedy go rozchyliłem, zobaczyłem, że wciąż jestem w kombinezonie, ale opatrunek na moim ramieniu zmieniono, a ten nowy wyglądał jak szarpie z białego

prześcieradła. Zerwałem się gwałtownie i usiadłem na skraju łóżka, stawiając stopy na podłodze.

- Uważaj - ostrzegł mnie Marco. - Masz szczęście, że żyjesz.

- Jesteś w błędzie - odparłem. - Jesteś w wielkim błędzie... Ja jestem niezniszczalny. Będę żył wiecznie. Nie uśmiechał się już, a kiedy otworzyły się drzwi i wbiegł

162

163

Cerda, z wyrazu jego twarzy domyśliłem się, że musiałem krzyczeć.

Na małej szafce nocnej zobaczyłem swojego smith & wessona, sięgnąłem po niego i przyłożyłem go do twarzy. Metal był tak zimny, że aż parzył, ale może tylko tak mi się wydawało. Podniosłem wzrok na ich zmartwione twarze i uśmiechnąłem się, a może też mi się tylko wydawało, że to zrobiłem...

- Gdzie ona jest?

- W mojej sypialni - odparł Cerda.

Wstałem i chwiejnym krokiem przeszedłem przez drzwi, omijając wyciągnięte ramię Marca. Nie wiedzieć jakim magicznym sposobem Cerda znalazł się przede mną, otworzył drzwi i zobaczyłem ciemną, smutną postać kobiety, jego żony, która odwróciła się przerażona od łóżka.

Joanna Truscott leżała zupełnie spokojnie, jej twarz miała barwę wosku, a głowę spowijał nowy, czysty bandaż.

Odwróciłem się do Marca.

- Co się dzieje?

- Nie jest z nią dobrze, Stacey. Rozmawiałem z capo | przez telefon. Najbliższy doktor jest dwie godziny drogi stąd, ale już mu przekazano, że ma przyjechać.

- Ona nie może umrzeć - oświadczyłem. - Rózu- J miesza?

- Pewnie, Stacey. - Poklepał mnie po ramieniu. - Z Palermo jedzie prywatny ambulans z dwoma najlep- f szymi lekarzami na Sycylii. Wyjdzie z tego, sam ją obejrzałem. To brzydka rana, lecz nie śmiertelna. Nie masz się czym martwić.

- Oprócz Hofferera - powiedziałem. - On myśli, że ona już nie żyje. Jej śmierć jest teraz dla niego najważniejsza. - Spojrzałem na Marca i pokiwałem głową. - Ale ty już o tym wiesz, prawda? Wszystko wiesz? Nie wiedział, co mi odpowiedzieć, więc tylko uśmiechnął się uspokajająco.

- Zapomnij o Hofferze, Stacey, capo się z nim rozliczy. Wszystko jest już zaplanowane.

- Od kiedy? - dopytywałem się. - Od tygodnia, miesiąca? On mnie wykorzystał, prawda, Marco? Wykorzystał mnie tak jak ciebie i wszystkich innych.

- Uświadomiłem sobie, że wciąż trzymam rewolwer w lewej dłoni i wpycham go do kabury. - Dostyc tego. Rozprawię się z Hofferem osobiście. Odwróciłem się i spojrzałem na dziewczynę. Skoro nie umarła, zrobi to wkrótce, tak mi się przynajmniej wtedy wydawało.

**- Jedziemy alfą - powiedziałem do Marca. -
Spotkamy ich po drodze.**

Westchnął.

**- Nie, Stacey, lepiej poczekać. Po deszczu
samochodem ciężko jechać. Na większości górskich
dróg spłynęła nawierzchnia.**

**- To prawda - wtrącił Cerda. - Jeśli szybko nie
przestanie padać, w ogóle nie zostaną żadne drogi.**

**- W takim razie ambulans nigdy tu nie dotrze -
stwierdziłem.**

**Cerda zmarszczył się i odwrócił do Marca, który
bezzradnie wzruszył ramionami.**

- Może on ma rację.

**Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Zawinęli
Joannę w koce i wynieśli ją do alfy, wypchali
przerwę między przednimi a tylnymi siedzeniami
kocami i położyli ją na tym pośłaniu. Siadłem w
fotelu dla pasażera, a Cerda nachylił się, by zapiąć
mój pas.**

164

165

**- Przekażę pan capo moje uszanowanie, dobrze?
poprosił. - Niech pan mu powie, że robię wszystko ta
jak mi kazał.**

**- Oczywiście, że mu powiem - obiecałem, a potem
wychyliłem się przez okno i kiedy odjeżdżaliśmy,
zawołałem po angielsku: - Niech żyje mafia! Niech
żyje!**

Chyba nie usłyszał ironii w moim głosie.

Stan górskich dróg w ulewnym deszczu rzeczywiście daleki był od doskonałości. Można powiedzieć, że po przejeździe naszego samochodu droga rozpadała się i pozostawały tylko koleiny.

Na odcinkach z górki wyciągaliśmy dwadzieścia mil na godzinę; gdybyśmy jechali choć trochę szybciej, przelecielibyśmy ponad krawędzią, ale niestety konstruktorzy alfy nie przystosowali jej do latania. Ale już się nie martwiłem. Miałem poczucie absolutnej nieuchronności zdarzeń. Sycylijczycy to starożytny naród i ogarnął mnie jakiś antyczny fatalizm. Podświadomie wiedziałem, że gra jest wciąż w toku, że jeszcze nie nastąpił punkt kulminacyjny. Tego, co nieuchronne, nie mogliśmy umknąć. Ani ja, ani Burke.

W zachowaniu spokoju pomogła mi także świadomość, że Marco zajął kiedyś trzecie miejsce w wyścigu Mila Miglia, startując w barwach firmy mojego dziadka i jakichś innych biznesmenów. Zamknąłem oczy i zasnąłem. Gdy znowu je otworzyłem, staliśmy na poboczu głównej drogi za Yicari, jak się później dowiedziałem. Uniknęły mi dwie godziny.

Nosze z Joanną Truscott wsuwano już do ambulansu. Próbowałem wstać, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. W końcu jednak otworzyłem drzwi i ruszyłem chwiejnym krokiem prosto w ramiona mężczyzny z siwą brodą, ubranego w biały fartuch.

Gdzieś w tle niewyraźnie widziałem Marca, ale najważniejszy był mój siwobrody przyjaciel w okularach w złotych oprawkach. Zadziwiające, jak wielki szacunek budzi widok lekarza - nawet jeśli jest to lekarz mafii.

Mężczyzna pochylił się nad Joanną i przez chwilę poczułem niepokój na widok świateł odbijających się w jego okularach, i strzykawki, którą trzymał w ręku.

Próbowałem zaprotestować, próbowałem podnieść ramię, ale nagle znowu zapadły ciemności - stawaliśmy się już dobrymi przyjaciółmi.

Za oknem w równym, zdyscyplinowanym rzędzie stały topole, czarne na tle nieba, ognistego od światła zachodzącego słońca. W zimnym i ciemnym pokoju długie białe zasłony wydymały się od lekkiego powiewu. Powrót do życia zawsze jest bolesny, ale mój powrót do życia został złagodzony przez jeden z najpiękniejszych wieczorów mojego życia.

Znowu byłem zdrowy, spokojny i zrelaksowany. Nie czułem żadnego bólu, ale kiedy się poruszyłem, przeszył mnie jakiś ogień w prawym ramieniu. W nogach łóżka pielęgniarka czytała książkę przy świetle małej lampki. Na mój ruch odwróciła się. Wykrochmalony biały czepek wyglądał jak halo wokół jej twarzy madonny. Gdy pochyliła się nade mną i dotknęła mojego czoła, odniosłem wrażenie, że jej dłoń jest lodowato zimna.

Wyszła, cicho zamykając drzwi, ale niemal natychmiast otwarły się ponownie i ukazała się w nich siwa broda.

- Jak pan się czuje? - zapytał doktor po włosku.

- Znowu żyję. To bardzo przyjemne uczucie. Gdzie jestem?

- W willi Barbaccii.

Pochylił się nade mną i zmierzył mi puls. Był przy tym nienagannie oficjalny i uroczysty. Wyjął stetoskop i osłuchiwał kilka punktów mojej klatki piersiowej.

Kiwnął głową, do siebie oczywiście, i schował stetoskop do kieszeni.

- Pańskie ramię... boli? - zapytał.

- Trochę, kiedy nim poruszam.

Za nim znów otworzyły się drzwi. Wyczułem obecność dziadka, jeszcze zanim uświadomiłem sobie charakterystyczny aromat jego hawańskich cygar.

Po chwili wszedł w krąg światła, z twarzą ciemną i zamyśloną, cichy jak zwykle, Cesare Borgia, który powrócił do życia, wieczny i niezniszczalny.

- Myślisz, że kiedykolwiek umrzesz?

Jakby podążając nieomylnie za moim tokiem myślenia, uśmiechnął się.

- A więc mój wnuk będzie żył, co, Tasca?

- Tę kulę przeżyje, ale nad jego ramieniem trzeba będzie mocno popracować, jeśli ma nie być sztywne.

-Doktor Tasca spojrział na mnie z delikatnym wyrzutem. -Nie powinien był pan ruszać tym

ramieniem, młody człowieku. To było bardzo ryzykowne.

Nie podjąłem dyskusji, a doktor odwrócił się do mojego dziadka.

- Martwi mnie jego stan ogólny. Mówiąc obrazowo, stoi na skraju przepaści... wystarczy, że ktoś go lekko trąci, a polecą w dół.

- Słyszałeś? - Mój dziadek ledwie się powstrzymał, by nie trącić mnie laską. - Chcesz młodo umrzeć, co?

- Masz dla mnie lepszą propozycję?

Starłem się mówić wesoło i nonszalancko, ale Tascia nie dał się na to nabrać.

- Domyślam się, że był pan w więzieniu.

168

169

Skinąłem głową.

- Mniej więcej, to był egipski obóz pracy.

- Skuwali pana łańcuchami z innymi więźniami? - Na jego twarzy po raz pierwszy odmalowały się jakieś emocje. - Teraz rozumiem. - Znowu odwrócił się do mojego dziadka. - Kiedy stanie na nogi, musi przyjść do mnie na gruntowne badania, capo. Może mieć jakieś zmiany patologiczne, dostrzegłem też oznaki niepełnego wyleczenia malarii, co może prowadzić do uszkodzenia nerek. Będzie potrzebował nie tylko leczenia, lecz także starannej opieki i odpoczynku, kilku miesięcy całkowitej bezczynności.

- Dziękuję, doktorze Kildare - mruknąłem. - Na dzisiaj wystarczy.

Tasca zdawał się nie rozumieć moich słów, ale dziadek powiedział do niego:

- Wracaj teraz do dziewczyny. Chcę pogadać z wnukiem w cztery oczy.

Dopiero wtedy o niej pomyślałem i bardzo się z tego powodu zawstydzilem.

- Jest tu też Joanna Truscott? Jak ona się czuje?

Dziadek przyciągnął krzesło i usiadł.

- Zdrowieje, Stacey. Tasca jest najlepszym na Sycylii specjalistą od chirurgii mózgu. Przywiózł ze sobą zestaw rentgenowski i przebadał ją gruntownie. Miała szczęście, czaszka nie jest nawet pęknięta. Zostanie jej brzydka blizna, prawdopodobnie na całe życie, ale dobra fryzjerka to zamaskuje.

- Nie powinna trafić do szpitala?

- Nie ma takiej potrzeby - stwierdził. - Nie miałyby tam wcale lepszej opieki, a tu jest bezpieczna.

Próbowałem usiąść, ale mój żołądek nie pozwolił mi na to.

170

- Więc Hoffer wie?

Popchnął mnie delikatnie z powrotem na poduszki.

- Hoffer jest przekonany, że jego pasierbica nie żyje.

Dowiedział się o tym oficjalnie, może więc powiedzieć to światu. Dzwonił już do mnie.

- I powiedział ci o tym? Pokręcił głową.

- Poprosił o zwołanie rady generalnej dzisiaj wieczorem. Powinien tu być za pół godziny.

- Nie rozumiem... - zdziwiłem się. - Jaka rada generalna?

- Myślałeś, że mafia jest tylko moja, Stacey? -
Roześmiał się. - Pewnie, ja jestem capo, capo na całej Sycylii, ale najważniejsze decyzje podejmuje rada. Mamy swój kodeks i ten kodeks musi być przestrzegany. Nawet ja nie mogę złamać pewnych zasad. - Wzruszył ramionami. - Bez kodeksu jesteśmy niczym.

Szanowne Stowarzyszenie. Pokiwałem głową.

- W porządku, może nie myślę w tej chwili zbyt klarownie, ale nadal nie rozumiem, po co Hoffer tu przyjeżdża.

- Przede wszystkim opowiedz mi, co się stało w górach.

- Chcesz mi wmówić, że nie wiesz?

- Wiem tylko trochę. Bądź dobrym chłopcem i zrób, o co proszę.

Opowiedziałem mu więc ze szczegółami całą tę historię, dołączając do tego moje różne podejrzenia, a on wysłuchał wszystkiego bez zmrużenia oka.

Kiedy skończyłem, przez chwilę siedział w milczeniu.

- Dlaczego tam poszedłeś, Stacey? - zapytał w końcu.

- Nie mogę tego zrozumieć. Wiedziałeś, że Burke nie był z tobą szczery, nie ufałeś Hofferowi, wiedziałeś, że nawet ja nie mówię ci całej prawdy, a jednak poszedłeś.

171

- Bóg raczy wiedzieć - odparłem i, prawdę mówiąc, nie mogłem tego wyjaśnić nawet sam sobie. - Pewnie prosiłem się o śmierć.

Kiedy jednak to mówiłem, czułem, że kłamię.

- Nie, do diabła z tym. To Burke, to jak zawsze Burke. Coś między nami, czego nie umiem nazwać, nawet przed samym sobą. Coś, czego muszę dowieść. Nie potrafię powiedzieć nic więcej.

- Nienawidzisz tego człowieka, prawda?

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, a potem powiedziałem powoli:

- Nie, to coś większego niż nienawiść, o wiele większego. Zabrał mnie ze sobą w ciemny świat, który sam stworzył, zrobił ze mnie coś, czym nie jestem, urobił mnie do swoich celów. Tam w górach powiedział mi, że jest chorym człowiekiem, to miało wytłumaczyć zmianę jego zachowania. Myślę, że nawet sam przed sobą próbował to tak wyjaśnić, ale kłamał. Zgnilizna ogarnęła go całego na długo przedtem, zanim zaczęły gnić jego płuca. Nie potrzebował żadnej wymówki.

- Ach, teraz zaczynam rozumieć - mruknął dziadek.

-Nienawidzisz go za to, że jest kimś innym, niż sądziłeś.

Miał oczywiście słuszność, ale nie do końca.

- Można by tak powiedzieć. Kiedy go spotkałem, wydawał mi się jedynym solidnym elementem tego oszalałego świata. Wierzyłem mu bez zastrzeżeń.

- A później? Co się stało później?

- Nic. - Pokręciłem głową. - Ja się zmieniłem, a on nie. On zawsze był taki jak teraz, i to jest najgorsze. Sean Burke, którego poznałem w Lourenco Marques i którego znałem później, nigdy tak naprawdę nie istniał.

Zapadła cisza. Leżałem, rozmyślając o tym wszystkim. W końcu znowu spojrzałem na dziadka.
172

- Wiedziałeś, co on planuje, prawda?**
- Częściowo wiedziałem, a reszty się domyślałem. Hoffera deportowano ze Stanów parę lat temu, po wyroku za oszustwa podatkowe. Współpracował z Cosa Nostra, a potem przyjechał tu do nas, na Sycylię, z kilkoma swoimi amerykańskimi współpracownikami. Przywieźli nowe pomysły, jak już ci mówiłem. Narkotyki, prostytutka i inne rodzaje rozpusty. Ja ich nie chciałem, ale mafia to nie tylko ja. Rada orzekła, że mają prawo zostać w organizacji.**
- Więc ty się nimi zająłeś? Skinął głową.**
- Większość z nich była dobrymi zarządcami, to trzeba im przyznać. Hoffer na przykład zajął się naszymi interesami naftowymi w Geli. Zrobił dobrą robotę, ale ja nigdy nie ufałem ani jemu, ani jego kompanom.**
- I to właśnie oni spiskowali przeciwko tobie?**
- To nie takie proste. Czasami razem, czasami indywidualnie, robili różne przekręty. Myśleli, że to będzie łatwe, że staremu, głupiemu, sycylijskiemu wieśniakowi mogą wcisnąć każdą bzdurę. Że mogą mnie zdjąć i zająć moje miejsce. Kiedy to nie zdało egzaminu, sięgnęli po inne metody.**
- Na przykład po bombę, która zabiła moją matkę? Wiedziałeś, że zamierzają cię zabić przy pierwszej sposobności, i mimo to wciąż z nimi pracowałeś? -**

Pokręciłem głową. - Rekiny. Rozrywają się nawzajem, gdy tylko poczują zapach krwi.

- Nadal nic nie rozumiesz - westchnął dziadek. - Rada mafii, Stacey, to nie to samo co Vito Barbaccia. Według kodeksu Hoffer i jego ludzie nadal są w Stowarzyszeniu. Reszta to sprawy osobiste.**
- I zabiłeś ich wszystkich zgodnie z kodeksem, to właśnie chcesz mi powiedzieć?**

173

- Każdy z nich mógł podłożyć bombę, która zabiła twoją matkę. Oni wszyscy mogli za tym stać.**
- Więc co Hoffer jeszcze tu robi?**
- Krople wody drażą skałę nie siłą, lecz ciągłym padaniem. Mam swój własny sposób załatwiania spraw - oświadczył. - Hoffer jest głupcem, jak wszyscy ludzie, którzy myślą, że są sprytni. Poślubił dla pieniędzy tę angielską wdowę, tę arystokratkę. Niestety ona była sprytniejsza od niego i szybko go rozszyfrowała. Nie dała mu ani grosza.**
- Dlaczego go nie zostawiła?**
- A kto nadąży za kobietami? Może z miłości. Wobec tego pozbył się jej w doskonale zaplanowanym wypadku - swoją drogą on wciąż nie ma pojęcia, że ja o tym wiem - a potem odkrył, że mu nic nie zostawiła.**
- Wszystko zapisała Joannie.**
- Właśnie, tyle że on był następny w kolejce, gdyby dziewczyna umarła przed uzyskaniem pełnoletności. Gdyby dożyła, byłby skończony. Mogła zrobić wykluczający go zapis, mogła zostawić wszystko**

organizacji dobroczynnej albo jakiemuś biednemu kuzynowi, cokolwiek. W takim wypadku nie byłoby sensu jej zabijać.

Wstał, podszedł do okna i przez chwilę stał tam w milczeniu jak cień na tle okna.

- Ale nie kierowała nim tylko chęć zdobycia majątku pasierbicy. Bał się. Groził mu wyrok śmierci. Używał naszych pieniędzy, pieniędzy mafii, w różnych interesach ze złotem, głównie w Egipcie, mając nadzieję na jakieś indywidualne profity. Niestety ktoś doniósł o tym władzom. Jego łodzie dwa razy zostały przechwycone.

- Ktoś doniósł władzom? Ktoś o nazwisku Vito Barbaccia? - Śmiałem się, póki się nie zakrztusiłem.

174

Dziadek pospieszył do mojego łóżka i nalał mi wody do szklanki. Wypiłem do dna i oddałem mu naczynie. Przynajmniej zaniepokoiłem go trochę.

- To naprawdę jakaś cholerna ironia losu, prawda? - powiedziałem. - Nie wiedziałeś, że byłem na jednej z tych łodzi? Że tak właśnie trafiłem do egipskiego więzienia?

Po raz pierwszy w życiu sprawiłem, że go kompletnie zamurowało. Wyciągnął do mnie rękę, na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

- Stacey... - wyjąkał. - Co mam powiedzieć?

- Nieważne - odparłem. - To zbyt śmieszne, żeby było tragiczne. Ale w końcu ja też cię poruszyłem. Opadł bezwładnie na oparcie, najwyraźniej wciąż wstrząśnięty.

- W porządku. Hoffer musiał mieć szansę odzyskania pieniędzy tak, aby Stowarzyszenie nie poniosło strat. Rada zebrała się, żeby rozważyć jego przypadek, ale on próbował nam wcisnąć, że ustawiał ten interes, by zdobyć pieniądze dla Stowarzyszenia. Nie dla siebie. Nawet gdyby była to prawda, nie miał do tego upoważnienia od Rady. W końcu jednak przyznał się do odpowiedzialności i poprosił o czas na zebranie forsy.

- I dano mu ten czas?

- Nie było powodu, żeby odmówić. Powiedział Radzie, że odziedziczył po żonie lukratywne interesy w Ameryce. Że może je sfinalizować w ciągu dwóch, trzech miesięcy i wtedy będzie mógł wszystko zwrócić.

- I Rada mu uwierzyła?

- A dlaczego miałby kłamać? Gdyby się nie stawił z pieniędzmi, dopadliby go, choćby próbował ukryć się nie wiadomo gdzie.

- Ale ty wiedziałeś, że on kłamie?

Spokojnie skinął głową.

175

- Największym dowodem jego głupoty było to, że nie potrafił przyjąć, że stary sycylijski chłop może być sprytniejszy od niego. Zawsze wyprzedzałem go o krok, zawsze. Widziałem fotokopie testamentu jego żony, zanim on go zobaczył.

- Dlaczego nie powiedziałeś o tym Radzie?

- Miałem w tym swój interes. Chciałem zobaczyć, co ten człowiek wykombinuje.

- I być jak zwykle o krok przed nim? Wiedziałeś, że jego rozwiązanie problemu polega na tym, żeby pozbyć się pasierbicy, zanim dziewczyna osiągnie pełnoletność?
- Powiedzmy, że kiedy zobaczyłem testament, przyszło mi to do głowy jako prawdopodobne rozwiązanie. Później dowiedziałem się o tej sprawie z Serafinem i o tym, że się nie udało.
- A potem ja się pojawiłem i zaktualizowałem twoje wiadomości. - Znowu zaczynał ogarniać mnie gniew. - Skoro wiedziałeś, że dziewczyna jest z Serafinem, bo chce doczekać swoich urodzin z dala od Hoffer'a, musiałeś też wiedzieć, że cel naszego wypadu w góry jest inny, niż ci mówiłem... że jedyny prawdopodobny powód naszej misji to zabicie Joanny Truscott. - Podniosłem głos: - Czego się, do cholery, spodziewałeś? Że co się stanie, kiedy dotrzemy do celu i dowiem się prawdy? Czy może myślałeś, że cię okłamuję? Myślałeś, że zostałem mordercą młodych kobiet?
- Nie bądź głupi, Stacey - odparł chłodno. - Jesteś ciałem z mojego ciała, znam cię na wylot. Tego rodzaju robotę zostawiamy Hofferom i Burke'om. Ludziom bez honoru.
- Honoru? - zaśmiałem się szyderczo. - Nie zdawałeś; sobie sprawy z tego, że Burke będzie musiał mnie zabić, bo wiedział, że nie będę spokojnie patrzeć, jak zabija tę dziewczynę? Że swoim milczeniem wysłałeś mnie na pewną śmierć?

- Nie miałem wyboru, nie rozumiesz? - powiedział cierpliwie. - Posłuchaj mnie, Stacey. Rada dała Hofferowi czas na oddanie pieniędzy, a jak to chciał zrobić, to była jego sprawa. Chcieli albo gotówki, albo jego głowy. Ale skoro ktoś z nas dostaje szansę, ma prawo przeprowadzić swój plan bez przeszkód ze strony Stowarzyszenia. Gdybym cię ostrzegł, że Hoffer chce zabić dziewczynę, gdybym ci powiedział, że powinieneś temu zapobiec, złamałbym jedno z najstarszych praw mafii.

- I Vito Barbaccia zostałby skazany na śmierć, tak?

- Śmierć? - powtórzył. Wyglądał na szczerze zdumionego. - Myślisz, że boję się śmierci? A wydawało mi się, że ci to wyjaśniłem. Kodeksu wszyscy muszą przestrzegać, nawet capo. Bez tego jesteśmy niczym. Kodeks jest naszą siłą, gwarancją naszego przetrwania. O nie, Stacey, ten, kto łamie kodeks, musi umrzeć bez względu na to, kim jest. Przez króciuteńką chwilę wydawało mi się, że zaczynam wariować. Że trafiłem do jakiegoś nieznanego kraju, w którym rządzą archaiczne prawa - jak kodeks rycerski w średniowieczu. Myślenie co prawda mnie męczyło, ale zdołałem powiedzieć:

- To się ciągle nie trzyma kupy. Ja nie wiedziałem, że Hoffer to mafia, ale on wiedział, że jestem twoim wnukiem. Powiedziałem Burke'owi, że omawiałem z tobą naszą misję.

- Dlaczego miałoby to Hoffera zmartwić? Historia o porwaniu jego pasierbicy była wystarczająco

wiarygodna, wiarygodne nawet były powody, by wszystko trzymać w sekrecie. Myślał też, że wszyscy, łącznie

176

177

ze mną, uwierzyli w jego opowieść o pieniądzach z Ameryki. Co miała z tym wspólnego sprawa z Joanną Tru-scott?

To już miało więcej sensu. W każdym razie było to prawdopodobne wyjaśnienie w tym koszmarnym świecie mafijnej polityki.

- Ale to nie zmienia faktu, że mogłeś mnie ostrzec - stwierdziłem. - Tej pierwszej nocy, kiedy ze sobą rozmawialiśmy, mogłeś mi zasugerować, że coś się dzieje, powiedzieć mi przynajmniej, że Hoffer jest z mafii.

- W ten sposób złamałbym kodeks, Stacey. Nie mogłem tego zrobić. Hoffer o tym wiedział, a ja mogłem zyskać wszystko, zachowując milczenie. To Hoffer wciągnął cię w tę sprawę, Hoffer i Burke, który cię okłamał. Jeśli zwróciłeś się przeciwko nim, Hoffer może winić tylko siebie.

- Tej całej twojej radzie może przyjść do głowy inne rozwiązanie - oświadczyłem. - Mogą nie uwierzyć, że twój wnuk nie pracował z twojego polecenia.

- Na to już nic nie możemy poradzić - odparł, - Musisz przyjść na spotkanie, Stacey, i sam to zobaczyć., To będzie raczej zabawne.

- Zabawne! - Gdybym był bliżej, chybabym go w tym momencie walnął. - Mogłem tam zginać, nie

rozumiesz? Kocham cię, zawsze cię kochałem mimo wszystko, a ty bez słowa wysłałeś mnie na śmierć w imię paru archaicznych zasad!

Zmarszczył się.

- Na śmierć, Stacey? Naprawdę w to wierzysz? -

Roześmiał się sucho. - W porządku. Zanim do mnie przyszedłeś tamtego wieczoru, miałem zamiar trzymać cię od tego z daleka, nawet zatrzymać cię siłą, gdyby zaszła taka konieczność. Ale potem rozmawiałem ze swoim wnukiem, zobaczyłem go w akcji, zobaczyłem, kim jest. I stwierdziłem, że jest mafioso takim jak jego dziadek, tylko że lepszym. A ten Burke, ten pusty człowiek, ten truposz cuchnący grobem... czy myślisz, że nie wiedziałem, że mój wnuk poradzi sobie z kimś takim? Jego głos przeszedł w chrapliwy szept. Przechylił się ku mnie, opierając się jedną ręką na krawędzi mego łóżka. Patrzyłem na niego jak zahipnotyzowany.

- Nie widzisz, Stacey? Hoffer musiał mieć swoją szansę, tak mówi kodeks, ale chciałem, żeby czołgał się na brzuchu, ponieważ wierzę, że to on najbardziej z nich wszystkich jest odpowiedzialny za śmierć mojej córki. Chciałem, żeby jego własny plan doprowadził go do klęski, więc pozwoliłem, by najlepszy, najbardziej bezwzględny mafioso, jakiego znam, obrócił ten plan wniwecz.

Przepełniła mnie gorączka. Drżałem, kiedy dziadek znowu usiadł i zapalił kolejne cygaro.

- Dla ciebie to tylko gra, prawda? - zapytałem. - Im bardziej skomplikowana, tym lepiej. Mógłbyś w

każdej chwili rozwalić głowę Hofferera w drobny mak, w domu lub na ulicy, ale to by ci nie wystarczyło. To musiał być klasyczny dramat.

- Klasyczny dramat trwa trochę dłużej. - Wstał ze spokojną twarzą, strząsnął popiół z kłapy marynarki i poprawił krawat. - Oni wkrótce tu będą. Przyślę Marca z jakimś ubraniem dla ciebie.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, przez chwilę patrzyłem tępo w sufit, a potem zsunałem nogi na podłogę, wstałem i spróbowałem postawić kilka kroków.

Podszedłem do francuskiego okna, odwróciłem się i ruszyłem z powrotem. Kręciło mi się w głowie i ramię bolało mnie jak wszyscy diabli, kiedy nim ruszałem, ale

178

179

przynajmniej mogłem się rozejrzeć, a tylko tego potrzebowałem.

Kiedy przeszukiwałem szuflady komody, wszedł Marco. Rzucił na łóżko zamszową marynarkę, prążkowane spodnie i białą nylonową koszulę, po czym wyjął smith & wessona.

- Czy tego szukasz? - zapytał.

Rzucił mi go. Wyciągnąłem rewolwer z kabury, przez chwilę ważyłem go w dłoni, a potem przesunąłem bębenek i wysypałem naboje na narzutę.

Przeładowałem go, umieściłem na swoim miejscu i wcisnąłem broń z powrotem do kabury.

- Miałem portfel - oświadczyłem.
- I nadal masz.

Wyjął go z kieszeni i podał mi. Kiedy sprawdzałem jego zawartość, nie powiedział ani słowa.

- Są już?
- Większość.
- A Hoffer?
- Jeszcze nie.

Stwierdziłem, że moje ręce drżą lekko.

- Pomóż mi się ubrać. Nie możemy pozwolić, żeby czekali.

Zebrali się w salonie, a ja, z Markiem u boku, usiadłem na wiklinowym krześle na tarasie, zasłonięty pędami dzikiego wina, i patrzyłem na nich.

Miałem doskonały widok i równie wyśmienity nasłuch. Razem z moim dziadkiem było ich ośmiu i wyglądali na nieźle dobraną bandę. Trzech z nich prezentowało styl prawdziwego, konserwatywnego capo - byli odziani w stare, wyświechtane ubrania. Czterech zdjęło płaszcze, odsłaniając jaskrawe szelki. Pozostali mieli na sobie drogie garnitury, ale nikt nie dorastał do pięt mojemu wspaniałemu dziadkowi, siedzącemu u szczytu stołu w lekkim kremowym garniturze, który tego wieczoru włożył po raz pierwszy.

Hoffer miał na nosie ciemne okulary, mające prawdopodobnie stanowić element jego przedstawienia, i właśnie z powagą kiwał głową, słuchając człowieka siedzącego po jego prawej

stronie. Wyglądał na opanowanego, ale chętnie bym się dowiedział, co się dzieje w jego głowie.

Mój dziadek podniósł mały srebrny dzwoneczek i na jego dźwięk rozmowy przy stole natychmiast zamarły.

181

Wszystkie głowy zwróciły się ku dziadkowi, a on milczał" przez chwilę, po czym oznajmił:

- O to spotkanie poprosił Karl Hoffer. Podobnie jak wy nie wiem, co chce powiedzieć, ale pewnie wszyscy orientujemy się, o co chodzi, więc słuchajmy.

Hoffer nie wstał. Wydawał się spokojny, ale kiedy zdjął na chwilę ciemne okulary, wyglądał na zmęczonego. Całkiem przekonujące przedstawienie.

- Gdy stanąłem przed Radą kilka miesięcy temu, by wyjaśnić swój udział w pewnej niefortunnej transakcji, obiecałem zwrócić Stowarzyszeniu każdy grosz utracony na skutek mojej nieostrożności - zaczął ponurym głosem. - Poprosiłem o sześć miesięcy, żebym mógł sprzedać pewne aktywa pozostawione w Stanach przez moją świętej pamięci małżonkę. Wiem, że niektórzy z was myśleli, że gram na zwłokę, że Stowarzyszenie nigdy nie zobaczy tych pieniędzy. Inni, dzięki Bogu, zechcieli we mnie uwierzyć.

Podobna uwaga wygłoszona przy innej okazji sprawiłaby, że ryknąłbym śmiechem. Przy tym stole nie było ani jednego mężczyzny, który zaufałby swojemu sąsiadowi na dłużej niż pięć minut.

Oczywiście wszyscy mieli tego świadomość, Hoffer też, chyba że - i to wydawało się niewiarygodne - rzeczywiście był tak głupi, że widział w nich jedynie bandę niemytych sycylijskich chłopów, z którymi będzie mógł wygrać, kiedy tylko mu się spodoba.

- Czy przyszedłeś nam powiedzieć, że nie możesz zapłacić, Karl?

W głosie mojego dziadka zabrzmiał cień złośliwości, trudno było mu ukryć swój triumf. W porównaniu z nim zbladło nawet przedstawienie Hoffera.

- Dlaczego nie, Vito? - Hoffer z powrotem założył ciemne okulary. - Jestem blisko sfinalizowania transakcji,

182

tak przynajmniej mówią mi moi amerykańscy prawnicy. Jednak w wyniku pewnego... - zawahał się, po czym kontynuował z widoczną trudnością - nieszczęśliwego i dla mnie osobiście tragicznego wydarzenia mogę zapewnić Radę, że zwrócenie Stowarzyszeniu pieniędzy straconych przez moją lekkomyślność jest teraz ostatnim z moich zmartwień.

Nie da się ukryć, że na większości swoich słuchaczy wywarł piorunujące wrażenie. Zapanowało poruszenie, pomruk głosów przybrał na sile. Mój dziadek podniósł dłoń.

- Lepiej chyba będzie, jeśli to wyjaśnisz, Karl. Hoffer skinął głową.

- To bardzo proste. Jak wszyscy wiecie, moja droga małżonka niedawno zginęła w wypadku

samochodowym we Francji. Oczywiście majątek odziedziczony po pierwszym mężu zostawiła swojej córce, Joannie - ja miałem dziedziczyć tylko wtedy, gdyby moja pasierbica umarła przed dojściem do pełnoletności. - Zacisnął dłonie, kłykcie mu pobielały, wbił wzrok w stół. - Nawet w tej chwili trudno mi w to uwierzyć, ale dowiedziałem się z wiarygodnych źródeł, że dzisiejszego ranka Joanna Truscott zginęła w rejonie Monte Cammarata w tragicznych okolicznościach.

Sycylijczycy uwielbiają dobre opowieści, więc w tej chwili Hoffer miał ich już w garści.

- Kilka tygodni temu moja pasierbica została porwana przez tutejszego bandytę, doskonale znanego większości z was... Serafina Lentiniego. Jeden z mężczyzn w szelkach na dźwięk tego imienia splunął na podłogę. Zapanowało ogólne poruszenie.

- Nie przyszedłem do was z moim kłopotem, ponieważ wiedziałem, że to w niczym nie pomoże - ciągnął

183

Hoffer. - Jak dobrze wiemy, Lentini nie był przyjacielem Stowarzyszenia, chociaż kilka razy pracował dla niego jako sicario.

- Mówisz o nim w czasie przeszłym, Karl - zauważył mój dziadek. - Czy możemy przyjąć, że on również nie żyje?

- Owszem, ale to jedyna dobra wieść, jaką wam dziś przynoszę - powiedział Hoffer. - Policja, jak wszyscy wiemy, jest bezradna w takich sprawach, więc kiedy

Lentini przysłał wiadomość z żądaniem okupu, zebrałem żadaną sumę i spotkałem się z nim osobiście na drodze do Bellony. Wziął pieniądze i roześmiał mi się w twarz, gdy zapytałem o pasierbicę. Zdecydował się zatrzymać ją dla siebie. - Dziwne - mruknął dziadek. - Byłem przekonany, że Serafinowi brakuje pewnego niezbędnego wyposażenia...

Hoffer spojrział na niego ostro i skontrolował idealnie dobranym tekstem:

- To nie mnie atakował w ten sposób. Okazywał pogardę Stowarzyszeniu, nam wszystkim. - Wzruszył ramionami, po czym rozłożył je szeroko. - Nie mogłem siedzieć z założonymi rękami, gdy ta nieszczęsna dziewczyna cierpiała niewyobrażalne zniewagi od jego ludzi. W przeszłości miałem sposobność skorzystać z usług irlandzkiego najemnika, pułkownika Burke'a, który zasłynął jako żołnierz najemny w Kongu. Wydawało mi się, że człowiek jego miary może podołać temu, czemu nie podoła nikt inny - że wtargnie do kryjówki Serafina na Cammaracie i uwolni moją pasierbicę. Poleciałem na Krete i spotkałem się z Burkiem, który zgodził się podjąć tego ryzykownego zadania razem z trzema ludźmi, którzy służyli z nim w Kongu.

184

Udało mu się obudzić nawet moje zainteresowanie, a cisza, która zaległa w salonie, mogłaby konkurować z ciszą we wnętrzu katedry.

- Kiedy pułkownik Burke i jego ludzie przybyli tutaj, odkryłem zadziwiającą rzecz... - mówił Hoffer.

- Jednym z nich był wnuk capo, młody człowiek o nazwisku Wyatt.

Piłeczka trafiła prosto na boisko mojego dziadka.

Przejął ją gładko, z pewnością dobrze przygotowany na to uderzenie.

Odkasznął i przybrał poważny wyraz twarzy.

- Wszyscy wiecie, że moja córka i jej syn przybyli tu, by zamieszkać ze mną, kiedy mój amerykański zięć poległ w Korei. Niestety córka zginęła w zamachu, który jakiś plugawy zabójca przedsięwziął, by położyć kres moim dniom. A mój wnuk po części mnie obwinił za to, co się stało z jego matką. -

Najwyraźniej była to noc obnażania dusz. -

Zaczęliśmy oddalać się od siebie i kiedy chłopak skończył dziewiętnaście lat, wyjechał. Na jakiś czas straciłem go z oczu, a potem dowiedziałem się, że służył w Kongu jako najemnik. Przyszedł zobaczyć się ze mną któregoś wieczoru, razem z tym Burkiem, i powiedział mi, z jakiego powodu przyjechali na Sycylię. Byłem zdumiony jego opowieścią, ponieważ nie mogłem zrozumieć, dlaczego Karl nie przyszedł do mnie po pomoc, ale uznałem, że miał swoje powody.

- Pomoc...? - Hoffer rozłożył ramiona, jakby odwołując się do członków Rady. - Jakże ktokolwiek mógł mi pomóc? Moją jedyną nadzieją był Burke i jego ludzie. -Nagle, jakby właśnie teraz przyszło mu to do głowy, odwrócił się do Barbaccii i oświadczył: -

Nie mam nic do ukrycia. W tych okolicznościach wydawało mi się, że im mniej osób wie o tym wszystkim, tym lepiej.

185

- Nie ma co do tego wątpliwości - skinął głową mój dziadek. - Ale mój wnuk zdał mi pełną relację na temat j tego, co zamierzają zrobić. Mieli skoczyć na spadochronach na Cammaratę. Śmiały zamysł. Atmosfera na sali była już inna, każdy zdawał sobie sprawę, że pomiędzy Hofferem a moim dziadkiem odbywa się jakaś rozgrywka.

- Przykro mi, że dziewczyna zginęła - powiedział Barbaccia. - Wiem, że była ci bliska, Karl. Strata córki jest bardzo bolesna. Wiem coś o tym.

- Capo! - wykrzyknął Hoffer ochryłym głosem. - Muszę ci coś powiedzieć, chociaż serce mi pęka. W walce, w wymianie ognia między ludźmi Burke'a i Serafina, zginął także twój wnuk. Zginął, kiedy próbował uratować życie mojej pasierbicy.

Teraz już znałem powód, dla którego Hoffer zorganizował całe to przedstawienie. Chodziło o ten finalny strzał...

Mój dziadek zadrżał, upuścił laskę, i nagle stał się starym człowiekiem.

- Stacey? - rzekł ochryple. - Stacey nie żyje? Hoffer co prawda nie uśmiechał się triumfalnie, ale nie zdołał powstrzymać leciutkiego drgnięcia ust. Mój dziadek właśnie ten moment uznał za odpowiedni, by zejść ze sceny. Wydobył świeże cygaro, zapalił zapałkę i znowu był sobą.

- Świetnie, Karl, doskonale - wycedził. - Mógłbyś daleko zajść w organizacji, gdybyś nie był taki głupi. Marco dotknął mojego ramienia, ale ja już wstałem. Kiedy wszedłem do salonu, nie rozległy się grzmoty jak przy zstąpieniu Jowisza z niebios, jednak efekt był mniej więcej taki sam.

Hoffer pobladł, głównie z zaskoczenia, ale także dlatego, że wreszcie zdał sobie sprawę, iż ktoś go zrobił w bambuko. Pozostali mężczyźni potraktowali mnie po prostu jak intruza, a najgrubszy i najbardziej nieszkodliwie wyglądający mafioso błyskawicznie wyciągnął mannli-chera.

Vito Barbaccia uspokoił go ruchem dłoni.

- Oto mój wnuk, Stacey Wyatt, który wedle słów naszego przyjaciela dzisiejszego ranka zginął śmiercią bohatera na Cammaracie, daremnie próbując uratować życie Joannie Truscott. A propos, ta młoda dama jest w tej chwili pod opieką lekarza w innej części mojego domu.

Hoffer sięgnął do kieszeni i niemal w tym samym momencie z lufy smith & wessona w mojej lewej ręce zajrzała mu w oczy śmierć.

- Nie, Stacey! - krzyknął dziadek. - Nie tutaj. Tutaj ten człowiek jest nietykalny. Tak mówi kodeks.

Dzentelmen w jaskrawych szelkach odebrał Hofferowi walthera, a ja wepchnąłem swoją broń do kabury.

- A teraz chwila prawdy, przyjaciele. - Barbaccia strzelił palcami i Marco, który wszedł za mną, wyjął z koperty szary dokument i położył go na stole.

- To fotokopia testamentu, o którym mówił Hoffer. Trafiła w moje ręce dzisiaj po południu. - Ciekawe, ilu z nich wierzy w jego słowa, zastanawiałem się. - Jest po angielsku, ale wystarczająco wielu z was tutaj zna ten język, żeby się przekonać, że Hoffer kłamał. Że żona nic mu nie zostawiła. Że w Ameryce nie ma żadnych aktywów, które mogłyby pokryć jego dług. - Spojrzał na Hoffera. - Zaprzeczysz temu?

- Idź do diabła! - warknął Hoffer. Mój dziadek kontynuował:

**- Jego jedyną nadzieją było zamordowanie dziewczyn-
187**

czyny, ale Lentini go wykiwał. Wynajął więc tego Burke[^]. Potrzebowali jednak kogoś, kto by znał kraj, mówił tutejszym językiem, dlatego Burke wziął ze sobą mojego wnuka. Hoffer aż do tej chwili był przekonany, że Stacey zginął, zastrzelony z zimną krwią wraz z dziewczyną i Lentinim; ja też sądziłem, że mój wnuk wyruszył w góry, żeby uratować dziewczynę, ale przestałem w to wierzyć w chwili, gdy przeczytałem ten testament i usłyszałem opowieść Stacey'a. Dzięki łaskawości Boga i nieudolności tego najemnika Burke'a mój chłopiec przeżył i zdołał dotrzeć z dziewczyną do Bellony. Hoffer nie miał nic do powiedzenia. Nic, co w jakimkolwiek stopniu polepszyłoby jego sytuację wobec tych ludzi o kamiennych twarzach, zebranych wokół stołu. Zareagował więc w jedyny sposób, jaki

podpowiadała mu jego zwierzęca natura. Uderzył, by zranić.

- W porządku, Barbaccia, wygrałeś. Ale to ja podłożyłem bombę, która zabiła twoją córkę. Ja, swoimi własnymi rękami.

Splunął dziadkowi w twarz. Marco rzucił się do przodu, jednak dziadek go powstrzymał.

- Nie, Marco, daj spokój. On już jest martwy. - Otarł twarz chusteczką i rzucił ją na podłogę. - Ten Burke jest w twojej willi?

Hoffer, bardziej zapewne winiąc Burke'a niż siebie za swoją klęskę, skinął głową.

- To dobrze. A teraz wynocha! Za bramą jesteś zdany na siebie.

Hoffer odwrócił się i wyszedł. Kiedy przechodził przez taras, próbowałem go dopaść, ale Marco chwycił mnie za ramię, a po chwili dogonił mnie dziadek, poruszający się z zadziwiająco jak na człowieka w jego wieku prędkością.

188

- Nie, Stacey, nie tutaj. Tu, w miejscu spotkania Rady, jest nietykalny. Tak mówi kodeks. Jeśli go złamiesz, ty także zginiesz.

- Do diabła z twoim cholernym kodeksem - warknąłem. Uderzył mnie w twarz.

Zatoczyłem się do tyłu, a Hoffer zaśmiał się.

- Świetnie, to mi się podoba. Tak samo potraktowałem tej nocy Rosę Solazzo, Wyatt, tylko że ona dostała więcej. Chciała cię ostrzec, nie

wiedziałaś o tym, prawda? Nie wiem, co jej zrobiłeś, ale tej głupiej suce musiało się to chyba podobać. Znowu rzuciłem się na niego, ale przytrzymał mnie Marco i dwóch innych mężczyzn.

- Chcesz wiedzieć, co się z nią teraz dzieje? - zaśmiał się znowu Hoffer. - Oddałem ją Cieciami. Zawsze się do niej śliniłem. A to prawdziwy buhaj. Do tej chwili wypróbowałem pewnie wszystkie znane ludziom warianty i dorzuciłem parę swoich.

Chciałem cię zranić i udało mi się to. Zbluzgałem cię, ale trzymali cię, póki nie przeszedł przez park i nie dotarł do swojego mercedesa zaparkowanego przed bramą. Dopiero kiedy zapalił i odjechał, dziadek pozwolił cię puścić. Odwróciłem się, rozepchnąłem ich i pognąłem do swojego pokoju.

Stałem w ciemności, ramiona mi dygotały, pot przemoczył moją koszulę. Myślałem o Rosie. Więc jednak postanowiła przemoc strach i odejść, ale za późno. Biedna Rosa... Przypomniałem sobie, co Hoffer powiedział o Cieciami, i myśl o tym zwierzęciu pocącym się nad nią rozwalila cię w kawałki. Jedyna przyzwoita rzecz w tej całej śmierdzącej sprawie to daremny gest tej dziewczyny, która próbowała cię ocalić. Wybiegłem do ogrodu i przeszedłem na tylne podwórko.

189

W garażu były trzy samochody do wyboru, ale ja wziąłem czerwoną alfę Marca, ponieważ miała automatyczną skrzynię biegów i łatwiej było ją prowadzić jedną ręką. Fakt, że Marco zostawił na

wierzchu kluczyki, również pomógł mi w podjęciu decyzji.

Musieli mnie usłyszeć w chwili, kiedy objeżdżałem dom, ale strażnik przy bramie rozpoznał mnie.

Sekundę później skrzydła bramy się rozchyliły.

Kiedy na pełnym gazie znikąłem w mrokach nocy, Marco był jeszcze dziesięć jardów od bramy.

Jakieś trzy mile od Palermo zobaczyłem płomienie i kilka samochodów blokujących drogę. Dołączyłem do sznura wolno poruszających się pojazdów, które policjant kierował na drugą stronę drogi.

Na szosie było pełno palącej się benzyny, a dalej, z przodu, stał w płomieniach mercedes Hofferera, który uderzył czołowo w betonowy mur wsporczy.

Kiedy podszedł policjant, wychyliłem się przez okno.

- Co się stało z kierowcą?

- A jak pan myśli?

Machnął na mnie i ruszyłem w noc. Taka więc była sprawiedliwość mafii? Szybko i pewnie. I dziadek dokonał swojej zemsty. Reszta była moja - moja wendeta. Nie pozbawi mnie jej nikt na świecie.

W Palermo wciąż świętowano Wielki Tydzień, który zupełnie wyleciał mi z głowy. Na ulicach tłoczyły się tłumy, ludzie bawili się całymi rodzinami i nawet nie zauważyli, że zaczął padać deszcz.

Kiedy skręciłem na Via Yittorio Emanuele i ruszyłem w kierunku katedry, minął mnie wóz straży pożarnej. W ciemnościach nocy rozkwitały gigantyczne kolorowe kwiaty fajerwerków i wszędzie

dookoła widziałem dziwne połączenie karnawału i pokuty, tak charakterystyczne dla Sycylii.

Ruch samochodowy był niewielki, jako że była to noc spacerów, ale posuwałem się do przodu bardzo powoli, bo tłum na ogół spływał z chodnika na środek jezdni.

Znowu byłem zlany potem i trochę bolała mnie głowa. Może był to efekt lekarstw, które zażyłem, a może po prostu docierałem do kresu swoich możliwości. Tak czy owak, czułem się bardzo dziwnie, jak ktoś obcy, podglądający z zewnątrz to, co się dookoła dzieje.

To była scena, którą nie pogardziłby Dante. Huk fajerwerków, eksplodujące w niebo barwy, krzyk tłumu, a dalej biczownicy w workach, bosy i mokrzy od deszczu, trzech mężczyzn na czele procesji, zataczających się pod ciężarem krzyży, oraz Maryja Panna płynąca w ciemności ponad płonącymi pochodniami.

Śpiewy przybierały na sile, wypełniając moją głowę jak morze, bicze wznosiły się nad głowami tłumu i opadały z trzaskiem. Nieznośna woń kadzidła i palonego wosku dławiała i dusiła, i nagle minął mnie koniec procesji, tłum rozdzielił się i odszedł.

Odkręciłem okno, odetchnąłem głęboko świeżym, wilgotnym powietrzem i zastanowiłem się nad sytuacją, którą miałem zastać w willi.

Po pierwsze, musiałem poradzić sobie ze strażnikiem przy bramie, uzbrojonym w karabin maszynowy. To była jedyna droga, jeśli nie chciałem wspinać się po

piętnasto-stopowym murze. Z jednym ramieniem wyłączonym z działania była to perspektywa mało kusząca. W willi dwóch służących. Nie musiałem ich brać pod uwagę, podobnie jak personelu kuchennego. Pozostawał więc Ciccio, Pięt Jaeger i Burke. Przeciwko nim miałem swoje lewe ramię, smith & wessona i pięć naboii w bębenku. Wystarczy, zważywszy na mój nastrój.

Każdy zawodowy zabójca zna dwa rodzaje zabijania. Pierwszy to natychmiastowa reakcja w specyficznej sytuacji, zazwyczaj w obronie własnej lub swoich ludzi. Drugi to zaplanowana na zimno akcja, gdy sytuacja jest dokładnie oszacowana, ryzyko precyzyjnie rozpracowane. Jednak to nie wszystko. Równie ważne jest przygotowanie psychiczne, koncentracja wszystkich sił mentalnych, by w odpowiedniej chwili zabić bez wahania. To właśnie różni prawdziwego profesjonalistę od reszty zabójców. Gotowość do zabicia bez wahania; większość ludzi nie ma szans osiągnąć tego poziomu. Ja jednak miałem. Stacey Wyatt potrafił tak zabijać. Robił to już tyle razy wcześniej, zrobi to również tej nocy i pewnie będzie to robił dalej. Dziwne, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że sam mogę zginąć, tak jak prawdziwemu kryminaliście nigdy nie przychodzi do głowy, że może wpaść przy kolejnej robocie.

Zwolniłem i zatrzymałem się w korku przy Fiume Oreto na drodze do Messyny. Twarz mi płonęła, prawdopodobnie zacząłem gorączkować, więc

wystawiłem głowę na deszcz. Był zimny i odświeżający i nagle stało się ze mną coś dziwnego. Na krótką chwilę hałas ruchu ulicznego przygasł, zniknęły niemal wszystkie dźwięki oprócz deszczu szeleszczącego w liściach drzew po drugiej stronie drogi. Wistaria w ogrodzie pobliskiego domu wypełniała noc nieznośnie słodkim zapachem. Tę ulotną chwilę przerwał klakson samochodu stojącego za mną. Wróciłem do rzeczywistości i ruszyłem. Ale czy to był prawdziwy świat? Kim byłem? O co, do cholery, chodziło w tym wszystkim? Co ja robiłem w tym miejscu?

Kiedy wyjechałem z Sycylii po śmierci matki, uciekałem od wielu rzeczy. Pewnie także od bólu i od okrucieństwa życia. I od mojego dziadka, którego bardzo kochałem, a który teraz jawił mi się jako potwór, tuczący się na cierpieniu biedaków i z poczuciem boskiej władzy skazujący ludzi na śmierć. Ale uciekając przed wnukiem Barbaccii, uciekałem też przed chłopcem Wyattów z Przystani Wyatta, którego nie chciałem zaakceptować. Uciekałem od Stacey'a Wyatta z tamtego świata i od okoliczności, które mnie stworzyły.

Miałem szansę odnaleźć siebie - swoje własne prawdziwe ja - moje i tylko moje. Początkowo mi się to nawet udawało. Zabrałem to moje "ja" do Mozambiku i Louren-co Marques i mogłem wraz z nim wędrować dalej, by

192

193

0 własnych siłach dotrzeć do miejsca swojego przeznaczenia.

Ale trafiłem do "Świąteł Lizbony", spotkałem Seana Burke'a i stałem się innym Staceyem Wyattem.

Byłem kimś aż do chwili, gdy trafiłem do Dziury.

Myślę, że większość ludzi ma swoje "Świątła Lizbony", jednak tylko niewielu zna swoją Dziurę.

Cóż, ja poznałem ją dobrze, siedziałem w wilgoci i ciemności, przetrwałem jednak

i znalazłem innego Staceya Wyatta, którego nigdy wcześniej nie znałem i który zadawał pytania - bardzo dużo pytań.

Mój powrót na Sycylię był nie tylko nieunikniony, lecz także konieczny, teraz to wyraźnie widziałem.

Musiałem zobaczyć raz jeszcze człowieka, który stanowił tak ważną część mojej młodości, Vita Barbaccię, Pana Życia i Śmierci, capo mafia na całej Sycylii, mojego dziadka, który mówił mi, że jestem mafioso taki jak on, tylko lepszy, i który na pewno już widział we mnie przewodniczącego Rady po swojej śmierci.

Mylił się jednak. Nie byłem człowiekiem, którego stworzył Burke, najemny zabójca udający żołnierza, nie byłem też młodszą wersją mojego dziadka. Do diabła z nimi obydwoma.

Kim więc byłem? Poszedłem w góry, wiedząc, że sytuacja nie jest taka, na jaką wygląda,

podejrzewając, że Burke gra we własne klocki.

Przegrałem, ale on też. Jeśli kiedykolwiek miałem być wolny, musiałem go teraz pobić na jego

warunkach i na jego terenie. Nasze starcie mogło być bardzo krwawe, ale było też nieuniknione. Zbyt długo stałem w cieniu tego człowieka.

Znowu ogarnął mnie niepohamowany gniew, a kiedy przejechałem kolejny zakręt, wyjechałem na ostatnią prostą i willa Hofferera pojawiła się trzysta jardów przede

194

mną w świetle reflektorów, ogarnęło mnie niemal szaleństwo. Wcisnąłem gaz do dechy i pogałem alfą w mrok.

Strażnik zobaczył, że się zbliżam, jednak zanim zrozumiał mój zamiar, za późno było na jakąkolwiek reakcję. Zaczął zdejmować karabin z ramienia, zawahał się i skoczył w bok. Alfa wyrwała brązową bramę z zawiasów i pojechała dalej.

To, co teraz nastąpiło, bardziej wyglądało na ślepy los, który decyduje o tym, kto wygrywa, a kto przegrywa. Zza zakrętu wynurzyła się lambretta. Jechała powoli, bo kierowca najwyraźniej dopiero ruszył. Zahamowałem instynktownie, jedyną sprawną ręką przekręciłem kierownicę na bok, wpadłem w poślizg i na fali żwiru wjechałem w krzaki.

Lambretta również zarzuciło, gdy kierowca desperacko zahamował. Auto obróciło się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Prowadził je jeden ze służących, ubrany wyjściowo, najwyraźniej miał wychodne.

Kiedy wygramoliłem się z alfy ze smith & wessonem w lewej ręce i spojrzałem na jego bladą, przerażoną

twarz, wrzucił wsteczny i z rykiem wycofał się w kierunku willi.

Mógłbym go dopaść bez trudu, ale on nie miał ze mną nic wspólnego, więc puściłem go wolno, nie bacząc na to, że może postawić na nogi cały dom, że Burke i Jaeger będą wiedzieli, że już jestem. Może w gruncie rzeczy chciałem, żeby wiedzieli. Nie miałem czasu na rozmyślania, bo tymczasem nadbiegł strażnik, kilka pocisków uderzyło w alnę i musiałem się gdzieś schować.

Prawe ramię bolało jak diabli, ale ból mnie otrzeźwił, przywrócił do życia. Teraz padało już mocniej, przykucnąłem więc w krzakach i czekałem, tak jak w tylu innych miejscach, w dżunglach innych niż ta - czekałem na najłżejszy szmer lub trzask gałązki.

195

Jakieś trudne do odgadnięcia skojarzenia przypomniały mi operację w Lagonie, kiedy skoczyliśmy na spadochronach i wydostaliśmy zakonnicę z oblężonej misji. Zaczynała się wtedy pora deszczowa i przez całą drogę walczyliśmy z gęstym buszem. Nagle uświadomiłem sobie, nie wiem dlaczego, że Burke chciał iść w uzbrojonym konwoju. Ja jako jedyny sugerowałem zrzut, ale on protestował, ponieważ wtedy nie mielibyśmy pojazdów, żeby się stamtąd wydostać. Upierałem się, że dzięki zaskoczeniu przeciwnika odbylibyśmy drogę powrotną przez ich szeregi, zanim zdaliby sobie sprawę, że w ogóle tam byliśmy.

W końcu się zgodził, jak zawsze zresztą, i na pierwszej odprawie jakimś sposobem się okazało, że to jego pomysł. Ile razy tak się działo? Ile razy aż do Cammarty?

Miałem to wszystko przed nosem tyle lat i nie dostrzegałem tego wcześniej, oślepiony swoją wiarą w tego człowieka. Poczulem nagle, że spłynęło ze mnie całe napięcie, zupełnie jakbym uwolnił się od jakiegoś dręczącego ciężaru, i przepełniła mnie radość.

Jestem Stacey Wyatt. Ni mniej, ni więcej - powiedziałem sobie. Ta myśl odbiła się echem w mojej głowie jak trzaśnięcie gałązki. Gdzieś w ciemności z dachu odezwał się czyjś głos. Podniosłem kamień i rzuciłem go w krzaki. Mój przyjaciel z bramy nie zwlekał, cokolwiek Hoffer mu płacił. Natychmiast wyskoczył z zarośli i strzelił kilka razy w miejsce, gdzie rzuciłem kamień.

Postrzeliłem go w prawe ramię, a on krzyknął i odwrócił się, rzucając karabin. Staliśmy twarzą w twarz w deszczu, zza strażnika spoglądał na mnie ślepymi oczami posąg greckiej bogini. W spojrzeniu mężczyzny nie było strachu. Może Hoffer zrobił lepszy interes, niż myślał.

- Gadaj, jeśli chcesz żyć - syknąłem. - Gdzie jest signorina Solazzo?

- Przez cały dzień była zamknięta w swoim pokoju.

- A Ciccio? Ciccio jest z nią?

- Był - burknął i wzruszył ramionami. - Nie wiem.

Nic do tego nie mam. Signorina ma pokój na drugim

piętrze, ze złotymi drzwiami. - Ścisnął mocno ramię, żeby zatamować upływ krwi. - Ciccio powiedział mi, że pan i Francuz zginęliście.

- Był w błędzie, prawda? Pozostali też są na miejscu?

- Tak, gdzieś tutaj. Machnąłem ręką.

- Hoffer nie żyje. Barbaccia w końcu się z nim rozprawił. Idź już, nie masz nic wspólnego z tym, co tu się będzie działo.

Kiedy zniknął w krzakach, zaterkotał łatwy do rozpoznania głuchy odgłos AK, a kula odłupała kawałek głowy greckiego posągu. Gdy padłem na jedno kolano, ktoś zeskoczył z muru, okalającego mauretański ogród.

- Rosa, to ja, Sean! - zawołałem. - Sean Stacey. Idę po ciebie.

Nie było odpowiedzi, ale światło, które zalewało ogród, nagle przygasło. Nie wiem, kto wpadł na taki pomysł, jednak doskonale mi to pasowało.

Natychmiast ruszyłem przez przyjazne ciemności, skulony pod niskim murem tarasu, i przez francuskie okno dostałem się do holu.

Był niemal cały pogrążony w ciemnościach, paliła się tylko pojedyncza lampa, aleja szedłem dalej, bo prędkość ataku była moją jedyną nadzieją na odniesienie zwycięstwa.

Wszedłem po schodach jak duch, trzymając się blisko ściany. Idąc wzdłuż korytarza, minąłem swój pokój i dotarłem na drugie piętro.

Nie słyszałem żadnego dźwięku. Zatrzymałem się w cieniu przy złotych drzwiach. Następne drzwi po tej samej stronie korytarza były obite skórą i pod dotykiem mojej dłoni otworzyły się cicho. Z wyglądu sądząc, musiał to być pokój Hoffera, a przesuwane szklane drzwi po drugiej stronie pomieszczenia prowadziły na taras.

Wyszedłem na korytarz, przywarłem do ściany i zapytałem cicho:

- Rosa, jesteś tam?

Jej głos był wyraźny i ostry:

- Uciekaj, Stacey! Uciekaj!

Potem rozległ się strzał i trzy kule rozłupały drzwi.

Na palcach przeszedłem przez pokój Hoffera, przesunąłem się po tarasie i zajrzałem do środka.

Rosa leżała na podłodze w podomce. Ciccio stał tyłem do mnie przy drzwiach. Był boso, miał na sobie spodnie i singlet, w prawej ręce ścisnął pistolet.

Kiedy ostrożnie otworzył drzwi, Rosa zaczęła wstawać. Wszedłem do pokoju i postrzeliłem Ciecica w prawe ramię, gdy już miał się odwrócić w moją stronę. Zauważyłem, że podomka Rosy zsunęła się jej do pasa, odsłaniając górną część ciała. Zakryła odruchowo piersi, z wyrazem zdziwienia na twarzy.

- Stacey... Stacey, to ty - wyszeptała. - Mówili, że nie żyjesz.

Zarzuciła mi ręce na szyję i uścisnęła mnie mocno.

Ani na chwilę nie odrywałem wzroku od Ciecica.

- Owszem, żyję - odparłem. - A Hoffer nie.

Sprawiedliwość mafii.

- Dzięki Bogu - powiedziała gwałtownie. - Chciałam cię ostrzec, Stacey, ostatniej nocy, kiedy wyszłam z pokoju. Chciałam wrócić. Miałaś rację, bałam się.

Bałam

198

się z wielu powodów, ale Hoffer był podejrzliwy. Zbił mnie, a potem dał temu... bydlakowi.

Ciccio cofnął się, a ja wyciągnąłem ją z cienia w miejsce, gdzie padało światło z półpietra. Siniaki na jej twarzy były większe, niż myślałem, i coś rozgorzało w moim wnętrzu.

- On ci to zrobił?

Nie udało jej się skłamać, ale dumnie odchyliła głowę.

- Ja też mu zostawiłam ślady.

Odwróciłem się i na widok wyrazu mojej twarzy Ciccio cofnął się jeszcze dalej, wciąż ściskając ramię.

- Proszę, signore... - Zmusił się do porozumiewawczego uśmiechu. - Ta kobieta jest kurwą z uliczek Paler-mo. Wszyscy wiedzą, czym była, zanim signore Hoffer zabrał ją do siebie. Uśmiechnął się znowu, stojąc plecami do schodów. Gniew wylewał się ze mnie jak lawa.

- Wydaje ci się to śmieszne? Lubisz żarty? No to śmiej się z tego.

Z całą siłą kopnąłem go w krocze. Krzyknął, zginając się wpół, a moje prawe kolano sięgnęło jego twarzy, posyłając go w dół po schodach.

Przekoziółkował dwa razy i roztrzaskał się na podłodze. Przez chwilę leżał tam, a potem -

niewiarygodne! - wstał i kulejąc, zniknął z mojego pola widzenia, dyndając złamanym ramieniem. Odwróciłem się do Rosy.

- W dniu, kiedy zaczniesz się wstydzić swojej przeszłości, daj mi znać. Przedstawię ci do wyboru kilka opowieści z mojego życia, po których powinnaś poczuć się jak westalka. Ale teraz cię opuszczę. Na zewnątrz czeka na mnie Burke.

- Nie, Stacey, ich jest dwóch. Zabiją cię.

- Nie sądzę, chociaż wszystko w tym życiu jest możliwe. - Wyjąłem portfel i wręczyłem jej. - Jeśli mi się nie

199

uda, cokolwiek tam znajdziesz, powinno ci pomóc bardziej niż trochę. Ubierz się i czekaj na mnie na dole w którymś z samochodów.

Kiedy już się odwracałem, złapała mnie i przytuliła, ale nie pocałowała. Nic nie powiedziała, jednak jej twarz była wystarczająco wymowna. Gdy odsunąłem ją delikatnie, nie próbowała mnie zatrzymać.

Drzwi u szczytu schodów były otwarte na oświetlony ogród, słodko pachnący po deszczu.

Zatrzymałem się w wejściu i przez chwilę rozważałem sytuację, a potem przesunąłem się po podeście, otworzyłem następne drzwi i znalazłem się w jakiejś pracowni.

W pomieszczeniu było ciemno, szklane drzwi, zajmujące całą przeciwległą ścianę, stały otworem. Z której strony Burke się mnie spodziewa? Stałem w ciemnościach, wyprany z wszelkich emocji. Nagle

poczułem zmęczenie i ogarnął mnie jakiś dziwny fatalizm, który mi mówił, że to w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, że nic nie ma znaczenia. Obaj znajdowaliśmy się na odgórnie wyznaczonym kursie - Burke i ja. Co ma być, to będzie.

Trzema szybkimi skokami dotarłem do szklanych drzwi i dalej, do zielonego gąszczu ogrodu.

- Tutaj, Stacey, wiem, że tam jesteś - powiedział głośno i wyraźnie.

- Ty i ja, Sean? - zapytałem. - Tylko my dwaj?

- Jak zawsze, Stacey. - Im silniej w jego głosie dawał się słyszeć irlandzki akcent, tym mniej mu ufałem. -

201

Pięta tu nie ma. Pojechał na lotnisko z naszymi bagażami. Wyjeżdżamy dzisiaj w nocy.

To było kłamstwo. Nie mógł wyjechać, bo w końcu - Hoffer mu zapłacił i w sejfie banku w Palermo leżało pięćdziesiąt tysięcy dolarów na jego nazwisko, a ponieważ była niedziela, nie mógł tych pieniędzy odebrać. Na pewno nie zamierzał ich zostawiać.

Ale pochwycony przez dziwny fatalizm, zdecydowałem się podjąć jego grę i wyszedłem z paproci na wąską ścieżkę pomiędzy winoroślami. Stał na końcu tarasu, za żelaznym stolikiem, z ręką za plecami.

- Co tam trzymasz, Sean? - zapytałem.

- Nic, Stacey. Nie wierzysz mi?

- Teraz, po Cammaracie? Pokazał mi obie ręce. Były puste.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało, wiedziałem jednak, że nigdy się nie zgodzisz na zabicie dziewczyny. - Pokręcił głową i w jego głosie pojawiło się coś w rodzaju podziwu. - Ale ty, Stacey... ty... Chryste, okazałeś się niezniszczalny. Myślałem, że jesteś w kawałkach.

- Z wiekiem straciłeś wyczucie, Sean - odparłem. - Jeśli cię to interesuje, z dziewczyną też się nie popisałeś. Ma się świetnie. Tylko Hoffer ma problem. Właśnie się tłumaczy diabłu.

To go ugodziło i uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Jesteś wieprzem, Sean - stwierdziłem. - Zawsze byłeś, tylko ja wcześniej tego nie widziałem. Nic na świecie nie usprawiedliwia tego, co zrobiłeś tam, na górze. Ty i Hoffer na pewno spotkacie się w piekle.

- Nie zabijesz mnie z zimną krwią, Stacey. Nie po tym wszystkim, co razem przeszliśmy. - Rozłożył szeroko ramiona.

- Owszem, właśnie zamierzam to zrobić - powiedziałem i wtedy z tyłu, od drzwi, usłyszałem krzyk Rosy.

Obróciłem się, jednocześnie padając na ziemię. Ból rozdarł moje prawe ramię, a jakieś siedem, osiem jardów ode mnie wyskoczył z winorośli Pięt Jaeger. Ścisnął w dłoniach luparę, broń jednego z ludzi Hoffera. Doskonała rzecz do zabijania z bliskiej odległości.

Strzeliłem do niego trzy razy, dwie kule trafiły go w serce, trzecia w gardło. Padł, upuszczając luparę.

Odwróciłem się z bronią gotową do strzału i spojrzałem prosto w lufę browninga Burke'a.

- Miałem go z tyłu za paskiem - wyjaśnił. - Kto teraz popełnił błąd?

- Nie uronisz łzy po swoim kochasiu? Jego twarz wygładziła się nagle.

- Ty draniu, już dawno chciałem, żebyś taki właśnie był.

- Ale mimo to potrzebowałeś mnie, prawda? -

zapytałem. - Odkryłem to dopiero dzisiaj wieczorem. Kiedy zostałem ranny w Lagonie, chciałeś, żeby mnie wynieśli, bo byłem dla ciebie najważniejszy. Beze mnie byłeś niczym. - Zaśmiałem się sucho. - Wielki Sean Burke. Niezły dowcip. Każdy ruch, jaki kiedykolwiek zrobiłeś, ja obmyśliłem, każdy plan powstał w mojej głowie. Beze mnie byłeś niczym, a ja myślałem, że jesteś jakimś bogiem. Beze mnie nie poszedłbyś na Cammaratę i nie zbliżyłbyś się nawet na dziesięć mil do Serafina i dziewczyny.

- Ty biedny, cholerny głupcze - powiedział. -

Myślisz, że potrzebowałem cię do roboty na Cammaracie? Myślisz, że to dlatego wyciągnąłem cię z Egiptu, zamiast pozwolić, żebyś tam zgnił?

- A masz lepszą historyjkę?

202

203

- Proszę bardzo - wycedził. Delektował się każdym wypowiedzanym słowem. - Hoffer chciał głowy Vita Barbaccii, ale dostać się do niego było niemożliwością, dopóki mnie nie wynajął. A ja

przypomniałem sobie starego przyjaciela, Stacey'a Wyatta, który gnił w Dziurze w Fuadzie. Problemem było dostać się do willi Barbaccii, wszyscy goście musieli zostawiać samochody przed bramą, ale czy ten nakaz dotyczył wnuka capo? Warto było spróbować.

Roześmiał się głośno, po raz pierwszy, odkąd go znałem.

- Ci dwaj strzelcy w willi tamtej nocy przyjechali w bagażniku naszego auta. Tak właśnie dostali się do środka. Mój pomysł, Stacey, prawdziwy koń trojański. Był wart przywiezienia cię z Fuadu i mało brakowało, a okazałby się skuteczny.

Nie miałem zamiaru dociekać, ile w tym wszystkim jest prawdy, ale wydawało się nieprawdopodobne, że był to jedyny powód wydostania mnie z Egiptu. Nie, Burke potrzebował mnie na Cammaracie, niezależnie od tego, jak bardzo nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą. Jednak kiedyś, w dalekiej przeszłości, wspomniałem mu o moim dziadku i nazwisko, które wtedy nic dla niego nie znaczyło, mogło nabrać znaczenia, kiedy po raz pierwszy usłyszał je od Hoffera.

A więc znowu mnie wykorzystał. Zabawne, że to właśnie ja obróciłem jego plan wniwecz. Teraz zrozumiałem, dlaczego tak szybko dobił chłopaka z luparą tamtej nocy w ogrodzie. Tylko w ten sposób mógł sobie zagwarantować jego milczenie.

Przyklęknąłem na jedno kolano, a on pokręcił głową.

- Marnujesz czas, liczyłem twoje strzały. Jeden w ogrodzie, jeden na schodach, trzy dla Pięta. To razem

204

pięć, czyli wszystkie naboje, które zawsze masz w środku, chyba że przeładowałeś po drodze.

Nadal była to gra, potworna gra, w której każdy z nas miał swoją rolę. Pokręciłem głową i wrzuciłem rewolwer do kieszeni.

- Nie, masz rację, jest pusty.

- No właśnie, Stacey - mruknął. - Przeszliśmy długą drogę od "Świąteł Lizbony".

Podniosłem luparę.

- Wiesz, co to jest?

- Jasne, Hoffer mi to pokazał. Ulubiona broń mafii, tradycyjny sposób dokonywania wendety. Niezbyt użyteczna z odległości większej niż sześć stóp.

Musiałbyś się zbliżyć, Stacey.

- Zbliżę się - odparłem, po czym wstałem i odciągnąłem kurek. - Beze mnie nigdy nie umiałeś zliczyć do pięciu. Zobaczmy, jak dobry jesteś zdany na własne siły.

Miał oczywiście rację - z obrzyna nie miałem szansy poważnie zranić go tam, gdzie stał, dobre dwadzieścia kroków ode mnie.

Ruszyłem, patrząc śmierci w twarz, a Rosa krzyknęła ostro. Gdzieś usłyszałem silnik jednego samochodu, potem następnego, trzask drzwiczek, jakieś głosy w ciemności. Mafia przybywała za późno.

Na końcu ciemnego tunelu był tylko deszcz i Burke. Cofnął się o krok, potem jeszcze jeden. Właściwie nie wiem dlaczego. Może pchał go do tyłu mój zdecydowany marsz, moja wzgarda dla śmierci, wyraz mojej twarzy. Cokolwiek to było, Sean pękł, rozlazł się w szwach.

- Nie podchodź do mnie! - wrzasnął. - Nie podchodź! Zrobił trzy szybkie kroki w tył, potknął się o niski mur

wsporczy i wypadł na zewnątrz z rozpaczliwym krzykiem. Stałem, kołysząc się lekko, a potem rzuciłem luparę.

205

Dobiegła do mnie Rosa i rzuciła się w moje ramiona. Machinalnie pogłaskałem ją po głowie, podszedłem do skraju tarasu i spojrzałem w dół. Burke leżał na schodach tarasu sześćdziesiąt stóp niżej.

Kiedy się w końcu odwróciłem, na górze znajdował się już mój dziadek i Marco, w towarzystwie trzech mężczyzn o wyglądzie twardzieli, którzy ściskali pistolety maszynowe i byli gotowi ich użyć.

- Spóźniliście się - powiedziałem. - Już po wszystkim. Barbaccia ruszył ku mnie.

- Nic ci nie jest?

- Mnie? Czuję się świetnie. Burke i jego narzeczony nie żyją i wykruszyło się kilku bandytów Hoffera. Jak sądzisz, ile dostanę? Dziesięć lat? Piętnaście? Rzym nie lubi takich spraw. To niedobre dla ruchu turystycznego.

Położył rękę na moim ramieniu.

- Stacey, posłuchaj. To wszystko nic. Burke i jego przyjaciel zostaną zakopani tak głęboko, że nikt ich nie znajdzie. Pozostali... ja to załatwię, wszystko załatwię. Wiedzą, że lepiej nie zadzierać z mafią.

- To dobrze - odparłem. - To wspaniale, ponieważ, prawdę mówiąc, mam dość więzień na całe życie i zupełnie inne plany. Zamierzam wsiąść do pierwszego samolotu odlatującego jutro z Sycylii. Moje słowa wyraźnie go zaskoczyły. Wyciągnął niepewnie rękę.

- Stacey, nie wiesz, co mówisz. Musisz ze mną zostać.

- Zostać z tobą? - Roześmiałem się w głos. - Nie odciąłbym cię, gdybyś zawisł na szubienicy. Mam dla ciebie nowe wiadomości. Dzisiaj w nocy dokonałem ciekawego odkrycia. Dowiedziałem się, kto zabił moją matkę. Ty.

Były to najbardziej okrutne słowa, jakie w życiu wypowiedziałem, ale prawdziwe. Dziadek jakby się skurczył, na moich oczach stał się starcem.

Odwróciłem się i przeszedłem obok jego bysiorów, nagle czując ogromne zmęczenie.

Doszedłem aż do drzwi i zachwiałem się lekko, ale podparło mnie czyjeś ramię. To była Rosa, która przestała płakać i znowu miała dumny wyraz twarzy.

- Pozwól, że ci pomogę, Stacey.

- Potrafisz gotować?

- Przyrzędzam najlepszy makaron na świecie.

- Więc jesteś dziewczyną w sam raz dla mnie. Mam tylko jeden warunek. Od razu wszystko sobie wyjaśnimy.

Rzygać mi się chce od niejasnych zachowań. Znowu zaczęła płakać, więc poklepałem ją po ramieniu uspokajająco.

- Moje ubrania pewnie nadal są w pokoju. Spakuj jedną torbę dla mnie i co tam potrzebujesz ze swoich rzeczy i nie zapomnij paszportu. Zobaczymy się na dole. I chciałbym dostać mój portfel.

Dała mi go i poszła do swojego pokoju, a ja o własnych siłach zszedłem do holu. Teraz padało już mocniej. Wszedłem do ogrodu, przechodząc przez taras przed willą.

Leżący w deszczu Burke wydawał się taki spokojny. Widać było, że ma złamany kręgosłup i strzaskany tył czaszki.

Stojąc nad nim, pomyślałem o mnóstwie rzeczy, ale głównie o tym, jak po raz pierwszy spotkaliśmy się w "Światłach Lizbony". Gdyby tylko można było zatrzymać pewne momenty na zawsze, gdyby tylko ludzie się nie zmieniali... Ale to było niemożliwe.

Byłem zmęczony i marzyłem tylko o tym, żeby schronić się przed ciemnością w jakimś ciepłym kącie. Jeśli

będę miał trochę szczęścia, Rosa mi w tym pomoże. Rosa i kawałek papieru wart pięćdziesiąt tysięcy dolarów, spoczywający w przegródce mojego portfela. Uśmiechnąłem się krzywo, przypomniawszy sobie, jak tamtego dnia w banku Sean pieczołowicie

zaklejał manilową kopertę zawierającą pusty formularz, którym zastąpiłem prawdziwy. Biedny Sean, biedny Sean Burke. Wyjąłem smith & wesson, rzuciłem mu na pierś i zostawiłem go w deszczu. Może to kiepska wymiana - ale dla niego, nie dla mnie.